

Alistair Maclean

Partyzanci

[przełożyła Anna Kraśko]

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej

Warszawa 1989

ISBN 83-11-07766-5

Rozdział I

Nocą nad Tybru wiał zimny wiatr, północny wiatr i niósł zapach śniegu znad odległych Apeninów. Niebo jaśniało czyste, rozgwieżdżone, a na zaciemnionych ulicach można było dojrzeć wirujące tumany kurzu, miotane wiatrem papiery, kawałki tektury i drobne kamienie. Tym razem jednak ciemne i brudne zaułki Rzymu nie padły ofiarą kolejnego, nie kończącego się strajku pracowników elektrowni i służb oczyszczania miasta, jak się to zdarzało w czasach pokoju, teraz bowiem trwała wojna. Działania w basenie Morza Śródziemnego osiągnęły ten delikatny etap, na którym Wieczne Miasto nie chciało już zanadto rzucać się w oczy oświetlając ulice latarniami, zaś

służby komunalne w swej znakomitej większości były się gdzieś daleko na południu, tocząc wojnę, która tak naprawdę niewiele je obchodziła.

Petersen zatrzymał się przed wejściem do sklepu - trudno odgadnąć jakiego, bowiem witryny szczelnie okrywał regulaminowy papier do zaciemniania - i szybko omiótł spojrzeniem Via Bergola. Zdawała się być wymarła jak większość ulic miasta i tej porze. Wyjął ślepą latarkę, duży pęk zmyślnie wygiętych kluczy i wszedł do środka z szybkością, swobodą i biegłością, która przynosiła chlubę temu, kto szkolił go do takich zadań. Skrył się za otwartymi drzwiami, zdjął osłonę latarki, włożył wytrychy do kieszeni, w ich miejsce wziął mausera z tłumikiem i czekał.

Czekał blisko dwie minuty. Dwie minuty w pewnych okolicznościach mogą się bardzo dłużyć, ale jemu chyba to nie przeszkadzało. Usłyszał skradające się kroki, a potem zza drzwi wychyliła się niewyraźna sylwetka mężczyzny, której jedynym rozpoznawalnym szczegółem była szpiczasta czapka i dłoń zaciśnięta na uchwycie rewolweru w tak jednoznacznym zamiarze, że nawet w ciemnościach widział mdłą biel napiętych kostek.

Jeszcze dwa ciche kroki i mężczyzna zatrzymał się nagle, gdy usłyszał pstryknięcie włączanej latarki i gdy poczuł, jak tłumik mausera niezbyt delikatnie wbija mu się w kark.

- Rzuć broń! Ręce za głowę, trzy kroki do przodu i nie oglądaj się!

Wykonał polecenie. Petersen zamknął drzwi, odnalazł kontakt i zapalił światło. Wszystko wskazywało na to, że znaleźli się u jubilera, choć właściciel - najwyraźniej człowiek małej wiary w siły zbrojne wojsk okupacyjnych, bądź rodzimych, a może jednych i drugich - roztropnie i do cna wymiótł swoje gablotki.

- Teraz możesz się odwrócić - rzekł Petersen.

Mężczyzna odwrócił się. Jego młoda twarz przybrała wojowniczy i nieugięty wyraz, ale niczym nie udało mu się zamaskować oczu ani lęku, który się w nich czaił.

- Zastrzelę cię - zaczął Petersen tonem, jakim prowadzi się rozmowę przy kawie - jeśli masz jeszcze jakąś broń, którą przede mną ukrywasz.

- Nie mam innej broni.

- Dokumenty. Młodzieniec zacisnął usta, nie odezwał się, nie wykonał żadnego ruchu.

Petersen westchnął

- Zakładam, że wiesz, co to tłumik. Zapewniam cię, że... potem bardzo łatwo ci je odbiorę. Nikt nie będzie wiedział, kto cię zabił, za co i kiedy, a co w tej chwili ważniejsze, ty też nie.

Chłopak sięgnął za pazuchę i wyjął portfel. Petersen otworzył go kciukiem i czytał na głos:

- Hans Winterman... Urodzony 24 sierpnia 1924 roku... Dziewiętnaście lat i już porucznik! No proszę, musi być z ciebie niezły bystrzak!

Petersen złożył portfel i schował go do kieszeni. - Śledziłeś mnie dziś wieczorem. I wczoraj prawie cały dzień. I przedwczoraj. A mnie natarczywość nuży, zwłaszcza gdy jest tak nachalna. Dlaczego za mną łazisz, co?

- Zna pan moje nazwisko, stopień, oddział...

Petersen machnął ręką by go uciszyć.

- Daruj sobie. No cóż, nie dajesz mi wyboru...

Cała zadziorność zniknęła z twarzy porucznika bez śladu.

- Pan mnie... zabije?

- Nie bądź durniem.

Hotel Splendide daleki był od wspaniałości, choć właśnie to sugerowała jego nazwa. Jednak obskurna anonimowość budynku nader Petersenowi odpowiadała. Zaglądając przez spękaną i brudną szybę frontowych drzwi, nie bez zdziwienia dostrzegł, że tłusty, nie ogolony i dobrze już zaawansowany w latach portier choć raz nie drzemie, a przynajmniej jest na tyle rozbudzony, by co i raz wychylać coś z butelki. Petersen obszedł hotel od tyłu, wspiał się po schodkach przeciwpożarowych, dostał się na trzecią kondygnację, aby tam skręcić w korytarz na lewo i wejść do swego pokoju za pomocą wytrycha. Szybko sprawdził szafki i szuflady. Zadowolony z wyniku inspekcji, narzucił na siebie ciężki płaszcz, wyszedł z pokoju i zajął pozycję na znanych mu już schodach ewakuacyjnych. Mimo dodatkowej ochrony, jaką stanowił płaszcz, było tu zdecydowanie chłodniej niż, jak się teraz zdawało, na przytulnych uliczkach miasta. Żywił zatem nadzieję, że nie będzie musiał czekać zbyt długo.

Czekał wręcz krócej niż się spodziewał. W niespełna pięć minut w korytarzu pojawił się niemiecki oficer. Rażno krocząc skręcił w lewo, zapukał do drzwi, później, tym razem stanowczo, szarpnął klamkę i cofnął się z zafrasowaną twarzą. Potem dało się słyszeć skrzypienie i łoskot wiekowej windy, później nastąpiła cisza, znów zaskrzypiała winda, aż wreszcie ukazał się ten sam oficer w asyście stróża z kluczem w ręku.

Po dziesięciu minutach, gdy żaden z mężczyzn się nie pokazywał, Petersen wsunął się do środka, opuścił w dół i zza rogu obserwował lewą odnogę korytarza. W jej środkowej części stał portier, bez wątplenia na czatach. Tak samo nie budził wątpliwości fakt, że był z niego zaprawiony i przygotowany na każdą okoliczność bojownik, z kieszeni bowiem wyjmował od czasu do czasu piersiówkę i zamykając z ukontentowaniem oczy, rozkoszował się jej zawartością. Petersen klepnął go jowialnie w ramię.

- Dobra robota, przyjacielu...

Portier zakrztusił się, rozkaszał, zapłuł i usiłował coś wychrypieć, ale krtań odmówiła mu posłuszeństwa. Petersen już go nie widział; zaglądał w głąb pokoju.

- Aaaa... Dobry wieczór, pułkowniku Lunz! Mam nadzieję, że wszystko jest na swoim miejscu.

Lunz był niemal bliźniaczo podobny do Petersena: średniego wzrostu, szeroki w ramionach, z ostrą twarzą, szarymi oczami i rzadziejącymi ciemnymi włosami - nieco starsza wersja Petersena, jednak niewątpliwie podobieństwo było uderzające. Lunz nie zdawał się być w najmniejszym stopniu zbity z tropu.

- Dobry wieczór. Dopiero co przyjechałem i...

- No, no pułkowniku... - Petersen pogroził mu palcem. - Oficerowie, bez względu na narodowość, są ciągle oficerami i pod każdą szerokością geograficzną dżentelmenami. A dżentelmeni nie kłamią. Jest pan tu dokładnie od jedenastu minut, mierzyłem czas.

Odwrócił się do wciąż purpurowego i z trudem łapiącego oddech stróża, który czynił szalone wysiłki, by przemówić. Klepnął go zachęcająco w plecy.

- Chcesz nam coś powiedzieć, bracie?

- Nie było pana. - Konwulsje z wolna ustawały. - To znaczy był pan, ale widziałem, jak pan wychodził. Jedenaście minut? Jedenaście minut? Nie zauważyłem... to jest... Pański klucz...

- Byłeś wtedy pijany - rzekł Petersen pobłażliwie. Nachylił się, pociągnął nosem i skrzywił się. - Jeszcze jesteś. Zabieraj się stąd. I przyslij nam butelkę brandy. Nie tego śmierdziela, którego sam ciągniesz. Francuską brandy, trzymasz ją dla gestapo. Aha, i dwa kieliszki. Czyste! Pan, naturalnie, dotrzyma mi towarzystwa, drogi pułkowniku - zwrócił się do Lunza.

- Naturalnie.

Lunza trudno było wytrącić z równowagi. Spokojnie patrzył, jak Petersen zdejmuje płaszcz i rzuca go na łóżko. Uniósł w górę brew i zapytał:

- Czyżby niespodziewany spacer w chłodną noc?

- Po Rzymie w styczniu? To nie czas, żeby ryzykować własne zdrowie. A i wiszenie na schodach przeciwpożarowych to nie igraszka, zapewniam pana.

- Więc tam się pan ukrył... Powiniennem być chyba lepiej się zabezpieczyć.

- A już na pewno wystawić lepszą wartę.

- Istotnie...

- Lunz wyjął fajkę z wrzośca i zaczął ją nabijać. - Nie miałem wielkiego wyboru.

- Pan mnie zasmuca, pułkowniku, naprawdę. Zdobywa pan mój klucz, co stoi w sprzeczności z prawem, wystawia pan strażę, żeby nie zostać przyłapanym na kolejnym łamaniu prawa, szpera pan

w moich osobistych...

- Szpera?!
- Uważnie przegląda. Nie bardzo wiem, jakie to obciążające mnie dowody spodziewał się pan znaleźć?
- Prawdę mówiąc żadnych. Nie wygląda pan na człowieka, który zostawiałby jakieś...
- A do tego każe mnie pan jeszcze śledzić. Z całą pewnością tak, bo inaczej nie wiedziałby pan, że wcześniej wychodziłem bez okrycia. Zasmuca mnie to, pułkowniku, właściwie szokuje. Gdzież jest wzajemne zaufanie, które powinno łączyć sojuszników?
- Sojuszników? - Zapalił zapałkę. - Nie myślałem o tym w ten sposób... - Sądząc po jego minie, nadal tak nie myślał.
- Oto kolejny dowód wzajemnego zaufania. - Petersen wręczył Lunzowi portfel i rewolwer odebrane młodemu porucznikowi. - Jestem przekonany, że pan go zna. Ten człowiek bardzo niebezpiecznie wymachiwał bronią.
- Aaa... - mruknął pułkownik, odrywając wzrok od dokumentów - młody, zapalczywy porucznik Winterman... Miał pan rację zabierając mu rewolwer; mógł sobie niechcący zrobić krzywdę. O ile pana znam, mogę założyć, że nie spoczywa teraz gdzieś na dnie Tybru, prawda?
- Nie traktuję sojuszników w ten sposób. Siedzi zamknięty u jubilera.
- Oczywiście - skontatował Lunz, jakby nie spodziewał się usłyszeć nic innego. - Zamknięty. Naturalnie, może się wydos...
- Nie może. Pan mnie nie tylko zasmuca, ale i obraża, pułkowniku. Dlaczego nie dał mu pan czerwonej flagi albo werbla do rąk? Czegoś, co naprawdę przykułoby moją uwagę?

Lunz westchnął.

- Młody Hans nieźle sprawdza się w czołgu, ale subtelność nie jest jego specjalnością. A propos obrażania: to nie był mój pomysł, tylko jego. Wiedziałem, oczywiście, do czego zmierza, i nie usiłowałem go powstrzymać. Guz na czole to niewielka cena za zdobyte doświadczenie.
- Nawet guza nie ma. Widzi pan on jest sojusznikiem.
- Szkoda. Może zapamiętałby nauczkę.

Pułkownik przerwał, gdyż rozległo się stukanie do drzwi i wszedł portier niosąc szkło i brandy. Petersen nalał do kieliszków i podniósł swój.

- Za operację Weiss!

- Prosit - Lunz smakował trunek. - Nie wszyscy oficerowie gestapo to barbarzyńcy. Operacja Weiss? To pan wie? A nie powinien pan
- pułkownik nie zdawał się być zaskoczony.
- Wiem o wielu rzeczach, o których wiedzieć nie powinienem.
- Pan mnie zdumiewa - stwierdził Lunz oschle; umoczył usta w brandy. - Doskonała, wyborna... Tak, ma pan wyraźną skłonność do nierozważnych żarcików specyficznego gatunku, do uporczywego nadużywania słowa "sojusznik". To zaś powoduje działania, które zapewne uważa pan za zbyt zainteresowanie pańską osobą z naszej strony.
- Nie ufacie mi?
- Musi pan jeszcze trochę popracować, żeby osiągnąć prawdziwie urażony ton głosu. Oczywiście, że panu ufamy. Pańskie osiągnięcia, i to nie byle jakie, mówią same za siebie. Czego nie możemy zrozumieć, a zwłaszcza ja osobiście, to faktu, że człowiek pańskiego formatu opowiada się po stronie, pan daruje, zdrajcy. Mam nadzieję, że nie uraziłem pańskich uczuć?
- Najpierw trzeba by do nich dotrzeć, pułkowniku. Chciałbym panu przypomnieć, że to pański führer przed dwoma laty zmusił naszego nieżyjącego już księcia regenta do podpisania układu z wami i Japończykami. Rozumiem, że to on miałby być tym zdrajcą. Niewątpliwie książę regent był człowiekiem słabym, niezdecydowanym, może tchórzliwym; nie można go nazwać człowiekiem czynu. Nie powinniśmy go jednak obwiniać, z naturą walczyć się nie da, a w jego przypadku Matka Natura wyraźnie się popisała. Nie był jednak zdrajcą. Zrobił, co uważał za najkorzystniejsze dla Jugosławii. Chciał zaoszczędzić jej okropieństwa wojny. "Bolje grob nego rob". Czy wie pan, co to znaczy?

Lunz potrząsnął głową.

- Zawilości waszego języka...
- "Lepsza śmierć niż niewola" - to właśnie wykrzykiwały tłumy, kiedy okazało się, że książę Paweł przystąpił do "paktu trzech", ten okrzyk słychać było na ulicach po odsunięciu księcia i unieważnieniu paktu. Ludzie nie rozumieli, że żadne "nego", żadne "niż" nie wchodzi w grę, bo miała być i śmierć, i niewola, co odczuli na własnej skórze, gdy führer w przystępie jednego ze swych spektakularnych aktów szaleństwa zrównał Belgrad z ziemią i zmiażdżył wojsko. Ja byłem jednym z pokonanych...
- Jeszcze odrobinę tego wyśmienitego koniaku. - Lunz wziął do ręki butelkę. - Nie wydaje się pan być zbyt poruszony, wspomnieniami...
- Któż z nas może żyć przeszłością?
- Ani też faktem, że znalazł się pan w tak nieszczęsnym położeniu i musi pan teraz zwalczać własnych rodaków.

- Zamiast dołączyć do nich i walczyć przeciwko wam? Wojna każe dobierać sobie różnych kompanów, pułkownika. Weźmy choćby was i Japończyków. Przyganiał kocioł garnkowi.

- Punkt dla pana z tym, że my nie zabijamy swoich.

- Jeszcze nie, ale nie dałbym za to głowy. Bóg jeden wie, jakie rzeczy robiliście. Tak czy owak, moralizowanie nie ma tu sensu. Jestem rojalistą i lojalistą i kiedy - o ile w ogóle - ta wojna się skończy, chcę w Jugosławii zobaczyć przywróconą monarchię. Człowiek musi mieć jakiś cel, żeby żyć, a jeżeli mój jest właśnie taki, to tylko moja, wyłącznie moja sprawa.

- Wszyscy trafimy do piekła, każdy własną ścieżką - skomentował Lunz pojednawczo. - Tyle tylko, że nie widzę pana jako serbskiego rojalisty...

- A jak miałyby taki wyglądać? No proszę, skoro już o tym mówimy, jak pana zdaniem wygląda serbski rojalista?

Lunz zamyślił się i odrzekł:

- Wyznam coś panu, Petersen: nie mam zielonego pojęcia.

- Moje nazwisko, pułkowniku - podsunął uprzejmie Petersen - i pochodzenie. Petersenów jest mnóstwo. We włoskich Alpach leży wioska, gdzie nazwisko co drugiego mieszkańca zaczyna się od "Mac" - spuścizna, jak mi mówiono, po szkockim regimencie, który został tam odcięty w jednej z tasiemcowatych, średniowiecznych wojen. Mój pra-pra-pradziadek, czy ktoś tam, był żołnierzem fortuny; brzmi to nieco lepiej niż "najemnikiem", jak się dzisiaj mówi. Jak tysiące jemu podobnych znalazł się tutaj i zapomniał wrócić do domu.

- A gdzie był ten dom? W Skandynawii? W Albionie? Gdzie?

- Genealogia mnie nudzi, pułkowniku, nie obchodzi mnie. Zresztą naprawdę nie wiem. Niech pan spyta pierwszego z brzegu Jugosłowianina, kim byli jego pięć razy wysiedlani przodkowie, a nie będzie wiedział.

Lunz skinął głową.

- Wy, Słowianie, macie dość poszatowaną historię... Do tego wszystkiego, żeby jeszcze bardziej rzecz zagmatwać, jest pan absolwentem akademii w Sandhurst...

- Dziesiątki krajów kształciła tam swoich oficerów. Jeśli idzie o mnie, nic bardziej naturalnego - w końcu mój ojciec był attache wojskowym w Londynie. Gdyby był attache marynarki wojennej w Berlinie, trafiłbym zapewne do Kiel albo do Mürwik.

- Nie mam nic przeciwko Sandhurst; bywałem tam jako gość. Cokolwiek jednak konserwatywna to szkoła. Chodzi mi o profil kształcenia....

- To znaczy?

- Nic na temat partyzantki wojennej, nic o wywiadzie i kontrwywiadzie, niczego nie uczą o kryptografii, a ja mam wrażenie, że pan w tych wszystkich dziedzinach jest specjalistą.
- W niektórych dziedzinach jestem samoukiem.
- Zapewne... - Lunz zamilkł, chwilę smakował koniak, wreszcie rzekł: - Co się stało z pańskim ojcem?
- Nie wiem. Sądzę, że na ten temat pan wie więcej ode mnie. Po prostu zniknął. Tysiące ludzi zniknęło po wiośnie czterdziestego pierwszego.
- Był tej samej orientacji co pan? Rojalista? Czetnik?

Petersen skinął głową.

- I bardzo wysoki rangą - ciągnął Lunz. - Starsi oficerowie nie znikają ot, tak sobie. Może dostał się w ręce partyzantów?
- Niewykluczone, wszystko jest możliwe. Jak pan widzi, znów nie wiem. - Petersen uśmiechnął się. - Jeśli jednak sądzi pan, że prowadzę coś na kształt wendety za przelaną w rodzinie krew, to jest to zły strzał. Nie ten kraj, nie ta epoka. Tak czy owak, nie przyszedł pan tu po to, żeby wnikać w moje motywy ani przeszłość.
- Teraz z kolei pan mnie obraża. Nie traciłbym na to czasu, bo pan powiedziałby tylko to, co uznałby za stosowne i ani słowa więcej.
- Nie przyszedł pan też, żeby zrewidować mój dobytek. Ot, po prostu tak się złożyło: była sposobność, no i pańska zawodowa ciekawość. Przyszedł pan do mnie, żeby mi coś wręczyć: kopertę z instrukcjami dla naszego komendanta. Szykuje się następny atak na tę część kraju, którą wy raczyliście nazwać Titolandem.
- Jest pan dość pewny siebie...
- Dość? Nie, jestem wręcz całkowicie pewny siebie. Partyzanci mają angielskie radioaparaty. Mają wyszkolonych radiotelegrafistów, swoich i angielskich. Mają speców od łamania kodów. Wniosek? Nie odważylibyście się już wysyłać tajnych i ważnych informacji drogą radiową. Trzeba wam zatem godnego zaufania chłopca na posyłki. Nie istnieje inny powód, dla którego chcieliście mnie widzieć w Rzymie.
- Szczerze mówiąc nic innego nie przychodzi mi do głowy, co oszczędza wszelkich wyjaśnień. - Lunz wyjął kopertę i wręczył ją Petersenowi.
- Zakodowane?
- Oczywiście.
- Skąd to "oczywiście"? Naszym kodem?

- Tak sądzę. - Idiotyczne. Jak pan myśli, kto stworzył ten kod, pułkownika?
- Nie wiem. Już wiem - pan.
- No więc idiotyczne. Dlaczego nie dacie mi ustnej wiadomości? Mam dobrą pamięć. Mogę przecież wpaść w ich ręce, a wtedy są dwie możliwości: albo uda mi się zniszczyć kopertę i wobec tego informacja ginie, albo przejmą ją partyzanci i zdekodują sami. Niezbędna konsultacja u psychiatry. - Petersen postukał się w głowę.

Lunz upił się nieco brandy i odchrząknął.

- Słyszał pan, rzecz jasna, o generale Alexandrze von Löhr? - zapytał.
- O naczelnym dowódcy sił zbrojnych na południowo-wschodnią Europę? Jak najbardziej, ale nigdy go osobiście nie spotkałem.
- Może to i lepiej. Nie przypuszczam, żeby ucieszył się zbytnio pańską diagnozą co do jego władz umysłowych. Nie jest też szczególnie łaskawy dla podwładnych - odsuwając na bok sprawę pańskiej narodowości, proszę mi wierzyć, że traktuje pana jak swego podwładnego - którzy choćby kwestionują jego rozkazy, nie wspominając już o ich niewykonaniu. A to jest jego rozkaz.
- Zaangażujcie dwóch psychiatrów: jednego dla von Löhra, drugiego dla człowieka, który go zatwierdził na tym stanowisku. Zgaduję, że to sam führer.
- Usiłuję przestrzegać elementarnych norm kultury; na ogół nie sprawia mi to trudności. Niech pan jednak nie zapomina, że jestem dowódcą pułku i Niemcem.
- Pamiętam, nie chciałem pana obrazić. Cóż, sprzeciw na nic się nie zda, otrzymałem rozkaz. Tym razem nie zabiorę się samolotem, zgadłem?
- Jest pan zdumiewająco dobrze poinformowany.
- Niezupełnie. Niektórzy pańscy koledzy są zadziwiająco gadatliwi tam, gdzie nie tylko nie powinni gadać, ale przede wszystkim bywać. W tym przypadku jestem nie tyle dobrze poinformowany, ile myślę, w odróżnieniu od... Mniejsza o to. Gdybyście wysyłali mnie samolotem, trzeba by zawiadomić moich przyjaciół, a ta wiadomość, jak każda inna, mogłaby zostać przechwycona i odszyfrowana. Nie wyobraża pan sobie, do jakich szaleństw ci partyzanci są zdolni. Bez wahania wysłaliby samobójczy oddział na nasze tyły i zestrzelili samolot na wysokości jakichś pięćdziesięciu czy stu metrów, co dawałoby absolutną gwarancję, że nikt z maszyny z życiem nie ujdzie. Petersen roklepał kopertę. - W ten sposób informacja nie osiągnęłaby celu. Zatem płynę łodzią. Kiedy?
- Jutro wieczorem.
- Skąd?
- Z niewielkiej wioski rybackiej opodal Termoli.

- Co to za łódź?
- Zadaje pan dużo pytań...
- Tu idzie o moją głowę. - Petersen wzruszył obojętnie ramionami.
- Jeśli pańska wycieczka mi się nie spodoba, zorganizuję swoją.
- I nie pierwszy raz pożyczycy pan na tę okazję łódź od swoich... Hm... sojuszników?
- Tylko w najlepiej pojętym interesie nas wszystkich.
- Naturalnie. To jest włoska łódź torpedowa.
- Taką krypę słyhać z odległości dwudziestu kilometrów.
- No to co? Wysadzę pana koło Ploce, a Ploce, jak panu wiadomo, jest we włoskich rękach. A gdyby nawet słyhać ją było z pięćdziesięciu kilometrów, to co? Partyzanci nie mają radaru, samolotów, marynarki, niczego, co mogłoby was powstrzymać.
- Zamieniliście Adriatyk w prywatny staw, jak widzę... A zatem kuter torpedowy...
- Dziękuję. Zapomniałem dodać, że będzie pan miał w drodze towarzystwo.
- Nie zapomniał pan. Zostawił pan to na deser. - Petersen napełnił kieliszki i spojrzał uważnie na Lunza. - Nie jestem pewien, czy mam na to ochotę. Pan wie, że lubię wałęsać się samotnie.
- O nie! Wiem, że pan nigdy nie wałęsa się samotnie.
- Chodzi o George'a i Alexa? Zauważył pan?
- Trudno byłoby nie zauważyć. Rzucają się w oczy, mają taką szczególną aparycję...
- Jaką znowu aparycję?
- Najemnych morderców.
- W dużej mierze ma pan rację, ale oni są inni. To moja polisa ubezpieczeniowa; osłaniają tyły. Nie uskarżam się, ale ciągle ktoś za mną łązi.
- Ryzyko zawodowe... - Lunz machnął niedbale ręką, wyrażając tym swą opinię w tej kwestii. - Byłbym wdzięczny - wrócił do sprawy - gdyby zechciał pan tych ludzi, o których mówiłem, zabrać z sobą. Co więcej, uważałbym to za osobistą przysługę, gdyby był pan uprzejmy dopilnować, by dotarli do celu.
- To znaczy dokąd?
- Tam gdzie i pan.

- Kim oni są?
- Dwójka radiotelegrafistów dla pańskich czetników. No i sprzęt, ostatnie zdobycze techniki.
- To wszystko mało i pan dobrze o tym wie. Nazwiska, adresy, kontakty.
- Sarina i Michael. Dobrze wyszkoleni, można rzec bardzo dobrze wyszkoleni, przez Brytyjczyków w Aleksandrii. Od zarania przyświecał im jeden cel: dołączyć do pańskich przyjaciół. Zgódźmy się na wersję, że my skorzystaliśmy z okazji.
- Co jeszcze? Kobieta i mężczyzna?! Nie.
- Tak.
- Nie! - zaprotestował Petersen.
- Co nie?
- Pułkowniku, ja mam co robić. Nie cierpię, jak się mnie odrywa od pracy i nie chcę bawić się w okrętową przyzwoitkę.
- Oni są rodzeństwem.
- Aha. Rodacy?
- Tak.
- I potrzebna im niańka, żeby trafić do domu?
- W domu nie byli od trzech lat. Edukację odebrali w Kairze. - Lunz machnął ręką. - Niełatwo się w tej waszej Jugosławii połapać, mój drogi. Tu Niemcy, tam Włosi, ustaszowcy, czetnicy, wszędzie partyzanci. To bardzo mylące. Pan wie, jak się po tym kraju poruszać i to, o ile mi wiadomo, lepiej niż ktokolwiek inny.

Petersen wstał.

- Fakt, rzadko się gubię. Tę dwójkę chciałbym sobie najpierw obejrzeć.
- Nie spodziewałem się niczego innego. - Lunz wychylił kieliszek, wstał i rzucił okiem na zegarek. - Będę za czterdzieści minut - zapewnił.

Petersen zapukał i w drzwiach zjawił się George. Mimo niepocholebnej opinii Lunza George ani trochę nie przypominał najemnego czy nie najemnego mordercy - dobroduszny błazen, bądź ktoś, kto mógłby za błazna uchodzić, nigdy tak nie wygląda. Miał pucułowatą, jowialną twarz, okoloną zmierzwioną strzechą ciemnosiwych włosów. Był ogromnym mężczyzną, już zresztą dobrze po

pięćdziesiątce, do tego straszliwie grubym; nabijany ćwiekami pas obejmujący ściśle coś, co niegdyś nosiło ślady wcięcia, teraz już tylko akcentował, zamiast ukrywać, monstrualnych rozmiarów brzuch. Zamknął drzwi za Petersenem i ruszył ku lewej ścianie; jak wielu otyłych - choćby tancerzy z nadwagą - był szybki i lekki w ruchach. Zdjął ze ściany gumową ssawkę z antenką podłączoną drutem do transformatora i dalej do słuchawki.

- Twój znajomy brzmi bardzo sympatycznie. - W głosie George'a słychać było prawdziwy żal. - Szkoda, że nie jest po naszej stronie. Ha! Rozkazy operacyjne, co? - stwierdził, spojrzawszy na kopertę w ręku Petersena.

- Tak. Wprost od jego wysokości generała von Löhra; można by rzec, że widać jeszcze ślady jego palców. Alex! - rzucił w stronę postaci leżącej na jednym z dwóch wąskich łóżek.

Alex wstał. W przeciwieństwie do George'a nie uśmiechnął się na powitanie, ale to nie świadczyło o niczym, bo na twarzy Alexa uśmiech nie gościł nigdy. Był mniej więcej wzrostu swego grubego kolegi, lecz na tym kończyło się wszelkie podobieństwo. Miał połowę jego lat i wagi, szczupłą, smagłą twarz i uważne oczy, którymi prawie wcale nie mrugał. Bez słowa, a jego milczkowatość dorównywała nieprzeniknionej twarzy, wziął kopertę, zanurzył rękę w chlebaku, wyjął niewielki palnik butanowy, równie mały czajniczek i zajął się gotowaniem wody. Dwie, trzy minuty później Petersen wyjął z otwartej nad parą koperty jakieś kartki i uważnie je studiował. Skończywszy, w zamyśleniu przyglądał się obu mężczyznom.

- To z pewnością zainteresuje bardzo wiele osób. Marny niby środek zimy, ale w górach Bośni robi się niebawem piekielnie gorąco...

- Kodem? - zapytał George.

- Tak, Prościutkim. Zadbalem o to, kiedy go pisałem. Jeżeli Niemcy dotąd jeszcze nie zabrali się na serio do roboty, tym razem to zrobią. Najmniej siedem dywizji, z czego cztery niemieckie pod dowództwem generała Lutersa, którego znamy, i trzy włoskie generała Glorii; jego też znamy. Siedem dywizji wspieranych przez ustaszowców i, rzecz jasna, czetników. Dziewięćdziesiąt, sto tysięcy ludzi...

- Aż tylu? - George potrząsnął głową.

- Zgodnie z tym, co tu mamy, tylu. Wszystkim wiadomo, że partyzanci stacjonują w Bihaciu i okolicy. Niemcy mają zaatakować od wschodu i północy, Włosi z południa i zachodu. Bóg mi świadkiem, że plan bitwy jest dość prosty. Partyzanci mają zostać szczelnie otoczeni, a później wystrzelani co do nogi. Proste i zrozumiałe. No i żeby nikt się nie wymknął, Włochów i Niemców będą wspomagać eskadry myśliwców i bombowców.

- A partyzanci są bez jednego samolotu, co?

- Jest jeszcze gorzej, nie mają ani jednego działka przeciwlotniczego. No, może kilka, ale te lepiej wyglądałyby w muzeum. - Petersen włożył kartki do koperty i kleił jej brzegi. - Wychodzę za kwadrans. Lunz zabiera mnie na spotkanie pewnej pary, której wcale nie mam ochoty oglądać. To

dwójka radiooperatorów szkolonych dla czetników. Będziemy musieli patrzeć im na ręce aż do Czarnogóry, czy gdzieś tam.

- Tak przynajmniej twierdzi pułkownik Lunz - odezwał się Alex. Podejrzliwość była jednym z niewielu uczuć, którym pozwalał gościć na twarzy.
- Właśnie. Dlatego chciałbym, żebyście też się trochę przeszli dziś wieczorem. Naturalnie nie ze mną, za mną.
- Dobrze nam zrobi łyk nocnego powietrza. W tych hotelowych pokojach robi się tak duszno... - George przesadzał tylko trochę; jego słabość do śmierdzących, czarnych cygar równała się jedynie z zapotrzebowaniem na piwo.
- Na piechotę, czy w gablocie?
- Jeszcze nie wiem. Macie samochód?
- Tak czy owak, siedzieć komuś na ogonie w zaciemnionym mieście to trudna sprawa. Są szanse, że nas nakryją.
- No to co? Już dawno was nakryli. Jeśli nawet Lunz, czy któryś z jego ludzi was namierzą i tak raczej nie każą was śledzić. Zresztą potrafią oni, potraficie i wy.
- Znaczą się namierzyć tych, co nam depczą po piętach. Co mamy robić?
- Zobaczycie, dokąd mnie wezmą. Kiedy wyjdę, dowiecie się czegoś na temat tej dwójki od radia.
- Dobra, ale przydałoby się choć kilka szczegółów. Nie od rzeczy byłoby wiedzieć, kogo, na przykład, szukamy.
- Lat pewnie ze dwadzieścia parę, rodzeństwo, Sarina i Michael. To wszystko, co wiem. Tym razem nie wyważamy drzwi, George, dyskrecja jest rzeczą zasadniczą. Odrobina taktu i dyplomacji.
- Nasza specjalność. Wyciągamy legitymacje karabinierów? - upewnił się George.
- A jak myślałeś?

Pułkownik Lunz bez wątplenia nie kłamał mówiąc, że dwójka radiooperatorów to brat i siostra. Mimo wyraźnej różnicy w kolorycie i gabarycie byli, trudno zaprzeczyć, bliźniaczo do siebie podobni. On bardzo opalony - rezultat wieloletniego pobytu w Kairze - miał ciemne włosy i oczy. Ona zaś miała nieskazitelną, brzoskwińową cerę osoby, której bez trudu udaje się ignorować egipskie słońce, krótko ostrzyżone rude włosy i takie same jak brat złotobrazowe oczy. On krępy i szeroki w ramionach, ona wręcz przeciwnie, ale jaką miała figurę, nie sposób ocenić, bowiem jak i brat nosiła bezkształtny przydziewek koloru khaki. Po dokonanej prezentacji oboje zasiedli ramię w ramię na kanapie i usiłowali wyglądać zwyczajnie, na luzie, lecz ich zastygłe bez wyrazu twarze

zdradzały maskowany niepokój.

Petersen rozsiadł się wygodnie w fotelu i rozejrzał z uznaniem po dużym pokoju.

- No, proszę. Całkiem, całkiem! Wygoda? Gdzie tam! Luksus! Nieźle się wam młodym powodzi!
- Pułkownik Lunz nas tutaj umieścił - odparł Michael.
- Bez wątplenia. Pupile pana pułkownika, co? Moja spartańska kwatery...
- Jest moim własnym wyborem - łagodnie wpadł mu w słowo Lunz. - Trudno rezerwować apartamenty dla kogoś, kto przyjeżdża do miasta i trzy dni zwleka, zanim raczy nas o tym zawiadomić.
- Też racja. Mam jednak niejakie zastrzeżenia co do tego lokum. Rozpatrzmy na przykład, sprawę barku...
- Nie pijemy, ani ja, ani mój brat - oderwała się Sarina niskim, cichym głosem; Petersen zauważył białe kostki jej splecionych dłoni.
- Podziwu godne - stwierdził i sięgnął do teczki, by wyjąć z niej butelkę koniaku i dwa kieliszki. Nalał sobie i Lunzowi. - Wasze zdrowie. Doszły mnie wieści, że chcecie dołączyć do naszego dobrego pułkownika w Czarnogórze. Zatem jesteście rojalistami. Możecie to jakoś udowodnić?
- Musimy to udowadniać? Pan... Pan nam nie wierzy? Nie ufa nam? - obruszył się Michael.
- Musicie zmienić, i to szybko, właściwie od zaraz, ton i sposób bycia. - Petersen przestał się dobrotliwie uśmiechać. - Oprócz kilku, dosłownie kilku ludzi, przez ostatnie lata nie wierzyłem ani nie ufałem nikomu. Czy możecie udowodnić, że jesteście rojalistami?
- Będziemy mogli, jak dotrzemy na miejsce. - Sarina spojrzała na Petersena i widząc, że jego twarz ani na jotę nie zmieniła wyrazu, bezradnie wzruszyła ramionami. - No... znam jeszcze króla Piotra. W każdym razie znałam.
- Ponieważ król Piotr obecnie przebywa w Londynie i tak się składa, że nie przyjmuje telefonów od wehrmachtu, trudno by to było teraz udowodnić, co? I nie mówcie mi, że będziecie coś udowadniać tam, na miejscu. To ciut za późno, jasne?

Przez chwilę Michael i Sarina patrzyli na siebie bezradnie szukając słów, wreszcie Sarina powiedziała z wahaniem:

- Nie bardzo rozumiemy... Mówi pan, że na miejscu będzie już za późno...
- Za późno dla mnie. Do tej pory może się zdarzyć, że plecy będą już miał podziurawione kulami jak rzeszoto, do tego rany klute lub coś w tym duchu.

Wpatrywała się w niego, krew napłynęła jej do twarzy i wreszcie wyszeptała:

- Pan chyba oszalał! Dlaczego mielibyśmy...

- Nie wiem i nie oszalałem. Odnoszę w tym interesie pewne sukcesy tylko dlatego, że jeszcze mi życie miłe. - Zamilkł i przyglądał się im czas jakiś w ciszy. - Chcecie się ze mną wybrać do Jugosławii? - westchnął.

- Właściwie już nie. - Wciąż miała zaciśnięte dłonie, a w oczach wrogość. - Po tym, co pan powiedział, już nie. - Spojrzała na brata, na Lunza i wróciła do Petersena. Czy jest inne wyjście?

- Z pewnością całe mnóstwo. Zapytajcie pułkownika Lunza.

- Panie pułkowniku?

- Całe mnóstwo to chyba nie. Owszem, istnieją inne możliwości, ale żadnej z nich nie polecam. Sedno waszej wspólnej eskapady polega na tym, żebyście dotarli na miejsce w stanie nienaruszonym. Jeśli wybierzeecie inną drogę, szanse na takie zakończenie akcji znacznie maleją. Jeżeli zaś spróbujecie na własną rękę, spadają do zera. Z majorem Petersenem odbędziecie bezpieczną podróż z gwarancją, że dotrzecie do celu. W całości, ma się rozumieć.

- Pokłada pan ogromne zaufanie w majorze - nie dowierzał Michael.

- Istotnie. Takoż i sam major Petersen. Chciałbym dodać, że ma do tego wszelkie prawo. Rzecz nie tylko w tym, że on zna ten kraj tak, jak wy go nigdy nie poznacie. Umie się też swobodnie poruszać w każdym terenie niezależnie od tego, czyje wojska go akurat zajmują. Najistotniejsze w tym wszystkim jest to, że Jugosławia jest obszarem nieustannie zmieniających się działań operacyjnych. Terytorium dziś w rękach czetników, jutro może być już zajęte przez partyzantów. Bez opiekuna byłibyście jak owce wydane na pastwę wilków.

Dziewczyna pierwszy raz uśmiechnęła się. Leciutko.

- Przy czym sam major też jest wilkiem?

- Raczej tygrysem - odparował Lunz. - I jeszcze ma dwóch takich, którzy stale dotrzymują mu towarzystwa. Nie słyszałem co prawda o spotkaniu tygrysa z wilkami, ale rozumiecie, co mam na myśli.

Nie powiedzieli ani tak, ani nie.

Petersen przyjrzał się im i spytał:

- Te ubranka, które macie na sobie, są angielskie?

Kiwnęli głowami.

- Macie zapasowe?

Znów ten sam zgodny ruch głową.

- Zimowe okrycia? Mocne buty? - indagował.
- Nie - odparł Michael z zakłopotaniem - nie sądziliśmy, że będą potrzebne. - Nie sądziliście, że będą potrzebne... - Petersen przez moment kontemplował sufit, by znów spojrzeć na zmieszaną parę na kanapie.
- Myślałem, że wybieracie się w góry, być może na dwa tysiące metrów, w środku zimy, a nie na garden-party w pełni lata.
- Nie powinienem mieć kłopotów ze zorganizowaniem niezbędnego ekwipunku do rana - śpiesznie zapewnił Lunz.
- Dziękuję, pułkowniku. - Petersen wyciągnął rękę w stronę dwóch sporych, owiniętych materiałem paczek na podłodze. - Wasz sprzęt, jak się domyślam. Angielski? - zapytał.
- Tak. Najnowsze rozwiązania. Istne cacka.
- Części zapasowe są?
- Pod dostatkiem. Wszystko, co kiedykolwiek może nam się przydać, tak twierdzą eksperci.
- Hmm, eksperci najwyraźniej nigdy nie spadli w żaden jar z radiem przytroczonym do grzbietu. Was, oczywiście, szkolili Anglicy...
- Nie. Amerykanie.
- W Kairze?
- Dużo ich tam. Nasz był sierżantem amerykańskich marines. Spec od nowych kodów. Uczył nas i kilku Anglików.
- No dobra. Odrobina współpracy z waszej strony i jakoś się dogadamy.
- Współpracy? - Michael zdawał się być zaskoczony.
- Tak, tak, współpracy. Jeśli od czasu do czasu wydam jakieś polecenia, spodziewam się, że zostaną wykonane.
- Polecenia? Nie było mowy o żadnych poleceniach! - Michael spojrzał na siostrę.
- Teraz jest o tym mowa. Wyjaśnię od razu: rozkazy mają być wykonywane bez szemrania. Inaczej w ogóle nie zabieram was z Włoch. Mogę też was wrzucić do Adriatyku, albo zostawić samym sobie w Jugosławii. Nie pozwolę, żeby dwójka niedowarzonych uczniaków, smarkaczy, którym mówi się jedno, a oni robią drugie, narażała powodzenie mojej misji.
- Smarkaczy? - krzyknął Michael zaciskając pięści. - Nie ma pan prawa...

- Owszem, ma przerwał mu ostro Lunz. Major Petersen mówił o uczniakach; powinien był raczej mówić o przedszkolakach. Jesteście młodzi, niedoświadczeni i aroganccy. To wszystko razem i każde z osobna sprawia, że stanowicie dla niego niebezpieczne obciążenie. Składaliście przysięgę, czy nie, jesteście teraz żołnierzami Wojska Królewskiej Jugosławii. Żołnierze zaś wykonują rozkazy oficerów i przełożonych.

Nie odezwali się nawet wtedy, gdy Petersen, znów patrząc w sufit, zauważył:

- A wszyscy znamy konsekwencje niewykonania rozkazów w czasie wojny...

W samochodzie Lunza Petersen westchnął:

- Obawiam się, że nie osiągnąłem z nimi takiego porozumienia jakie mógłbym osiągnąć. Nie mieli najszcześniejszych min, kiedy się rozstawaliśmy.

- Przejdzie im: młodzi, jak mówiłem. Na dodatek rozpieszczeni. O ile wiem, to arystokraci z domieszką królewskiej krwi. Von Karajan, czy coś w tym rodzaju. Dziwne nazwisko jak na Jugosłowian.

- Niespecjalnie. Niemal na pewno są ze Słowenii, potomkowie Austriaków.

- Jakkolwiek by nie było, wychowali się w rodzinie najwyraźniej nie nawykłej do wykonywania rozkazów, a tym bardziej do tonu, jakim pan się do nich zwracał.

- Śmiem twierdzić, że szybko się tego nauczą.

- Nie mam żadnych wątpliwości - zgodził się Lunz.

Petersen wrócił do hotelowego pokoju, a w pół godziny później dołączyli do niego George i Alex.

- W każdym razie znamy ich nazwiska - obwieścił George.

-Ja też: von Karajan. Co więcej?

George nie stracił kontenansu.

- Recepcjonista, bystry staruszek, zeznał, że nie wie, skąd przyjechali. Wiedział za to, że podwiózł ich pułkownik Lunz. Dał nam numer ich pokoju - bez wahania, ale z zastrzeżeniem, że jeśli chcemy się z nimi widzieć, zapowie nasi, jeżeli zgodzą się nas przyjąć, zaprowadzi. Spytaliśmy go, czy któryś z pokoiów sąsiadujących z ich numerem jest wolny, a gdy dowiedzieliśmy się, że sąsiednie pokoje to ich sypialnie, wyszliśmy.

- Dużo czasu zajął wam ten powrót...

- Przyzwyczajaliśmy się już do twoich krzywdzących sądów. Obeszliśmy hotel, weszliśmy po awaryjnych schodkach i dalej przesuwaliśmy się po wąskiej, metalowej szynie. Serio mówię, bardzo wąskiej szynie, za wąskiej zwłaszcza dla takiego staruszka jak ja. Niebezpieczna, wywołująca zawrót głowy wysokość...

- Tak, tak. - Petersen nie tracił cierpliwości; rodzeństwo von Karajanów zajmowało apartament na pierwszym piętrze. - I co dalej?

- Przy ich pokoju jest mały balkonik, a na drzwiach firanki.

- Wszystko było widać?

- I słysząc! Młody człowiek nadawał coś przez radio.

- Ciekawe... Choć właściwie nie ma w tym nic dziwnego. Morsem?

- Nie, normalnie.

- Co mówił?

- Diabli wiedzą. Jeśli o mnie idzie, mógł równie dobrze gadać po chińsku. Z całą pewnością nie był to żaden znany mi język europejski. Mówił bardzo krótko. No i wróciliśmy.

- Czy ktoś was widział? Na balkonie, na schodach, na...

George usiłował przybrać urażony wyraz twarzy.

- Peter, mój drogi...

Petersen przerwał mu, podnosząc rękę. Niewielu ludzi tak się do niego zwracało, ale też i niewielu przed wojną zaliczało się do studentów George'a w uniwersytecie belgradzkim, gdzie George był niezwykle szanowanym profesorem języków zachodnich. Wiadomo było, i to wiadomo ponad wszelką wątpliwość, że George włada biegle najmniej kilkunastoma językami, a porozumiewa się w dobrych kilku innych. - Wybacz mi, wybacz...

- Petersen zlustrował dużą postać George'a. - Właściwie jesteś całkowicie niewidzialny. Zatem jutro rano, a może w ciągu najbliższych dziesięciu minut, pułkownik Lutz dowie się, że ty i Alex weszliście wokół tej sprawy - niczego innego i tak się po mnie nie spodziewa - ale nie dowie się, że młodego von Karajana przyłapaliście na tym, jak wkrótce po naszym wyjściu nadawał przez radio. Ciekawi mnie, co to było...

George chwilę rozmyślał.

- Jutro wieczorem, na statku, moglibyście się z Alexem dowiedzieć. Petersen potrząsnął głową.

- Obiecałem Lutzowi, że dostarczymy ich na miejsce w całości.

- Obiecałeś... A czy musisz dotrzymać obietnicy? Cóż dla nas znaczy Lunz?

- My też chcemy dowiedzieć ich cało, George.

George postukał się w głowę.

- Eh, człowiek się starzeje...

- Ależ skąd, George, to tylko profesorskie roztargnienie.

Rozdział II

Wehrmacht nie uważał za konieczne przewozić swoich sojuszników limuzynami ani rozpieszczać ich luksusem. Nazajutrz Petersen i jego grupa przemierzali Italię w kufrze furgonetki, która co prawda miała chyba odpowiednią ilość kół, ale za to, niestety, wyraźne braki w amortyzacji. Od drgań samochodu pasażerowie dzwonili zębami, a nieprzerwane i głośne klekotanie maszyny uniemożliwiało jakkolwiek rozmowę. Rozpięta na metalowym stelażu plandeka była z tyłu otwarta, tymczasem w najwyższym punkcie marszruty, w Apeninach, temperatura spadła poniżej zera. W pewnym sensie była to niezapomniana przejażdżka, choć nie dlatego, że dostarczała wyszukanych przyjemności.

W normalnych warunkach smród wyziewów dieslowskiego silnika byłby zupełnie wystarczający, żeby odurzyć najodporniejszego. Tego dnia jednak mdły odór mocno stracił na wyrazie w porównaniu z zapachem -jeśli to właściwe słowo - czarnych cygar George'a. On sam, mając na względzie delikatny zmysł powonienia współpodróżnych, usadowił się z tyłu furgonetki i kiedy nie palił, a zdarzało się to niezmiernie rzadko, z zadowoleniem raczył się zawartością skrzynki piwa u swoich stóp. Zdawało się, że jest niewrażliwy na zimno i pewnie tak było, bowiem natura obdarzyła go ogromnie skuteczną warstwą izolacyjną.

Von Karajanowie, odziani w nowe zimowe ubrania, siedzieli z lewej strony, w głębi kufra, na twardej, drewnianej ławce. Zamknięci w sobie, milczący, nie mieli ani odrobinę szczęśliwszych min niż poprzedniego wieczoru, rozstając się z Petersenem. Można by to, oczywiście, łączyć z ich bielącymi cierpieniami, lecz Petersenowi znacznie prawdopodobniejsza zdawała się wersja, iż ciągle jeszcze nie doszli do siebie po spotkaniu w hotelu. Ani Sarinie, ani Michaelowi nie mogła w tym pomóc milcząca obecność Alexa, którego ponuro zamyśloną twarz wzięli łatwo, choć nieprawdzwie, za zapowiedź nadchodzącego nieszczęścia. Skąd młodzi ludzie mieli wiedzieć, że tę samą twarz obnosi Alex i przy rodzicach, których skądinąd darzy głębokim uczuciem i szacunkiem...

Chociaż graniczyło to z cudem, mimo nad wyraz ryzykownych, zmiennych serpentyn górskiej grani, udało im się bezpiecznie dojechać do maleńkiej wioski pod Corfinio i właśnie tam zatrzymali się na obiad. Z Rzymu wyruszyli o siódmej rano, zatem pokonanie stumilowej trasy zajęło im ponad

pięć godzin. Biorąc pod uwagę stopień sfatygowania drogi i prastarego wehikułu, którego ani włoska marka, ani numery rejestracyjne nie wskazywały na przynależność do wehrmachtu, średnia prędkość dwudziestu mil na godzinę była i tak niezłym wynikiem. Z wyjątkiem George'a, reszta pasażerów, zeszywniała i prawie zamarznęta, z trudem wygramoliła się z furgonetki.

Rozejrzeli się wokół w rzadko prószącym śniegu, lecz niestety, niewiele znaleźli do oglądania. Osada - czy to aby właściwe określenie? - nie miała przecież nawet nazwy i składała się z kilku kamiennych domostw, poczty i maleńkiej gospody; nie opodal leżące Corfinio, którego też nie można wziąć za metropolię, z pewnością ofiarowałyby nieco więcej, jeśli idzie o wygody i lokalne uroki. Na nieszczęście pułkownik Lunz, niezależnie od zawodowej manii utajniania wszystkiego co możliwe, podzielał również powszechną, chociaż niesprawiedliwą opinię swoich kolegów - starszych oficerów wehrmachtu - że wszyscy Włosi są renegatami, zdrajcami i szpiegami, chyba że udowodnią swoją niewinność.

Tymczasem właściciel gospody sprawiał zupełnie odmienne wrażenie: bez wiary w siebie, zdenerwowany, demonstrował co najmniej zastanawiający, jak na górskiego oberżystę, rys charakteru. Wyraźnie niezręczny kelner, na swój sposób grzeczny i pomocny, zechciał zdradzić jedynie tyle, że ma na imię Luigi; poza tym okazał się absolutnie niekomunikatywny. Sam zajazd nie wyglądał najgorzej; ogrzewały go i oświetlały zarazem sosnowe kłody palące się w nie osłoniętym kominku, które wydzielały tyle samo ciepła co iskier. Jedzenie serwowano niewyszukane, lecz obfite, a wino i piwo pochłaniane w olbrzymich ilościach przez George'a - zjawiało się na stole regularnie jak spod ziemi. Z towarzyskiego punktu widzenia jednak obiad wypadł katastrofalnie.

Milczenie nie jest najlepszym kompanem biesiady. Przy małym stoliku w oddalonym rogu sali kierowca ciężarówki i jego kumpel - w rzeczywistości uzbrojony strażnik podróżujący ze schmeisserem pod siedzeniem fotela i ukrytym przy sobie lugerem - ściszywszy głosy, nieustająco o czymś rozprawiali. Z pięciu zaś osób siedzących przy stole Petersena trzy zdawały się cierpieć na nieuleczalny paraliż języka: Alex, nieobecny duchem i zamknięty w sobie, sprawiał nieodmierne wrażenie, iż rozmyśla nad beznadziejnie ponurą przyszłością; von Karajanowie, którzy z własnego wyboru zrezygnowali ze śniadania, teraz ledwie skubali jedzenie i chociaż dzięki temu mieli co prawda czas i sposobność konwersować przy obiedzie, rozmowę ograniczali wyłącznie do odpowiedzi na zadawane im pytania. Petersen, jak zwykle na luzie, rzucił kilka uprzejmych zdań, bo tego wymagała grzeczność, poza tym jednak nie wykazywał chęci, żeby przerwać niezręczną ciszę; wątpliwe, czy ją w ogóle raczył zauważyć. Natomiast George był jej aż nadto świadom i robił wszystko, aby milczenie zagłuszyć - wręcz rozpływał się w gadulstwie.

Jego konwersacyjne wysiłki przyjęły formę quizu stu pytań wymierzonego wyłącznie w młodzież. Niewiele czasu zajęło mu ustalenie, że - jak słusznie zakładał Petersen - są Słoweńcami austriackiego pochodzenia. Szkołę podstawową skończyli w Lubljanie, średnią w Zagrzebiu, aż wreszcie trafili na uniwersytet w Kairze.

- W Kairze! - wykrzyknął George i nawet udało mu się unieść brwi tak wysoko, że jeszcze trochę, a skryłyby się pod włosami. - W Kairze! Cóż was pchnęło w ten staw ze stojącą wodą?!

- Tego życzyli sobie rodzice odparł Michael. Starał się, żeby odpowiedź wypadła chłodno i z rezerwą, tymczasem słysząc w niej było jedynie próbę niezgrabnej obrony.

- W Kairze... sapnął George i wolno pokręcił głową w niedowierzaniu. - A co tam studiowaliście. jeśli wolno spytać?

- Zadaje pan wiele pytań...

- Ciekawość - wyjaśnił.-George - ojcowska ciekawość. No i, rzecz jasna, troska o nieszczęsną młodzież naszego biednego, skłóconego kraju.

Tu Sarina uśmiechnęła się pierwszy raz. Trzeba stwierdzić, że uśmiechnęła się ledwie cieniem uśmiechu, ale to wystarczyło, by sobie wyobrazić, do czego byłaby zdolna, gdyby się tylko postarała.

- Nie sądzę, żeby takie sprawy naprawdę pana interesowały, panie...

- Mów mi George. Skąd wiesz, co mnie interesuje? Interesuje mnie wszystko.

- Studiowaliśmy ekonomię i nauki polityczne.

- Dobry Boże! - George dramatycznie chwycił się za głowę. Jako aktor teatru klasycznego umarłby z głodu, ale na mniej ambitnych deskach zrobiłby furorę. - Wielkie nieba! To ty, dziewczyno, wyjechałaś do Egiptu, żeby studiować sprawy tej wagi?! Czy nie zdobyliście tam choć tyle wiedzy, by zorientować się, że to najbiedniejszy kraj na całym Bliskim Wschodzie, a ich gospodarka nie tyle mocno kuleje, co leży na obu łopatkach?! Że są zadłużeni po uszy, na miliony funtów szterlingów, dolarów i w ogóle każdej waluty, jaka ci tylko przychodzi do głowy? Tyle o egipskiej gospodarce. Jeśli zaś idzie o politykę, to, moja droga, Egipt stanowi jedynie piłkę do kopania dla wszystkich, którzy zechcą zagrać w "nogę" na jałowych i bezużytecznych piaskach pustyni, ot co.

George przerwał na moment, być może czekając na słowa uznania dla swej elokwencji, być może na jakąś reakcję, lecz skoro nic z tych rzeczy nie nastąpiło, wytrząsał się dalej:

- Zastanawiam się, co też wasi rodzice mogli mieć za złe naszej znakomitej uczelni... Myślę o uniwersytecie belgradzkim. - Zamilkł, coś rozważając. - Trzeba przyznać, że Oxford i Cambridge, owszem, wiele plusów. Także Sorbona, uniwersytet w Heidelbergu, Padwie... No, znalazłyby się jeszcze ze dwa inne, ale z nich wszystkich belgradzki jest najlepszy.

Sarina znów uśmiechnęła się nieznacznie.

- Wygląda na to, że zna się pan na uniwersytetach, panie... George. George nie pokraśniał z zadowolenia, za to udało mu się dokonać rzeczy jak dla niego niemożliwej - powiedział nieśmiało i dumnie zarazem:

- Miałem szczęście większość swego dorosłego życia spędzić wśród uczonych. Niektórzy byli prawdziwie wielkimi sławami...

Von Karajanowie wymienili długie spojrzenia, lecz się nie odezwali. Nie musieli już na głos wyrażać opinii, że ich zdaniem były to relacje typu: "George, przynieś, podaj, pozamiataj". Sądziło bez wątpienia, że nauczył się tak mówić sprzątając sale wykładowców albo stróżując przy katedrze.

George z kolei nie dawał po sobie poznać, że w wymianie ich spojrzeń dostrzegł coś niestosownego, bo też i niczego nie dostrzegł.

- Cóż - ciągnął swym najbardziej mentorskim tonem - nie moją rzeczą jest sądzić czyny ojców wobec synów, ani też matek wobec córek. Jesteście, rzecz jasna, rojalistami - bez ostrzeżenia zmienił temat.

- Dlaczego "rzecz jasna"? - spytał ostro Michael. George westchnął.

- Miałem nadzieję, że ta niższa uczelnia nad Nilem nie pozbawiła was zdrowego rozsądku właściwego moim rodakom. Gdybyście nie byli rojalistami, nie wybralibyście się na naszą wyprawę. Poza tym, pan major mówił.

- Tak dochowuje pan dyskrecji? - Sarina obrzuciła Petersena krótkim spojrzeniem.

- Nie wiedziałem, że to tajemnica. - Petersen obojętnie machnął ręką. - Nie zdawało mi się to aż tak istotne, żeby zatrzymywać tę wiadomość dla siebie. Zresztą George zna wszystkie moje tajemnice.

Dziewczyna popatrzyła na niego niepewnie i spuściła oczy; nagana mogła być rzeczywista, ukryta albo tylko przez nią wymyślona.

George mówił dalej.

- Zdumiewacie mnie, moi drodzy. Jesteście rojalistami. Należy się spodziewać, że wasi rodzice też. Nic też dziwnego, że członkowie rodziny królewskiej albo ludzie z nimi związani wysyłają swe dzieci na studia za granicę. Ale, na miłość boską, nie do Kairu! Do zachodniej Europy tak, zwłaszcza do Anglii. Ostatecznie więzy jugosłowiańskiej i angielskiej rodziny królewskiej są dość bliskie, szczególnie więzy krwi. Jakie miejsce wybrał król Piotr na swe wymuszone wygnanie? Londyn, gdzie teraz siedzi. A i regentem, księciem Pawłem, też opiekują się Brytyjczycy.

- W Kairze mówi się, że jest ich więźniem - ton głosu Michaela nie sugerował, by młody człowiek zanadto się tym przejmował.

- Bzdura! Jest w Kenii, w areszcie zapobiegawczym, ale może się poruszać wedle woli. Regularnie podejmuje pieniądze z banku w Londynie. To Coutts, ten sam bank, w którym angielska rodzina królewska ma swoje konta. Najbliższym przyjacielem naszego regenta w Europie, i jednocześnie jego szwagrem, jest książę Kentu. Właściwie był, do zeszłego roku, póki nie zginął w katastrofie na wodnopłatawcu. Powszechnie też wiadomo, że książę Paweł już niebawem jedzie do Południowej Afryki, a ichni generał Smuts jest szczególnie blisko zaprzyjaźniony z Anglikami.

- No właśnie - odezwał się Michael. - Przedtem pan się dziwił, teraz ja. Ten generał Smuts ma dwie południowoafrykańskie dywizje w Północnej Afryce walczące ramię w ramię z Ósmą Armią, tak?

- Tak.

- Przeciwno Niemcom.

Na twarzy George'a ukazał się ślad niezwykłej dla niego irytacji.

- A niby z kim innym mieliby walczyć? - spytał.
- Więc przyjaciele naszej rodziny królewskiej w Afryce Północnej biją Niemców, tak? My jesteśmy rojalistami i bijemy się razem z Niemcami, nie przeciwko nim, tak? Raczej trudno się w tych układach połapać.
- Jestem pewna, że kto jak kto, ale ty się w nich doskonale orientujesz. - Uśmiezek na twarzy Sariny. Znowu. Petersen zaczął się zastanawiać, czy nie będzie musiał zmienić o dziewczynie zdania.
- Prawda, George?
- Nic trudnego. - George machnął ręką tak, jakby odpędzał od siebie jakąś natrętną myśl. - To tylko czasowy mariaż wyrachowania i wygody. Owszem, walczymy wraz z Niemcami, to prawda, ale nie walczymy o ich sprawę. Bijemy się za samych siebie. Kiedy już odegrają swoją rolę, nastanie czas, by się stąd zabrali. - George napełnił kufel, opróżnił połowę i westchnął, może ze smutku, może z zadowolenia. - Wciąż nas nie doceniają jako niezmiernie ważnego elementu tego, co reszta Europy nazywa nierozwiązywalnym problemem bałkańskim. A dla mnie nie ma tu żadnego problemu, tylko cel. - Wzniósł ponownie kufel. - Jugosławia!
- Nikt się nie będzie o to spierał - rzekł Petersen i spojrzał na dziewczynę. - George rozgadał się tu o członkach rodziny królewskiej. Skoro o tym mowa, to zeszłego wieczoru wspomniałaś, że znasz króla Piotra. Dobrze go znasz?
- Wtedy był jeszcze księciem... Nie, słabo. Spotkałam go raz, może ze dwa razy podczas jakichś uroczystości.
- To tak samo jak ja. Nie sądzę, byśmy zamienili więcej niż kilkanaście słów. Bystry młodzian, miły, pewnie będzie z niego dobry król. Żal, że utyka.
- Że... co?
- No, ta jego lewa noga.
- Ach to... Tak, zastanawiałam się...
- On nie lubi o tym mówić. Wszystkie te koszarne opowieści o tym, jak to się stało... Zupełnie nieprawdopodobne. Ot, zwykły wypadek na polowaniu. - Petersen uśmiechnął się. - Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś, kto swego władcę myli z dzikiem, miał przed sobą dyplomatyczną karierę. - Podniósł wzrok i kiwnął ręką; nadbiegł właściciel gospody. - Rachunek.
- Rachunek...? - Przez chwilę oberżysta zdawał się być zdziwiony, nawet zbity z tropu. - Ach, rachunek! Naturalnie, rachunek, już się robi. - Oddalił się spiesźnie.

Petersen zwrócił się do von Karajanów:

- Żałuję, że nie dopisują wam apetyty. Rozumiecie, trzeba było naładować swój akumulator przed podróżą. No, ale teraz będzie z górki. Zbliżamy się do Adriatyku - łagodniejszy klimat, powinno się robić coraz cieplej.
- Nie robi się - Alex odezwał się po raz pierwszy, odkąd znaleźli się w gospodzie; można było z góry założyć, że zanoszą wypowiedź w czarnych kolorach. - Tkwimy tu prawie godzinę i wiatr się ciągle wzmaga. Jest już dużo silniejszy. Wsłuchajcie się, a usłyszycie.

Nadstawili uszu. Rzeczywiście, dobiegło ich głębokie, niskie zawodzenie, które nie wróżyło niczego dobrego.

Alex posępnie kręcił głową.

- Z kierunku wschód-północny wschód, aż z Syberii - rzucił. - Będzie bardzo zimno. A kiedy słońce zajdzie, to dopiero będzie zimno. Bardzo, baaardzo zimno... - W jego głosie brzmiała złowroga satysfakcja, lecz nie należało się tym przejmować, gdyż inaczej mówić nie umiał.
- Pocieszyciel... - skomentował Petersen. Spojrzał na rachunek wystawiony przez oberżystę, wręczył mu kilka banknotów i gestem odmówił przyjęcia reszty. - Sądzi pan, że moglibyśmy kupić tu kilka koców?
- Koców...? - oberżysta zmarszczył brwi w zdziwieniu; nie było to bądź co bądź takie sobie zwykłe żądanie.
- Tak, koców. Czeka nas daleka droga, nie mamy w samochodzie ogrzewania, a reszta dnia będzie bardzo zimna.
- Nie widzę problemu.

Oberżysta zniknął, by dosłownie minutę później wrócić z naręczem ciemnych, wełnianych koców. Złożył je na sąsiednim stoliku i zapytał:

- Tyle wystarczy?
- Aż nadto. Bardzo to uprzejmie z pana strony. Ile płacę? - Petersen wyjął pieniądze.
- Koce...? - oberżysta uniósł ręce na znak protestu. - Nie jestem sklepikarzem, za koce nie biorę zapłaty, nie.
- Ależ musi pan, będę nalegał. Przecież koce kosztują.
- Pan pozwoli - kierowca ciężarówki zmierzał w ich stronę - będę tędy jutro przejeżdżał. Zabiorę je z sobą.

Petersen podziękował im obu i tak się to zakończyło. Alex, za którym wychodzili von Karajanowie, pomagał oberżystcie wynieść koce do samochodu. Petersen i George zatrzymali się na chwilę w sieni, zamknawszy uprzednio obie pary drzwi.

- Ty jesteś rzeczywiście nieprawdopodobnym kłamcą, George - stwierdził Petersen z podziwem. - Chytrym, diabelnie przebiegłym łgarzem. Już ci kiedyś mówiłem, że nie chciałbym być przez ciebie maglowany. Zadajesz pytanie i czy ktoś powie tak, nie, albo zupełnie nic nie mówi, ty i tak wiesz swoje.
- Gdybyś spędził ćwierć wieku, dwadzieścia pięć najlepszych lat swojego życia dręcząc się z bredzącymi studentami... - Wzruszył ramionami, jakby to wyczerpywało temat.
- Nie jestem studentem, ale i tak nie pisałbym się na twoje wypytywanki. Wyrobiłeś sobie zdanie na temat naszej młodej pary?
- Tak.
- Ja też. Poza tym sądzę, że o ile Michael nie siedział koło Einsteina, to panience warto by się przyjrzeć. Myślę, że jest bystra...
- Często obserwowałem takie zjawisko w przypadku brata i siostry, zwłaszcza bliźniaków. Zgadzam się z tobą: śliczna i sprytna.
- Niebezpieczna kombinacja, co? - uśmiechnął się Petersen.
- Niekoniecznie, jeśli dziewczyna jest w porządku, a nie mam powodów sądzić, że tak nie jest.
- Oho! Pan w średnim wieku wrażliwy na dziewczęcy wdzięk! A oberżysta?
- Zastraszony i nieszczęśliwy, co jest dziwne, bo nie pasuje do niego. Wygląda na silnego chłopca, któremu wywalenie z gospody kilku stawiających się pijaczków nie sprawia żadnego kłopotu. Poza tym zupełnie się pogubił, kiedy chciałeś zapłacić za obiad. Odnoszę nieodparte wrażenie, że bywają tu tacy goście, co to nigdy nie płacą. No i nie chciał przyjąć forszy za koce! To sprzeczne z charakterem, z włoskim charakterem, naturalnie. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się spotkać Włocha, który nie byłby w każdej chwili gotów - co ja mówię! - który by wręcz ochoczo nie skorzystał z każdej nadarzającej się okazji ubicia interesu! Ale Peter, mój drogi przyjacielu, czy nawet ty nie zdenerwowałbyś się ociupinkę, gdybyś pracował, albo musiał pracować dla SS?
- Pułkownik Lunz rzuca długi cień... A kelner?
- Gestapo straciło w moich oczach. Skoro już wysyłają swojego człowieka w przebraniu kelnera, powinni go nieco poduczyć abecadła usługiwania przy stole. Naprawdę wprawiał mnie w zakłopotanie - stwierdził George, zamilkł i po sekundzie rzekł: - Mówiłeś coś niedawno o królu Piotrze...
- Sam zacząłeś.
- To nieważne, nie migaj się. Wiesz, jako szef katedry na uniwersytecie uważany byłem, i całkiem słusznie, za człowieka świata kultury. Książę Paweł pasjonował się kulturą, chociaż jego zainteresowania dotyczyły bardziej sztuki niż filologii. Mniejsza o to. Spotkaliśmy się dobrych kilka razy na uniwersytecie i w mieście, gdzie sprawował swoje książęco-urzędowe funkcje. A teraz do

rzeczy. Spotykałem także przy tych okazjach dzisiejszego króla, wówczas księcia Piotra. Wtedy nie kulał.

- Dziś też nie kuleje - odparł Petersen.

George spojrzał na niego i kiwnął głową.

- I to ja, twoim zdaniem, jestem diabelnie chytry?

Petersen otworzył drzwi wyjściowe i klepnął George'a w ramię.

- Żyjemy w diabelnych czasach, George... - powiedział.

Druga część podróży była tylko odrobinę lepsza od pierwszej. Chociaż von Karajanami, omotanymi po uszy w grube koce, nie wstrząsały już niekontrolowane ataki dreszczy i szcęknięcia zębami, nie wyglądali przez to weselej ani też nie stali się bardziej rozmowni - byli tak samo mrukliwi i przygnębieni jak rano. Nie odezwali się nawet wtedy, gdy George, przekrzykując straszliwy warkot silnika, zaproponował coś mocniejszego, by ulżyć ich cierpieniu; Sarina wzruszyła ramionami, a Michael pokręcił tylko głową. Chyba mądrze zrobili, bo to, czym George ich częstował, nie było francuskim koniakiem, ale zabójczą odmianą śliwowicy, ich narodowego trunku.

Jakieś dwanaście kilometrów przed Pescara, koło Chieti, zoczyli z szosy numer pięć i do wybrzeża Adriatyku, we Francavilla, dotarli, kiedy zapadał zmierzch. Zmierzch nadszedł przedwcześnie, bo na niebie gromadziły się zwały ciemnoszarych chmur, które - jak twierdził Alex - wróżą nieunikniony, tęgi śnieg. Nabrzeżna szosa numer szesnaście była lepsza od drogi w górach - każda droga musiała być lepsza od drogi w górach - tak, że względnie wygodna, lecz nadal okropnie hałaśliwa podróż do Termoli trwała tylko dwie godziny. Termoli stanu wojennego, w zimie, w dodatku nocą, nie było miejscem, gdzie poeta czy kompozytor doznałby inspirujących uniesień; jedyne odczucia, jakie Termoli mogło ewentualnie wywoływać, to przygnębienie i depresję. Miasto było szare, smutne, nagie, brudne i na pierwszy rzut oka opustoszałe; jedynie gdzieś jaśniały byle jak zaciemnione okna, zapewne kawiarni czy tawern. Tereny portu natomiast prezentowały się o niebo lepiej niż nabrzeża Rzymu. Nie obowiązywało tu zaciemnienie, jedynie przygaszenie świateł, a to już zapewne niewiele różniło się od stanu normalnego. Kiedy samochód zatrzymał się przy nabrzeżu, w żółtym świetle osłoniętych latarni całkiem wyraźnie zobaczyli kontury łodzi, którą mieli płynąć do Jugosławii.

To, że była to łódź torpedowa nie budziło najmniejszych wątpliwości - niejasna pozostawała jedynie sprawa rocznika. Nie ulega natomiast kwestii fakt, że brała ona już udział w niejednej wojnie. Przetrwała ciężkie, aczkolwiek nie miażdżące ciosy w kadłub i nadbudówkę. Nie zauważyli najmniejszych śladów remontu; nikomu nawet do głowy nie przyszło, żeby odmalować niezliczone szczyrby i zadrapania znaczące burtę. Nie miała torped z tej prostej przyczyny, że usunięto z niej wyrzutnie. Nie miała też bomb głębinowych, bo i prowadnice też usunięto. Wyłączne jej uzbrojenie, o ile można to tak nazwać, stanowiła para zupełnie nieskutecznych, małych działek z pojedynczymi lufami. Jedno z nich tkwiło przed mostkiem, drugie zaś na rufie. Łudzaco przypominały

wielkokalibrowy karabin maszynowy Hotchkissa, jedną z najbardziej niecelnych broni, jaka kiedykolwiek trafiła do służby w marynarce wojennej.

Wysoki mężczyzna w czymś, co ledwie przywodziło na myśl marynarski mundur, stał na szczycie trapu. Na głowie miał czapkę z daszkiem bez naszywek, która co prawda ocieniała twarz, lecz nie mogła skryć ani jego wyraźnie zgarbionych pleców, ani wspaniałej, śnieżnobiałej brody w stylu Buffalo Billa. Na widok zbliżającego się Petersena i jego gromadki uniósł rękę ni to oddając honory, ni pozdrawiając.

- Dobry wieczór. Mam na imię Pietro. Pan jest z pewnością majorem, na którego czekamy.

- Tak. Dobry wieczór.

- O, i czworo kompanów, w tym jedna dama! Świetnie! Witajcie na pokładzie. Wyślę kogoś po wasze bagaże. Tymczasem dowódca statku życzył sobie widzieć was, jak tylko się zjawicie.

Zeszli za nim w dół i znaleźli się w pomieszczeniu, które mogło być zarówno kabiną kapitana, pokojem map i mesą oficerską. Prawdopodobnie spełniało wszystkie te funkcje na raz, bowiem przestrzeń zawsze jest w cenie na takich jednostkach. Kiedy Pietro, nie zadając sobie trudu, by zapukać, otworzył drzwi, kapitan siedział przy biurku i coś pisał. Odepchnął się od blatu na obrotowym krześle mocno przytwierdzonym do podłogi i spojrzał na wchodzących. Pietro odstąpił na bok, po czym oznajmił:

- Ostatni goście, Carlos: obiecany pan major i jego czwórka.

- Chodźcie do środka, chodźcie. Dziękuję, Pietro. Przyślij nam tu tego łotra, dobra?

- Jak już się upora z bagażem?

- Tak jest.

Pietro zniknął. Kapitan był barczystym, młodym człowiekiem o gęstych, kręconych, czarnych włosach, bardzo ogorzałej twarzy, bardzo białych zębach, ciepłym uśmiechu na ustach i w brązowych oczach. Zaczął od prezentacji.

- Nazywam się Giancarlo Tremino i jestem porucznikiem. Mówcie mi Carlos, niemal wszyscy tak robią, dyscyplina zniknęła z marynarki bez śladu. - Potrząsnął głową i wskazał swe szare flanelowe spodnie oraz białe polo. - Po co nam mundur? I tak nikt na nic nie zwraca uwagi. - Wyciągnął rękę, lewą rękę, do Petersena. - Witam, panie majorze. Nie jestem w stanie ofiarować wam takich wygód jak na "Queen Mary", ale mamy tu kilka małych kajut, łazienki, mnóstwo wina, no i gwarantujemy bezpieczną podróż do Ploce. Gwarancja zaś bierze się stąd, że na tej trasie trochę już pływaliśmy i jeszcze nie udało się nam zatonać. Co prawda zawsze jest ten pierwszy raz, jednak z natury jestem optymistą.

- Znakomicie. Skoro mamy być z sobą po imieniu, to ja jestem Peter - powiedział Petersen i kolejno przedstawił swoich towarzyszy, wymieniając imiona.

Carlos przyjął prezentację z uśmiechem i wyciągniętą dłonią, ale ani przez moment nie usiłował wstać z krzesła. Szybko i bez zażenowania wyjaśnił ten pozorny brak manier.

- Wybaczcie, że siedzę. Nie jestem ani niegrzeczny, ani leniwy, ani też przeciwny ćwiczeniom gimnastycznym. - Uniósł prawą rękę i dopiero wtedy zobaczyli dłoń ukrytą w rękawiczce. Zgiął ramię i stuknął nią o swoją prawą nogę, gdzieś w połowie łydki. Uderzenie pustego metalu o pusty metal wywołało skrzywienie na twarzach wśród stojących. Wyprostował się i palcami lewej dłoni zabębnił w wierzch prawej - tym razem usłyszeli dźwięk charakterystyczny dla zetknięcia się metalu z ciałem. - Trochę czasu upływa zanim człowiek przyzwyczai się do tych metalowych urządzeń. - Ton głosu Carlosa był niemal przepraszający. - Zbędny ruch, zresztą jakikolwiek ruch, wywołuje przykre dolegliwości. A kto z nas to lubi? Ja bynajmniej nie jestem najdzielniejszym z Rzymian.

Sarina zagryzła dolną wargę; Michael próbował ukryć fakt, że jest wstrząśnięty, ale mu się nie udało. Reszta, jak można się było spodziewać, mając za sobą osiemnaście miesięcy trudnych, zaciętych walk w górach Jugosławii, nie dała nic po sobie poznać.

- Prawa ręka i prawa noga... To już kłopot - skomentował Petersen.

- Nie tyle noga co stopa. Urwało ją w kostce. Kłopot? Słyszeliście chyba o tym angielskim pilocie myśliwca, który stracił obie nogi? I co, domagał się niańki? Krzyczał, żeby go znów wsadzili do spitfire'a czy do czegoś tam, no i wsadzili! Kłopot!

- Tak, słyszałem, jak chyba wszyscy. A ty skąd wzięłeś te dwa... hmm... draśnięcia?

- Perfidny Albion - wyjaśnił Carlos pogodnie. - Wstrętni, obrzydliwi Anglicy. Nigdy im nie ufaj. Pomyśleć tylko, że przed wojną byli naszymi najlepszymi kumplami! Razem pływaliśmy po Adriatyku i kanale La Manche, ścigaliśmy się w Cowes... Nieważne. Byliśmy na Morzu Egejskim i trzymaliśmy się, jak to się mówi, litery prawa nie wchodząc nikomu w drogę. Świt, gęsta mgła... i nagle niecałe dwa kilometry od nas w kłębach tej gęstej mgły stanął olbrzymi angielski okręt.

Carlos zawiesił głos, może dla efektu, a Petersen uprzejmie zauważył:

- Dotychczas sądziłem, że Anglicy nie wysyłali wielkich jednostek na północ od Krety. Za duże ryzyko.

- Ocena wielkości, jak i urody, tkwi w oku patrzącego. W gruncie rzeczy była to niewielka fregata, ale dla nas, rozumiesz, wyglądała jak krążownik. Byliśmy zupełnie nie przygotowani na spotkanie, oni natomiast wręcz przeciwnie - mieli już działa wycelowane w naszą stronę. Nie nasza wina, bo my na posterunkach obserwacyjnych mieliśmy czterech ludzi, siebie nie licząc, a oni radar. Radar - nam się takie szczęście nie trafiło. Dwa pierwsze pociski eksplodowały w wodzie, ledwie kilka metrów od naszej lewej burty; nie wyszły na zdrowie kadłubowi, zapewniam was. Dwa następne, lekkie, kilogramowe pociski z szybkostrzelnego działa - Anglicy mówią o nich pom-pomy - utkwily w celu. Pierwszy trafił w siłownię i wyeliminował jeden silnik - z przykrością donoszę, że nadal jest niesprawny, ale damy sobie jakoś radę - drugi pocisk wpadł do sterówki.

- Kilogram trotylu eksplodujący w zamkniętej przestrzeni nie należy do rzeczy przyjemnych. Byłeś

sam? - zapytał Petersen.

- Było jeszcze dwóch, ale nie mieli takiego fartu jak ja. Szczęście jeszcze raz się do mnie uśmiechnęło, bo weszliśmy w obłok mgły.

- Wzruszył ramionami. - I to by było na tyle. To już historia...

Rozległo się stukanie do drzwi. Do środka wszedł młodziutki marynarz, stanął na baczność i zasalutował.

- Melduję się na rozkaz, panie kapitanie.

- Świetnie. Pietro, mamy gości. Zmęczonych i spragnionych.

- Tak jest. - Chłopak zasalutował i wyszedł.

- I cóż to za bajeczki o braku dyscypliny? - zdziwił się Petersen.

- Daj mu jeszcze trochę czasu. Jest z nami dopiero od miesiąca - uśmiechnął się Carlos.

- Nawiał ze szkoły? - sądząc po minie, George też był zaskoczony.

- Jest starszy niż na to wygląda. Hmm, o co najmniej trzy miesiące.

- Macie tu kilka ładnych pokoleń - skomentował Petersen. - Choćby starszy Pietro. Daję mu siedemdziesiątkę i ani jednego dnia mniej, zgadłem?

- Ma sporo ponad siedemdziesiątkę - roześmiał się Carlos; zdawało się, że świat jest dla niego nieustającym źródłem rozrywki. - Załoga... Tak zwany kapitan z dwiema sprawnymi kończynami zamiast czterech, gołowąs z mlekiem pod nosem, emerytowany staruszek. Co za ferajna! Czekaście, aż zobaczycie wszystkich!

- Przeszłość to historia, mówiłeś. Zgoda. Czy można ci zadać pytanie z terażniejszości? - zapytał Petersen.

Carlos kiwnął głową.

- Dlaczego nie jesteś na rencie? Dlaczego na skutek wojennego inwalidztwa nie zwolniono cię ze służby, a chociażby nie przesunięto do pracy na lądzie? Czemu wciąż jeszcze jesteś w służbie czynnej?

- W służbie czynnej! - Carlos znów się roześmiał. - To jest wysoce "nieczynna" służba! Z chwilą, gdy tylko natkniemy się na coś, co wymagać będzie jakiegokolwiek działania, natychmiast składam podanie o zwolnienie. Widziałeś te dwa lekkie działka na dziobie i na rufie? Kryje się za tym jedynie moja własna duma. Nigdy nie użyjemy ich ani do ataku, ani do obrony. Powód jest prosty - żadne z nich nie działa. Ta praca nie jest w żaden sposób obciążająca, a ja mam jedną, niewielką umiejętność, która mnie do niej kwalifikuje: urodziłem się i rosnę w Pescarze, gdzie ojciec miał

jacht, właściwie kilka jachtów. Dzieciństwo i nieprawdopodobnie długie studenckie wakacje spędzałem na żaglach. Czasami pływałem po Morzu Śródziemnym i u brzegów Europy, ale głównie wzdłuż wybrzeży Jugosławii. Brzeg Adriatyku od strony Włoch jest nudny i nijaki; między Bari a Wenecją nie ma ani jednej wyspy, o której warto by wspomnieć. Co innego tysiące dalmatyńskich wysepek! Prawdziwy raj dla żeglarzy! Znam je lepiej niż ulice Pescary czy Termoli. Admiralicja uznała, że taka znajomość terenu jest, i owszem, przydatna.

- Ciemną nocą? - dziwił się Petersen. - Bez latarni morskich? Bez boi sygnalizacyjnych? Bez żadnej pomocy nawigacyjnej z lądu?
- Gdybym miał z tego korzystać, nie byłbym im aż tak potrzebny, zgadza się? Oho! Otóż i nasz poczęstunek!

Młody Pietro musiał dokonywać heroiczych wysiłków, żeby nie słać się pod ciężarem wiklinowego kosza o płaskim dnie i prostych ściankach. Właściwie nie był to kosz, lecz zanie zaopatrzone barek. Poza mocniejszymi trunkami, winami i likierami znalazły się tam również, dzięki staraniom Pietra, syfon z wodą sodową i wiaderko lodem.

- Pietro nie awansował jeszcze na barmana, a ja nie mam zamiaru wstawać z krzesła - oznajmił Carlos. - Częstujcie się sami, bardzo proszę. Dziękuję Pietro. Aha, i poproś naszą dwójkę pasażerów, żeby tu zeszli, kiedy będą mieli ochotę. - Chłopak zsalutował i wyszedł.
- Oni też wybierają się do Jugosławii. Nie wiem, jaki tam mają interes, tak jak i nie wiem, po co wy jedziecie. Wy nie znacie ich, oni nie znają was, jak statki mijające się nocą. Ale statki wymieniają sygnały rozpoznawcze. Tak każe obyczaj otwartych mórz.

Petersen wskazał mini-barek, z którego George częstował już von Karajanów pomarańczowym sokiem.

- Jeszcze jeden przejaw miłych obyczajów - stwierdził. - Muszę przyznać, że klimat totalnej wojny staje się dzięki temu nieco łagodniejszy.
- Moje odczucia są podobne. Muszę dodać, że nie jest to wynik starań naszej admiralicji. Nasza admiralicja, jak inne instytucje tego rodzaju na całym świecie, słynie ze sknerstwa. Część trunkowych zapasów pochodzi z piwnic mego ojca. Gwarantuję, że wasi kiperzy byliby zachwyceni i nie odmówiliby im trzech gwiazdek. Reszta to prezenty od przyjaciół z zagranicy.
- Kruškovaća. - George dotknął butelki. - Grappa, pelinkovac. Stara śliwowica. Dwie świetne winnice w ujściu Neretvy. Przyjaciele z zagranicy, wszyscy z Jugosławii! No i proszę, nasz młody, szczodry i troskliwy Pietro. Czyżby jasnowidz? Jego zdaniem płynie do Jugosławii? A może ktoś go poinformował?
- Podejrzliwość to nieodłączny element twojego fachu, prawda? Nie wiem, co sądzi młody Pietro, nie wiem, czy w ogóle jest w stanie coś sądzić. Nikt go nie informował. On po prostu wie. - Carlos westchnął.

- Obawiam się, że nie dla nas już urok tajnych misji, ani czar płaszczu i szpady. Gdyby dobrze poszukać, udałoby się może znaleźć w Termoli kogoś głuchego, niemego i ślepego, choć bardzo wątpię. Ale nawet gdyby, byłby to jedyny człowiek w całym mieście, który nie wiedziałby, że "Colombo" - tak się nazywa nasza łajba-inwalidka - kursuje regularnie i jak dotąd niezawodnie do Jugosławii. Prom pasażerski. Pocieszę was: o tym, dokąd dokładnie płyniemy, wiem tylko ja. Chyba że ktoś z was się wygadał. - Nalał sobie odrobinę szkockiej. - Wasze zdrowie, panowie. I pani, młoda damo.
- O tych rzeczach na ogół nie mówimy, ale obawiam się, że o innych za to aż nadto - stwierdził George ze smutkiem, ale natychmiast o tym zapomniał. - Studiowało się, co? Uniwersytet czy też może jakaś szkoła morska?
- Owszem, szkoła medyczna.
- Medyczna? - Sprawiając wrażenie człowieka, który musi natychmiast złagodzić wstrząs, jakiego doznał, George nalał sobie jeszcze trochę grappy. - Nie mów mi tylko, że jesteś lekarzem.
- Nie mam takiego zamiaru. Mam za to papier, który to stwierdza.
- Więc skąd to wszystko? - Petersen zrobił wymowny gest ręką.
- Niezłe pytanie. - Carlos na moment posmutniał zupełnie tak, jak niedawno George. - Włoska marynarka. Każda inna zresztą też. Weźmy na przykład zdolnego mechanika. Wydawać by się mogło, że jedyne miejsce dla niego to siłownia statku. A kim zostaje? Cookiem. A cordon bleu chef? Strzelcem pokładowym. - Zamachał ręką podobnie jak Petersen. - Zatem w swojej największej mądrości mnie zaproponowali to. Doktor Tremino, przewoźnik, pierwsza klasa. No, biorąc pod uwagę stan techniczny kutra, zgódźmy się na drugą. -

Usłyszeli pukanie do drzwi. - Proszę, proszę wejść.

Młoda, szczupła, średniego wzrostu kobieta, która przekroczyła próg - mogła równie dobrze mieć dwadzieścia jak i trzydzieści pięć lat była ubrana na niebiesko: w sweter, żakiet i spódnicę. Błada, bez śladu makijażu, miała poważną twarz bez uśmiechu. Jej aksamitnoczarne włosy opadały nisko na lewą część czoła i niczym skrzydłem kruka zasłaniały nieznacznie brew. Znamię po ospie, bo chyba było to znamię, umiejscowione wysoko na lewym policzku zamiast umniejszać akcentowało tylko jej klasyczną, ponadczasową urodę: za dwadzieścia, może nawet i za trzydzieści lat ta kobieta będzie wciąż tak samo piękna jak teraz. Z pewnością też czas nie wpłynie na wygląd zewnętrzny mężczyzny, który wszedł za nią do kabiny z tym, że nie chodziło tu o rzeźbiarską doskonałość rysów twarzy. Wysoki, masywnie zbudowany, jasnowłosy typ był beznadziejnie szpetny. Matka natura nie maczała jednak palców w jego brzydocie. Jak można było wnosić z wyglądu uszu, policzków, brody i nosa, w trakcie swej niewątpliwie bogatej kariery ich właściciel nieraz musiał wchodzić w bliski, a gwałtowny kontakt z różnymi przedmiotami - tępymi i ostrymi. Poza tym twarz miał przyjemną, a to dzięki częstemu, niekłamanie ciepłemu uśmiechowi, bo jego też, tak jak i Carlosa, pogoda ducha nigdy nie opuszczała.

- Oto Lorraine i Giacomo - oznajmił kapitan, by za chwilę przedstawić im Petersena i jego czwórkę.

Lorraine miała niski i ciepły głos, podobnie jak Sarina. O głosie Giacomo - czego należało się spodziewać - nie dało się tego powiedzieć. Uścisk jego dłoni natomiast napawał wręcz lękiem i tylko Sarinie udało się uniknąć strachu, jako że jej dłoń Giacomo ujął w dwa palce i szarmancko ucałował. Taki gest w wykonaniu takiego faceta powinien właściwie wydać się sztuczny i afektowany, dziwnym trafem jednak nikt go tak nie odebrał. Nikt, nawet sama Sarina. Nie odezwała się, uśmiechnęła się tylko. Był to jej pierwszy prawdziwy uśmiech - zauważył Petersen i pomyślał sobie, że na widok zębów dziewczyny każdy dentysta popadłby albo w całkowity zachwyty, albo też w zupełną rozpacz zależnie od tego, czy górę wzięłyby doznania estetyczne, czy kalkulacje finansowe.

- Zapraszam. - Carlos zrobił gest ręką w stronę wiklinowego kosza. Giacomo nie czekał na kolejną zachętę. Nie ulegało wątpliwości, że z natury szybko się decyduje i równie szybko działa. Nalał szklanek Pellegrino dla Lorraine, co wskazywało na dwie rzeczy: po pierwsze - musieli spotkać się już wcześniej, po drugie - Lorraine podzielała niechęć von Karajanów do alkoholu. Swoją szklankę do połowy napełnił szkocką i dolał po brzegi wody. Usiadł i promiennie uśmiechnął się do wszystkich.

- Zdrowie! - wznosił toast. - I na pohybel naszym wrogom.

- Konkretnie komu? - spytał Carlos.

- Za długo by wymieniać - odparł Giacomo, usiłując bez powodzenia przybrać smutny wyraz twarzy. - Mam ich zbyt wielu. - Pociągnął kilka solidnych łyków. - Wezwałeś nas tu na konferencję, kapitanie?

- Na konferencję? Skądże znowu, Giacomo. - W tym momencie Petersenowi przysłała do głowy myśl, iż nie trzeba mieć żadnych zdolności dedukcyjnych, by stwierdzić, że tych dwóch spotkało się już wcześniej. - Dlaczego miałbym zwoływać konferencję? Moim zadaniem jest dowiedzieć was tam, dokąd jedziecie i w tym mi nie możecie pomóc. Nie ma tu o czym konferować. Jako przewoźnik natomiast jestem zwolennikiem przedstawiania sobie moich gości. Ludzie waszego fachu mają skłonność do zbyt szybkich reakcji, jeśli - słusznie, albo i nie - wyczują niebezpieczeństwo spotykając nocą, na ciemnym pokładzie, jakiegoś nieznanego. Teraz takie niebezpieczeństwo nie zachodzi. No i są jeszcze trzy sprawy, o których chciałbym króciutko... Pierwsza z nich to kwestia noclegu. Lorraine i Giacomo mają osobne kajuty, o ile można tak nazwać pomieszczenia wielkości budki telefonicznej. I bardzo dobrze. Kto pierwszy, ten lepszy. Są jeszcze dwie kajuty: dwójka i trójka. - Spojrzał na Michaela. - Wy... to znaczy ty i... Sarina, jesteście rodzeństwem?

- Kto panu to powiedział? - Michael nie chciał zapewne być agresywny, ale nerwy miał już nadszarpnięte spotkaniem z Petersenem i jego przyjaciółmi, dlatego tak to właśnie wypadło.

Carlos na chwilę spuścił głowę, a potem, tym razem bez uśmiechu, stwierdził:

- Dobry Pan Bóg obdarował mnie oczami, one zaś mówią mi: bliźniaki.

- Nie ma sprawy. - Giacomo skłonił się zakłopotanej dziewczynie. - Czy młoda dama zechce mi wyświadczyć ten zaszczyt i zamieni ze mną kabiny?

Sarina uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Bardzo pan uprzejmy.
- Kwestia numer dwa - mówił dalej Carlos - jedzenie. Moglibyście zjeść na statku, ale szczerze odradzam. Giovanni kucharzy wyłącznie pod przymusem, bardzo przy tym protestując. Nie mam mu tego za złe, jest naszym inżynierem. Wszelkie jadlo z jego rondla cuchnie smarem i także smakuje. Niedaleko stąd jest znośna kafejka. No, przyjmijmy, że znośna. Ale znają mnie tam. - Obydwu damom posłał półuśmiech. - Będzie to dla mnie duża niewygodna i poświęcenie, ale chyba wybiorę się z wami. Po trzecie wreszcie: możecie schodzić na ląd, kiedy tylko zechcecie, chociaż skądinąd nie wyobrażam sobie, żeby dzisiejsza noc zachęcała do jakichkolwiek wypraw. Ucieczka przed kuchnią Giovanniego jest tu jedynym wytłumaczeniem. W mieście są patrole policji, lecz ich werwa spada wraz z temperaturą. Jeśli jednak natkniecie się na któryś z nich, wystarczy powiedzieć, że jesteście z "Colombo"; najgorsze, co was wtedy spotka, to to, że odstawią was tutaj, żeby sprawdzić.
- Jestem gotów stawić czoło pogodzie i patrolom - oświadczył Petersen. - Nie wiem, czy to już wiek, czy może godziny spędzone w tym cholernym aucie - może jedno i drugie - w każdym razie muszę rozprostować kości.
- Zatem czekamy za godzinę i razem wybierzemy się coś zjeść.
- Kapitan spojrzał na ścienny zegar. - Powinniśmy wrócić o dziesiątej. Wypływamy o pierwszej w nocy. - Tak późno? - Michael był wyraźnie zaskoczony. - To jeszcze tyle godzin! Dlaczego nie...
- Wypływamy o pierwszej. - Carlos nie tracił cierpliwości.
- Ale wiatr się wzmaga, morze na pewno jest już wzburzone. Będzie jeszcze gorzej.
- Rzeczywiście, może być nieprzyjemnie. Źle znosisz morze, Michael? - Słowa Carlosa wyrażały współczucie, jego mina nie.
- Nie. Tak. Nie wiem. Nie widzę... to znaczy, nie potrafię zrozumieć...
- Michael - Petersen przerwał mu łagodnie - czy rozumiesz, czy nie, to naprawdę nie ma znaczenia. Kapitanem jest tu porucznik Tremino, a decyzje podejmuje kapitan. Nikt nigdy nie kwestionuje decyzji Pierwszego po Bogu.
- W gruncie rzeczy sprawa jest prosta - Carlos wyraźnie zwracał się do Petersena, nie do Michaela. - Garnizon, którego zadaniem jest chronić port w Ploće, nie składa się z doborowych oddziałów. Ci żołnierze to albo emeryci, albo zupełne szczawie. Jedni i drudzy cokolwiek nerwowi i bardzo lubią strzelać, a to, że zidentyfikują się drogą radiową, nie ostudzi ich zapału. Doświadczenie i kilka szczęśliwych odwrotów nauczyło mnie, że najmądrzej jest wypływać o świcie, kiedy nawet najbardziej kaprawe oko dostrzeże, że chwacki kapitan Tremino powiewa najokazalszą włoską flagą na całym Adriatyku.

Wiatr, jak słusznie zauważył Michael, rzeczywiście nasilił się i był przejmująco zimny, ale Petersen i jego dwaj towarzysze nie wystawiali się na niską temperaturę zbyt długo; wewnętrzny radar George'a działał bezbłędnie. Tawerna, w której się znaleźli, nie była ani mniej, ani bardziej obskurna od innych, za to przynajmniej ciepła.

- Nieco krótka przechadzka jak na rozprostowanie kości - zauważył George.

- Moje kości są w porządku. Chciałem pogadać.

- Dlaczego nie w kajucie? Carlos ma takie zapasy wina, grappy i śliwowicy.

- Jak już mówiliśmy, pułkownik Lunz ma długie ręce.

- Aha! No tak. Wtyka?

- Czyżbyś się po nim tego nie spodziewał? To byłoby dziwne.

- Niestety. Chyba wiem, co masz na myśli...

- Ale ja nie. - Alex przybrał właściwy sobie, podejrzliwy wyraz twarzy.

- Chodzi o Carlosa - zaczął Petersen. - Znam go, właściwie wiem, kto to jest. Znałem jego ojca, emerytowanego kapitana marynarki wojennej wówczas na liście rezerwowej, teraz niemal na pewno w służbie czynnej. Kapitan krążownika, czy coś takiego. Wciągnęli go do rezerwy włoskiej marynarki prawie w tym samym czasie, kiedy mój ojciec został pułkownikiem rezerwy naszej armii. Obydwaj panowie kochali morze i obydwoj zajmowali się handlem. Z dużym powodzeniem. Ich ścieżki krzyżowały się w sposób nieunikniony i z czasem bardzo się zaprzyjaźnili. Spotykali się często, na ogół w Trieście, i mnie też kilka razy zdarzyło się tam z nimi bywać. Są zdjęcia. Prawdopodobnie Carlos je widział.

- Jeśli je widział, możemy mieć tylko pobożną nadzieję, że zmienne koleje losu i nieubłagany upływ czasu uniemożliwią Carlosowi rozpoznanie w majorze Petersenie beztroskiego młodzieńca z tamtych lat - stwierdził George.

- Dlaczego to takie ważne? - zapytał Alex.

- Pułkownika Petersena znałem dobrych kilka lat. W przeciwieństwie do swego syna jest, a może był, niezwykle rozmowny - wyjaśnił George.

- Aha.

- Szkoda Carlosa, wielka szkoda... - W głowie George'a brzmiał smutek i kto wie, czy nie był to smutek prawdziwy. - Zdecydowanie sympatyczny młody człowiek. To samo mógłbym zresztą powiedzieć o Giacomo, tyle że już, rzecz jasna, nie jest tak młody. Dobrze byłoby ich mieć po swojej stronie w trudnych i niebezpiecznych chwilach, a zdaje się, że ostatnio tylko takie nam się zdarzają. - George potrząsnął głową. - Gdzież, ach gdzież me wieże z kości słońiowej...?

- Powinieneś być głęboko wdzięczny, George, za tę szczyptę realizmu. Właśnie tego wam, akademikom, na co dzień brakuje. A co sądzisz o Giacomo? Włoski odpowiednik angielskiego komandosa?
- Gdzieś go straszliwie pobito, albo torturowano. Może jedno i drugie. Niewątpliwie materiał na komandosa. Ale nie Włoch. Czarnogórzec.
- Czarnogórzec?!
- Tak. Wyobraź sobie, przyjacielu, istnieje coś takiego jak Czarnogóra. - Czasami George popisywał się wyszukany sarkazmem; miał ten nieszczęsny dar cyzelowany i doskonalony przez długie lata spędzone w murach akademii. - To taka kraina w naszej ojczystej Jugosławii - objaśnił.
- A ta czupryna blond i nieskazitelny włoski?
- Blondyni zdarzają się i w Czarnogórze, a choć włoskim włada świetnie, to lekki akcent mnie nie zmyli.

Petersen ani przez moment w to nie wątpił. Doskonałe ucho George'a do języków, dialektów, akcentów i ich niuansów służyło w kręgach filologicznych daleko za Bałkanami.

Jedzenie okazało się być więcej niż znośne, a sama knajpka wyglądała całkiem nie najgorzej. Carlosa nie tylko tam znano, jak sam się wyraził, lecz wręcz odnoszono się do niego z rewerencją. Lorraine odzywała się z rzadka i wyłącznie do Carlosa, przy którym siedziała. Ona też, jak się zdawało, urodziła się w Peskarze. Oczywiście ani Alex, ani Sarina z Michaeliem nie włączyli się do rozmowy, ale to nie miało znaczenia. Carlos i Petersen prowadzili gładką, swobodną konwersację, lecz i to było mało ważne, bowiem gdy George i Giacomo rozwijali skrzydła, nader często jednocześnie, każda ewentualna luka w rozmowie stawała się czystą nedorzecznnością. Obydwaj mówili dużo i o niczym.

W drodze powrotnej na statek musieli znosić nie tylko silniejszy wiatr, ale i mokry śnieg. Carlos, który w gruncie rzeczy pił niewiele, nie trzymał się na nogach tak pewnie, jak mu się zdawało, a może raczej jak życzyłby sobie, by zdawało się innym. Po drugim potknięciu szedł już pod ramię z Lorraine; kto kogo wziął pod rękę, pozostało wyłącznie w sferze domysłów. Kiedy dotarli do trapu, "Colombo" wyraźnie kołysał się na cumach; wysoka fala w porcie zapowiadała fatalne warunki na otwartym morzu.

Ku zaskoczeniu Petersena i jego źle skrywanej irytacji, wręcz złości nawet, wewnątrz kutra czekało na nich pięciu nieznanymi facetów. Ich szef, któremu Carlos okazywał niebywały wprost szacunek, miał na imię Alessandro i był wysokim, szczupłym, siwym mężczyzną o haczykowatym nosie, bladych wargach i brwiach w stanie szczątkowym. Trzej z pozostałych czterech mężczyzn - wszyscy o połowę od niego młodszy - zostali przedstawieni jako Franco, Cola i Sepp, co zapewne stanowiło zdrobnienia od Francesco, Nicholas i Giuseppe. Czwarty nazywał się Guido. Podobnie jak ich szef mieli na sobie bliżej nie określone cywilne ubrania i jak on sprawiali wrażenie, że lepiej

zchłodziłby się w mundurach. Twarze wszystkich nosiły ten sam zimny, twardy i martwy wyraz. Petersen rzucił George'owi krótkie spojrzenie, odwrócił się i wyszedł z kabiny; nieodłączni towarzysze tuż za nim. Ledwie zaczęli rozmawiać, kiedy w przejściu pojawił się Carlos; szedł w ich stronę.

- Jest pan zdenerwowany, majorze Petersen? - zwrócił się do niego oficjalnie. Niepokój w jego głosie był ledwo zauważalny, ale był.
- Jestem głęboko niezadowolony. To, co mówiłem Michaelowi, to prawda, nigdy nie kwestionowałem decyzji kapitana. Ale tu mamy zupełnie inną sprawę. Rozumiem, że ci faceci też płyną do Płocé.

Carlos skinął głową.

- A gdzie będą spać?
- Mamy takie pomieszczenie dla pięciu osób na dziobie. Nie sądziłem, że warto wspominać o tych ludziach, majorze...
- Niezadowolaniem napawa mnie również inny fakt: Rzym dał mi wyraźnie do zrozumienia, że będziemy podróżować sami. Nie wyraziłem zgody na towarzystwo pięciu - gdzie tam! - siedmiu zupełnie obcych osób. Nie cieszy mnie też i to, że pan ich zna, kapitanie. W każdym razie zna pan niejakiego Alessandra. - W tym miejscu Carlos chciał coś powiedzieć, lecz Petersen uciszył go gestem ręki. - Zapewne nie uważa mnie pan aż za takiego głupca, żeby się wypierać. W pańskiej naturze nie leży okazywanie graniczącego z lekkiem szacunku osobie kompletnie nieznanej. No i wreszcie nie raduje mnie to, że wyglądają na bandę wynajętych zbrojów, zimnych, bezlitosnych morderców. Oczywiście, wcale nimi nie są. Za takich jednak się mają i dlatego mówię "wyglądają". Co w nich rzeczywiście niebezpieczne to nieobliczalność. Morderca z prawdziwego zdarzenia nie zna takiego pojęcia; robi bowiem dokładnie to, co ma w planie. I trzeba jeszcze wiedzieć, skoro już mowa o niepięknej sztuce usankcjonowanej zbrodni z premedytacją, że prawdziwy morderca nigdy, ale to nigdy na takiego nie wygląda.
- Mam wrażenie, że nie najgorzej się pan na tym zna. - Carlos uśmiechnął się blado. - Równie dobrze mogłoby się okazać, że z takim teraz właśnie rozmawiam.
- Bzdura! - George nie umiał prychać, ale prawie mu się udało.
- Zatem Giacomo?
- Trudno się oprzeć wrażeniu, że Giacomo uosabia całą dywizję pancerną - odparł Petersen - ale skrytobójstwo, morderstwo z zimną krwią, nie jest jego mocną stroną. Nie, nie przeszedłby wstępnej eliminacji. Pan powinien o tym dobrze wiedzieć, znając Giacomo o wiele lepiej niż ja...
- Skąd ten wniosek?
- Bo udawanie nie jest twoją mocną stroną, kapitanie.
- Tak też uważał opiekun naszego szkolnego kółka teatralnego. Lorraine?

- Zwariował - stwierdził George z przekonaniem.

- To nie jest diagnoza. - Petersen uśmiechnął się. - To tylko domysł. Klasycznie piękne kobiety niemal nigdy nie mają łagodnych oczu.

W tym miejscu Carlos potwierdził ugruntowaną już opinię, że żaden z niego aktor; słowa Petersena sprawiły mu wyraźną przyjemność.

- Jeżeli jesteś niezadowolony, bardzo przepraszam, chociaż z drugiej strony nie wiem, dlaczego to robię. Mam swoje rozkazy i moim obowiązkiem jest je wykonywać. Poza tym nic mnie nie obchodzi.

Znów kiepsko gra, pomyślał Petersen, ale nie widział sensu, by głośno dzielić się tą uwagą.

- Nie zajrzycie do mojej kajuty? - zapraszał Carlos. - Mamy jeszcze trzy godziny do wyjścia w morze, więc sporo czasu na wychylenie kilku szklaneczek przed snem. Alessandro i jego banda - twoje słowa

- nie są aż tak straszni jak wyglądają.

- Dziękuję, nie - odmówił Petersen. - Wybierzemy się jeszcze na pokład, a potem spać. Powiedzmy więc sobie dobranoc już teraz.

- Na pokład? W taką pogodę? Zamarzniecie!

- Z zimnem jesteśmy na ty.

- Ja tam wolę innych znajomych. Cóż, jak sobie chcecie, panowie.

- Wyciągnął rękę, by złapać równowagę, gdy "Colombo" przechylił się ostro na bok. - Boję się, że czeka nas niezła huśtawka. Kutry torpedowe mają swoje dobre strony, może kiedyś uda mi się je znaleźć, ale niestety mocno kiwają. Z królem Neptunem też jesteście za pan brat, prawda?

- Nasz krewniak - oświadczył George.

- Pomijając ten szczegół, obiecuję wam spokojną i monotonną podróż. Jeszcze nigdy nie miałem tu buntu.

W osłoniętej części nadbudówki Petersen rzucił:

- No i co?

- No i co? - zawtórował mu ponuro George. - Nic dobrego. Siódemka obcych na statku, a nasz zacny Carlos najwyraźniej ich wszystkich zna. Wszyscy przeciwko nam. To zresztą dla nas żadna nowość.

- Czubek jego mdlącego cygara żarzył się w ciemności. - Nie sądzisz, że naiwnością z mojej strony

byłoby rozważać, czy nasz dobry znajomy, pułkownik Lunz, zna listę pasażerów Colombo?

- Sądzę.
- Jesteśmy, rzecz jasna, przygotowani na wszelkie ewentualności...
- Na wszelkie. A jakie konkretnie masz na myśli?
- Żadne. Czuwamy w kajucie na zmianę?
- Oczywiście. Jeśli tam zostaniemy.
- Aaaa... Mamy już plan?
- Skąd. Co myślisz o Lorraine?
- Czarująca istota. Odpowiadam bez chwili wahania. Urocza młoda dama.
- Już ci mówiłem, George, o wieku i pewnych skłonnościach. Nie o to mi szło. Zdumiewa mnie jej obecność na "Colombo". Ona zupełnie nie pasuje do tego motłochu, który Carlos przerzuca do Ploce.
- Motłochu, też coś! Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie nazwał! A czym ona różni się od tego motłochu, jeśli wolno spytać?
- Każdy z pasażerów kutra coś knuje, a w każdym razie mam duże podejrzenia, że coś knuje. Jej natomiast nie podejrzewam o nic.
- Coś takiego! - George starał się, by w jego głosie zabrzmiał nieklamany podziw. - No, to rzeczywiście jest wyjątkowa.
- Carlos dał nam do zrozumienia - na czym chyba mocno mu zależało - że ona też jest z Pescary. Czy to prawda, George?
- Skąd, do licha, miałbym wiedzieć?! Jeśli o mnie idzie, może być równie dobrze z Timbaktu.
- Rozczarowujesz mnie, George. A może celowo nie chcesz zrozumieć? Dobrze, będę cierpliwy. George, twoja niezrównana znajomość wszelkich niuansów języków europejskich... No, zatem czy się urodziła, a może wychowała w Pescarze?
- Ani jedno, ani drugie.
- Ale jest Włoszką, tak?
- Nie.
- Czyżbyśmy znów trafili do Jugosławii?

- Ty może i trafiłeś, ja nie. Ja trafiłem do Anglii.

- Co?! Do Anglii?!

- Akcent, który BBC raczy nazywać południowo-angielskim standartem, nie budzi najmniejszych wątpliwości. - George kaszlnął skromnie; jego samozadowolenie mogło czasami doprowadzać do szału.

- O ile ma się choć trochę wyrobione ucho, rzecz jasna - dodał.

Rozdział III

Obydwaj, Carlos i Alex, przepowiadali to i owo, obydwóm jednak się nie udało. Alex przynajmniej w połowie miał rację. Twierdził złowieszczo i akuratnie, że będzie straszny, ale to straszny ziąb i o trzeciej nad ranem nikt z pasażerów "Colombo" by się o to nie spierał. Śnieg był tak gęsty, że widoczność spadła do absolutnego zera, poza tym zdrowo wychładzał kuter. Przy normalnie funkcjonującym ogrzewaniu nie miałyoby to znaczenia, ale ponieważ urządzenia grzejne pamiętały króla Ćwieczka i działały - jak w zasadzie wszystkie inne na okręcie - tylko na jedną trzecią gwizdka, dla szczękających z zimna podróżnych i załogi śnieg stał się problemem numer jeden.

Alex mylił się jednak - choć nieznacznie - twierdząc, że wiatr wieje z kierunku wschód-północny wschód. W rzeczywistości wiało z północnego wschodu. Laikowi, bądź każdemu, kto trzymał się tej nocy z dala od kutrów torpedowych, marna różnica dwudziestu trzech stopni w kierunku wiatru mogła wydawać się niczym. Dla pasażerów "Colombo", zwłaszcza tych wrażliwszych, była jednak nader istotna, wyznaczała bowiem granicę między tym, co uciążliwe, a niezdnośne. Gdyby "Colombo" szedł pod wiatr, kołysanie łodzi byłoby nieprzyjemne. Gdyby fale uderzały prostopadle w burtę, rzecz miałyby się jeszcze gorzej. Tej nocy jednak kuter wchodził w rozhukane morze pod kątem dwudziestu trzech stopni i dla kilkorga nieszczęśników wynikające stąd sensacje żołądkowe stanowiły gwóźdź do trumny - przeżywali rozmaite odmiany choroby morskiej z ostrą włącznie.

Carlos zapowiadał spokojną i monotonną podróż. Co najmniej dwóch ludzi - zdawałoby się całkowicie odpornych na chłód i huśtanie morza - nie podzielało jego przekonania. Z lewej strony schodów wiodących do siłowni znajdował się magazyn bosmana. Za uchylonymi drzwiami, w odległości dwóch stóp od nich, stali, ledwie widoczni w ciemności, Alex i Petersen. Do środka wpadało tylko tyle światła, by dostrzec, że Alex miał z sobą półautomatyczny pistolet maszynowy, Petersen tymczasem jedną ręką wspierał się o chwiejną ścianę, drugą zaś trzymał w kieszeni płaszcza; major już dawno uznał, że gdy się ma przy sobie Alexa, a przeciwko sobie stosunkowo niewielkie siły przeciwnika, noszenie broni jest najzupełniej zbędne.

Ich maleńka kajuta znajdowała się na sterburcie kiepsko oświetlonego korytarza, niemal dokładnie na wprost magazynu. Jej drzwi były zamknięte, ale Petersen wiedział, że za tymi drzwiami jest George, i że nie śpi tak samo jak oni. Spojrzał na fosforyzującą tarczę zegarka. Od ponad dziewięćdziesięciu minut nie opuścili z Alexem stanowiska, lecz nie widać było na nich śladów zmęczenia, zmęczenia, ani też skutków zimna. Nawet przez moment nie stali się mniej czujni; setki razy wystawali tak w zimnych, częstokroć lodowatych górach Serbii, Bośni i Czarnogóry, zazwyczaj o wiele dłużej niż teraz i zawsze wychodzili z tego cało. Ta noc miała być dla nich nocą krótkiego i w miarę komfortowego czuwania.

W dziewięćdziesiątej trzeciej minucie, w dziobowej części korytarza ukazali się dwaj mężczyźni. Zgięci w pół, usiłowali iść szybko i ukradkiem, co nie bardzo im się udawało, gdyż przy każdym przechyle kutra wpadali to na jedną, to na drugą ścianę. Próbowali skompensować ten fakt zdjęciem butów, zapewne po to, by do minimum ograniczyć czyniony przez siebie hałas, co w tych warunkach - w kakofonii okropnych trzasków, stukotu i łomotu miotanego falami kutra - było posunięciem kompletnie absurdalnym. Równie dobrze mogliby maszerować w podkutych ćwiekami buciorach, a i tak nikt by nic nie usłyszał. Każdy z nich miał wetknięty za pas pistolet, w dłoni zaś coś, co wyglądało jeszcze groźniej: ręczny granat.

Byli to Franco i Cola; obydwaj z niezbyt wesołymi minami. Petersen nie sądził, by wyraz ich twarzy łączył się jakoś z charakterem powierzonej im misji lub, ewentualnie, z wyrzutami sumienia. Bładość wymęczonych lic brała się stąd, że Franco i Cola nigdy nie słyszeli w sobie zewu morza i daliby wszystko, by go już nigdy nie usłyszeć. Rozumując logicznie, że Alessandro na akcję wysłał najlepszych ludzi, Petersen domyślił się łatwo, jak prezentowała się reszta. Siedzieli w kajucie na samym dziobie kutra, a przy szalejącym morzu dziób był tym miejscem, którego za wszelką cenę należało unikać. Zatrzymali się pod drzwiami, za którymi czaił się George, i wymienili spojrzenia. Petersen odczekał, aż kuter zawiśnie na chwilę na szczycie fali, co znaczyło kilka sekund względnej ciszy i rzucił:

- Nie ruszać się!

Franco miał widać odrobinę oleju w głowie i zamarł w bezruchu. Cola, niestety, zdecydował się potwierdzić słuszność tezy Petersena, że nie są zawodowcami, choć bardzo chcieliby za takich uchodzić. Otóż Cola upuścił granat - musiał być zatem tylko praworęczny - i już w półobrocie sięgnął po pistolet. Zdawało mu się niechybnie, że wykonał jeden płynny, błyskawiczny ruch, ale dla kogoś takiego jak Alex była to ubolewania godna ślamazarność. Cola zdążył właśnie dobyć zza pasa pistolet, kiedy Alex pociągnął za spust. Tylko raz. W niewielkiej, ograniczonej metalem przestrzeni strzał zabrzmiał niewiarygodnie głośno. Cola upuścił broń, jeszcze nie rozumiejąc spojrzał na roztrzaskane kulą ramię, wsparł się plecami o ścianę, osunął na podłogę i usiadł.

- Nigdy się nie nauczą - stwierdził Alex ponuro; Alex nie cieszył się wygraną w tak dziecinnych igraszkach.

- Może dotychczas nie miał okazji - powiedział Petersen. Uwolnił Franco od jego broni, zdążył też podnieść granat i pistolet Coli, kiedy w drzwiach kajuty stanął George. On też był uzbrojony, chociaż nie spodziewał się robić ze swej broni użytku; półautomatyczny karabin trzymał jakby od niechcenia, za łożę, z lufą skierowaną ku dołowi. Tylko raz, z rezygnacją, potrząsnął głową, ale się

nie odezwał.

- Osłaniaj tyły, George.

- Macie zamiar zwrócić tych nieszczęśników na łono rodziny?

Petersen kiwnął w odpowiedzi głową. - Chrześcijański uczynek. Sami nie daliby sobie rady.

Ruszyli w stronę dziobu. Ranny Cola i podtrzymujący go Franco szli przodem. Zdążyli ująć ze cztery kroki, gdy z lewej strony, tuż za Georgem, otworzyły się drzwi i wyszedł z nich Giacomo, wymachując beretką.

- Odłóż to - powiedział George, ciągle trzymając karabin lufą w dół. - Nie uważasz, że dość już tych hałasów?

- Dlatego tu jestem. - Giacomo opuścił broń. - Z powodu hałasu.

- Nie śpieszyłeś się zbytnio, co?

- Musiałem się najpierw ubrać - odparł Giacomo z godnością; miał na sobie tylko spodnie koloru khaki, poza tym świecił nagim, opalonym torsom imponująco ozdobionym bliznami. Widzę, że nie jesteście w pizamach, zatem spodziewaliście się tego, co zaszło. - Spojrzał na wolno oddalającą się czwórkę mężczyzn. - Co tu się tak naprawdę stało?

- Alex postrzelił Colę.

- Brawo, Alex. Nie warto było wstawać. - Jeżeli poruszyła go ta wiadomość, dobrze to ukrył.

- Cola mógłby się na to inaczej zapatrywać. - George delikatnie zakaszłał. - Znaczący, nie jesteś jednym z nich?

- Chyba oszalałeś!

- Niekoniecznie, bo czy ja was wszystkich znam? Ale nie, ty nie wyglądasz jak oni.

- Miło mi. No i co dalej?

- Nie dowiemy się, co dalej, jeśli będziemy tu stać.

Dogonili tamtych w kilka sekund, co okazało się łatwe, bowiem jęczący Cola ledwo powłóczył nogami. Chwilę potem otworzyły się drzwi gdzieś z przodu korytarza i zamajaczyła w nich czyjaś sylwetka. To skradał się Sepp. Nie wyglądał już jak zimny bandzior sprzed kilku godzin. Nie trzeba było wyobraźni, by dostrzec zielonkawy odcień jego twarzy, bo ponad wszelką wątpliwość Sepp zielony był naprawdę - czas i harce morza zrobiły swoje. W świetle tego obrazka stało się jasne, dlaczego to właśnie Franco i Cola otrzymali zadanie do wykonania.

- Sepp, nie mamy zamiaru cię zabijać - odezwał się Petersen niemal przyjacielskim tonem. Zanim byś

nas dostał, musiałbyś wpierw wykończyć swoich kumpli, Franco i Colę, a to by ci się chyba szczególnie podobało. co? - Z bładości Seppa i jego ogólnie niepewnej postawy Petersen wnosił, że w obecnej chwili niewiele mu się podobało.

- Co gorsza, Seep, zanim zastrzeliłbyś swego drugiego kolegę, sam już byś nie żył. Dlatego rzuć broń, Sepp.

O ile tu i ówdzie fizjologia Seppa nieco szwankowała, nie cierpiał on jednak na zaburzenia słuchu i sfatygowany enfield 303 uderzył z trzaskiem o podłogę.

- Kto strzelał? Carlos kuśtykał w ich stronę z pistoletem w dłoni i chociaż raz bez uśmiechu na ustach. Co tu się dzieje?

- Dobrze byś zrobił, gdybyś nam to wyjaśnił, ale tego tu ci nie potrzeba. - Petersen spojrzał na broń Carlosa.

- Owszem, potrzeba, dopóki jestem dowódcą tego statku. Pytałem, kto strzelał... - Krzyknął z bólu, gdy masywna dłoń George'a zamknęła się na jego nadgarstku. Usiłował wyswobodzić rękę, na twarzy zjawił się wyraz bezgranicznego zdumienia, aż wreszcie zagryzł wargi, chcąc powstrzymać następny okrzyk bólu. George wyjął pistolet ze zdrętwiałych palców kapitana.

- Więc to tak! - sapnął Carlos. Miał bladą twarz, co dawało się chyba łatwo wytłumaczyć. - Nie myliłem się, to wy jesteście mordercami. Macie może zamiar przejąć mój kuter?

- Chryste Panie, skądże znowu! - tym razem odezwał się George.

- Zobacz, całkiem zbielała ci kostka wskazującego palca. Nie przemyślane działania nikomu nie pomogą. - Oddał Carlosowi broń i rzucił mentorsko: - Niepotrzebna przemoc nikomu jeszcze nie wyszła na zdrowie.

Carlos wziął pistolet, zawahał się, wetknął go za pas i zaczął sobie rozcierać nadgarstek. Demonstracja pokojowych zamiarów zbiła go nieco z tropu.

- Wciąż nie rozumiem... - zaczął niepewnie.

- My też nie, Carlos, my też nie - odparł Petersen. - Akurat teraz usiłujemy to zrobić, chcemy zrozumieć. Może ty mógłbyś nam pomóc? Ci dwaj tutaj, Franco i Cola - obawiam się, że Coli potrzebne będą wkrótce twoje medyczne umiejętności - próbowali nas zaatakować. Być może wybrali się, żeby nas zabić, choć nie sądzę. Spartaczyli robotę.

- Amatorzy - dorzucił George tonem wyjaśniającym wszystko.

- Amatorzy, zgoda, ale skutki kuli amatora są czasami równie trwałe jak te od kuli zawodowca. Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, dlaczego przyszli do nas. Wyjaśnisz nam to, Carlos?

- Jakim cudem?

- Znasz Alessandra...

- Znam, ale słabo. Nie mam pojęcia, dlaczego miałby na was napadać. Ja nie zezwalam swoim pasażerom na uprawianie partyzantki.

- Z całą pewnością, ale my wiemy, że ty wiesz, kim on jest i czym się zajmuje.

- Nieprawda.

- Nie wierzę. Przypuszczam, że w tym miejscu powinienem westchnąć i bąknąć coś o kłopotach, których zaoszczędziłyby nam wszystkim mówiąc prawdę. Nie zarzucam ci kłamstwa, nie, nie. Tyle tylko, że ty zupełnie nic nie mówisz. Cóż, skoro nie chcesz pomóc, zrobimy to sami. Alessandro! - krzyknął. Minęło kilka chwil bez odpowiedzi. - Alessandro! Mam tu trzech twoich ludzi. Jeden jest ciężko ranny. Chcę wiedzieć, dlaczego ich na nas nasłałeś.

Alessandro milczał.

- Nie dajesz nam wyboru! W czasie wojny ludzie są albo przyjaciółmi, albo wrogami. Przyjaciele pozostają przyjaciółmi, a wrogowie umierają. Jeśli jesteś przyjacielem, wyjdź na korytarz. Jeśli nie, będziesz musiał zostać tam w środku i umrzeć - głos Petersena brzmiał beznamiętnie, ale i jednoznacznie.

Carlos, zapominając o bólu, oparł mu rękę na ramieniu.

- Na moim statku nie morduje się ludzi - rzekł cicho.

- Jeszcze tego nie zrobiłem. Zresztą "morderstwo" jest słowem na czas pokoju. W czasie wojny nazywamy to egzekucją. - Takie wyjaśnienie nie mogło nieść żadnego pocieszenia dla tych w kabinie.

- George, Alex, zajmijcie się Franco i Seppem. Niech wejdą do środka. Tylko zejście mi z linii strzału!

Nie trzeba się było nimi w ogóle zajmować. Niezależnie od faktu czy miało to być miejsce egzekucji, czy nie, błyskawicznie znaleźli się wewnątrz. Huknęły zatrzaskiwane drzwi i opadł jeden z ośmiu blokujących je bolców. Petersen trzymał w dłoni gruszkowaty przedmiot i uważnie go oglądał.

- Co to takiego? - spytał zaniepokojony Carlos.

- Widzisz przecież, granat, ręczny granat. George...?

George bez żadnych instrukcji dobrze wiedział, co robić; on zawsze wiedział. Stał przy drzwiach kajuty i nakrył dłoniąolec. Petersen jedną ręką chwycił klamkę, drugą nacisnął łyżkę bezpiecznika. Spojrzał na George'a, ten natychmiast odblokował drzwi, Petersen gwałtownym ruchem je uchylił - tylko na kilka cali - wrzucił granat do środka, zatrzasnął drzwi, a George docisnął

boleć. Wyglądało to tak, jakby ćwiczyli ten manewr setki razy.

- Jezus Maria! - Carlos zszarzał. - W tej małej komórce... - przerwał, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie. - A... A gdzie eksplozja? Gdzie wybuch?!

- Granaty gazowe nie robią bum-bum, tylko pssst-pssst, syczą. Jakie efekty, George?

George nie trzymał już ręki na bolcu dociskającym drzwi.

- Po pięciu sekundach dętki. Działa błyskawicznie, co?

Carlos wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie.

Cóż to za różnica? Trotyl czy gaz trujący...

Petersen nie tracił cierpliwości.

- To nie był gaz trujący. George... - przywołał swego olbrzymiego porucznika i coś mu naszeptał do ucha. George uśmiechnął się i szybko ruszył korytarzem ku rufie.

- Czy masz zamiar dać umrzeć swemu przyjacielowi Coli? - zapytał Petersen Carlosa.

- To nie jest mój przyjaciel i na pewno nie umrze. Przynies mi apteczkę i sprowadź dwóch chłopców - zwrócił się do Pietra, który właśnie zdążył do nich dołączyć. - Dam mu środek uspokajający, który go na trochę wyłączy, i środek tamujący krwawienie. Potem go zabandażuję. Ma pewnie złamaną kość, może kości. Może też mieć tak strzaskane ramię, że nic się nie da zrobić, ale w tych warunkach... Sami rozumiecie. - Spojrzał za siebie, otarł ręką czoło i wydawało się, że zaraz jęknie. - Idą nowe kłopoty... oznajmił.

Zbliżał się do nich Michael von Karajan, a tuż za nim George. Michael usiłował przybrać oburzony i wojowniczy wyraz twarzy, ale tak naprawdę był tylko nieszczęśliwy i przerażony. George natychmiast powiedział:

- Na Boga, majorze! Naszej młodzieży nie można niczego zarzucić! Należy podziwiać jej bezinteresowną odwagę! Proszę bardzo, nasz kochany "Colombo" wywija straszliwe koziołki, ale czyż zniechęci to Michaela do bezustannego ćwiczenia nowo nabytych umiejętności? Skądże znowu! I co też zatem widzimy? Otóż schylony nad nadajnikiem, nie zważając na tę fatalną pogodę, ze słuchawkami na uszach...

Petersen podniósł dłoń, a kiedy się odezwał, głos i twarz miał jednakowo lodowate.

- Czy to prawda, von Karajan?

- Nie. Właśnie chciałem...

- Kłamiesz. Skoro George mówi, że tak było, to znaczy, że tak było, jasne? Jakie wiadomości nadawałeś?

- Niczego nie nadawałem, tylko...

- George?

- Kiedy zjrzałem, niczego nie nadawał.

- Nie zdążyłby - zauważył Giacomo. - Nie wyrobiłby się między moim wyjściem a przyjściem George'a. - Spojrzał na wyraźnie drżącego Michaela z nie ukrywanym obrzydzeniem. - Ten mały to nie tylko tchórz, ale i głupiec. Skąd wiedział, że nie wrócę lada moment? Dlaczego nie zamknął się na klucz, żeby mu nikt nie przeszkadzał?

- Co chciałeś nadać? - indagował Petersen.

- Nie miałem zamiaru niczego nadawać.

- Kłamiesz po raz drugi. Do kogo chciałeś wysłać meldunek?

- Nie chciałem...

- Dałbyś z tym spokój. Trzecie kłamstwo. George, konfiskujemy mu sprzęt. Na wszelki wypadek należy też przejąć sprzęt jego siostry.

Michael osłupiał.

- Nie możecie tego zrobić! Chcecie zabrać nam radia? Przecież... Przecież to nasz sprzęt! - Boże, ty widzisz i nie grzmisz? - Petersen wpatrywał się z niedowierzaniem w von Karajana. To, czy niedowierzanie było prawdziwe czy udawane, nie miało żadnego znaczenia, dawało bowiem ten sam efekt. - Ja tu jestem twoim dowódcą, ty głupcze! Mogę zamknąć nie tylko twój sprzęt, ale i ciebie pod zarzutem buntu! Nawet zakuć w kajdany, jeśli będzie trzeba. - Petersen pokręcił głową. - "Nie możecie" mi gada, "nie możecie"... I jeszcze jedno, von Karajan: czy to możliwe, żebyś okazał się aż takim durniem i nie wiedział, że w czasie wojny używanie radia na morzu przez nieupoważnione osoby jest ciężkim przestępstwem? Zgadza się, kapitanie Tremino? - zwrócił się oficjalnie do Carlosa, nadając tym samym spodziewanej odpowiedzi wagę sądu polowego.

- Niestety tak - stwierdził Carlos, choć niechętnie.

- Czy ten młodzieniec jest osobą upoważnioną?

- Nie.

- Już wiesz, von Karajan? Kapitan też mógłby cię z powodzeniem zamknąć. George, daj sprzęt do naszej kajuty. Zaraz, zaraz... To w zasadzie wykroczenie przeciw morskim regułom gry... - Spojrzał na Carlosa. Czy sądzisz, że...

- Mam wielce stosowny sejf u siebie w kabinie. I jedyny klucz.

- Doskonale.

George ruszył po sprzęt; za nim włókł się niepocieszony Michael. Po drodze minęli dwóch marynarzy i Pietra niosącego czarną skrzynkę. Carlos otworzył apteczkę - była wyposażona bez zarzutu - i zrobił Coli dwa zastrzyki. Zamknął skrzynkę, po czym wyniesiono ją - razem z nieszczęsnym Colą.

- No dobrze. Teraz zobaczymy, co się dzieje w środku - oznajmił Petersen.

Alex nie bez trudu zwolnił bolec blokady - jak już George coś zamknął, to zamknął - i wycelował w drzwi swój pistolet maszynowy. Giacomo zrobił to samo, dając do zrozumienia, że o ile w ogóle jest po czyjejś stronie, to na pewno nie po stronie Alessandra i jego opryszków. Petersen nie sięgnął po broń - chociaż miał przy sobie lugera - tylko pchnął drzwi.

Broń nie była potrzebna. Alessandro i jego chłopcy nie stracili co prawda świadomości, ale też i nie byli w pełni przytomni. Mieli otrzeźwieć bardzo szybko. Nie kaszleli, nie prykali, nie ciekły im łzy po twarzach - byli jedynie lekko odurzeni, nieco otumanieni, odrobinę apatyczni. Alex odłożył pistolet, zebrał rozrzuconą na podłodze broń, przeszukał dokładnie czterech więźniów i znalazłszy jeszcze dwa rewolwery i aż cztery paskudnie wyglądające noże, wszystko to razem wyrzucił na korytarz.

- Cóż... - Carlos zaczął się niemal uśmiechać. - Nie błysnąłem zanadto, co? Przecież gdybyście chcieli się ich pozbyć, wrzucilibyście Colę do środka. Na to nie zwróciłem uwagi. - Pociągnął nosem z miną eksperta. - Wygląda na podtlenek azotu. No, ten... wiesz, gaz rozweselający.

- Całkiem niezłe jak na lekarza - rzekł Petersen. - Zdawało mi się, że tylko dentyści mają z tym do czynienia. Podtlenek azotu, racja, ale jego ulepszona wersja. Przy użyciu tej odmiany rozbudzony człowiek nie ma łez w oczach, nie śmieje się, nie śpiewa i nie robi z siebie durnia. Najczęściej w ogóle nic nie robi, tylko po prostu dalej śpi i budzi się o zwykłej porze zupełnie nieświadom, że cokolwiek nieprzystojnego miało tymczasem miejsce. Słyszałem jednak, że jeśli ktoś, kogo poddano działaniu gazu, dopiero co przeżył jakiś wstrząs, albo coś mu wyraźnie ciąży na sumieniu, wtedy budzi się natychmiast z chwilą, gdy gaz przestaje działać.

- Jak na żołnierza masz zadziwiające wiadomości - odezwał się Carlos.

- Bo ja jestem zadziwiającym żołnierzem. Alex, chwyć się za pistolet, a ja się rozejrzę.

- Rozejrzysz się? - zdziwił się Carlos i sam rozejrzał się po kajucie. Było tam raptem pięć płóciennych koi, nic więcej. Nie stała w niej nawet szafka na ubranie. - Tu się nie ma co rozglądać.

Petersen nie fatygował się nawet, by mu odpowiedzieć. Ściągnął koce z koi i rzucił na podłogę. Niczego nie znalazł. Podniósł jeden z pięciu plecaków i bezceremonialnie wysypał zawartość na koję. Nie natrafił na nic podejrzanego. Ot, ubrania, przybory toaletowe, znaczna ilość amunicji - część luzem, część w magazynkach - ale wydawało mu się to całkiem niewinne, nie spodziewał się bowiem niczego innego. Zawartość drugiego plecaka wyglądała tak samo. Trzeci zamknięty był na kłódkę. Petersen spojrzał na Alessandra siedzącego na podłodze. Alessandro miał znieruchomiałą twarz, twarz kompletnie pozbawioną wyrazu, co dawało efekt tak mrozący krew w żyłach, że gdyby choć odrobina zła wykwitła na jego obliczu, owa odrobinka byłaby znacznie miłsza od tej całkowicie

zastygłej pustki. Na Petersenie jednak czyjeś miny, bądź ich brak nigdy nie robiły większego wrażenia.

- No, Alessandro i co teraz? Nie popisałeś się, co? Jak się chce coś schować, należy to robić tak, żeby się nie rzucało w oczy. A trudno nie zauważyć kłódki. Dawaj klucz.

Alessandro splunął na podłogę i dalej milczał.

- Pluje. Nieładnie. To dobre dla prymitywnych rzezimieszków. Alex!

- Przeszukać go?

- Po co? Daj nóż.

Jak należało się spodziewać, nóż Alexa był ostry jak brzytwa i wszedł w twardy materiał plecaka jak w masło. Petersen zajrzał do środka.

- Rzeczywiście, powinieneś mieć wyrzuty sumienia. Carlos...

- Wyciągnął małe palnik butanowy i równie niewielki czajniczek. Czajnik nie miał pokrywki, za to jego dziobek zamknięty był nakrętką. Petersen potrząsnął naczynkiem i usłyszeli chlupotanie wody. - Nie świadczy to chyba najlepiej o gościnności "Colombo", skoro pasażerowie muszą wozić z sobą cały sprzęt do gotowania kawy czy herbaty, prawda?

Kapitan wyraźnie się zdumiał.

- Wszyscy goście tego statku mogą liczyć na każdą ilość kawy, herbaty i... - Nagle twarz mu się rozjaśniła. - Aha! Do użytku na lądzie!

- A jakże. - Petersen rozrzucił zawartość plecaka na koi, chwilę tam grzebał i wyprostował się. - A jakże, tyle tylko, że trudno jest wyobrazić sobie te odświeżające napoje bez ziaren kawy czy liści herbaty. Znalazłem to, co chciałem, chociaż i tak wszystko było jasne od samego początku. - Zainteresował się czwartym plecakiem.

- Skoro już wszystko wiesz, po co szperać dalej?

- Ludzka ciekawość, no i jeszcze fakt, że Alessandro nie budzi mojego zaufania. Kto wie, może znajdziemy tu gniazdo żmij?

Nie znalazł żadnych żmij, za to jeszcze dwa granaty gazowe i jednego walthera z dokręconym tłumikiem.

- No proszę, do tego wszystkiego skrytobójca. Zawsze marzyłem o takim cacku... - wyznał i włożywszy walthera do kieszeni, zabrał się za ostatni plecak. Znalazł w nim tylko małą metalową skrzyneczkę wielkości połowy pudełka od butów.

- Wiesz, co jest w środku? - zapytał pierwszego z brzegu; wypadło na Franco.

Franco milczał.

Petersen westchnął, przystawił mu lufę lugera do kolana i spytał:

- Kapitanie Tremino, czy on będzie jeszcze kiedyś chodził, jak nacisnę spust?
- O Boże! Kapitanowi nieobca była wojna, ale nie taka. - Może będzie chodził, ale do końca życia zostanie kaleką.

Petersen cofnął się o dwa kroki. Franco wpatrywał się w Alessandra, ale ten nie odwzajemniał spojrzenia. Spojrzał więc znów na Petersena i na lufę lugera.

- Wiem - zdecydował się.

- Otwieraj.

Franco zwolnił dwie mosiężne zapinki i wieczko odskoczyło.

- Ani wybuchu, ani gazu.

- Dlaczego sam nie otworzyłeś? - zainteresował się Carlos.

- Bo świat pełen jest krętaczy, mój drogi. Namnożyło się ostatnio sporo takich zabawek-pułapek. Jeśli nie wie się, który guziczek i kiedy nacisnąć, można się łatwo nawdychać jakiegoś paskudnego gazu. Wiele zamków wyposaża się od pewnego czasu w takie właśnie urządzenia. - Wziął pudełko do ręki i obejrzał. Miało uformowane, wyścielane aksamitem wewnątrz i zawierało szklane ampułki, dwa okrągłe puzderka i dwie nieduże strzykawki. Wyjął jedno z puzderek i potrząsnął nim; w środku coś zagrzechotało. Wręczył je Carlosowi. - Zapewne zainteresuje medyka. Przypuszczam, że są rozmaite płyny i tabletki, którymi można pozbawić świadomości na trochę, albo na zawsze. Mamy tu jeszcze siedem ampulek: jedną zieloną, trzy niebieskie i trzy różowe. Będę strzelał - ta zielona to skopolamina, środek na wzmocnienie szwankującej pamięci. Jeśli zaś idzie o różnicę w kolorze pozostałych sześciu, można ją wytłumaczyć tylko w jeden, jedyny sposób: trzy z nich zawierają dawkę śmiertelną, trzy nie. Co ty na to, kapitanie?

- Całkiem możliwe. - Najwyraźniej nie był to najweselszy wieczór dla Carlosa i Petersen przestał się już dziwić jego minie oraz lękowi, z jakim przyjął na pokład Alessandra. - Oczywiście, nie da się stwierdzić, które są które.

- Nie byłbym tego taki pewny - odparł Petersen i zagadnął wchodzącego George'a: - Wszystko w porządku?

- Drobne nieporozumienie z młodą damą. Dość krewko protestowała przeciw konfiskacie radia.

- Wcale jej się nie dziwię. Na szczęście jesteś większy od niej.

- Nie napawa mnie to szczególną dumą. Cały sprzęt jest już u kapitana - zameldował i rozejrzał się po kajucie, która wyglądała tak, jakby nawiedziło ją tornado. - No popatrz, co za banda flejtuchów,

no...

- Odrobinę im w tym pomogłem. - Petersen zabrał Carlosowi pudełko i wręczył je George'owi. - Co o tym sądzisz?

Trudno jest sobie wyobrazić, by pyzata, pogodna, cherubinowata twarz mogła w ułamku sekundy zastygnąć w kamiennej powadze, ale taką właśnie metamorfozę przeszła twarz George'a.

- To jest... śmierć.

- Wiem.

- Alessandro?

- Tak.

George przyglądał się skrytobójcy przez chwilę, kiwnął głową i odwrócił się do Petersena.

- Odnoszę wrażenie, że powinniśmy z nim zamienić kilka słów.

- Robicie błąd. Nie znacie się na ludziach tak jak ja. Jestem w końcu lekarzem. Alessandro nie powie ani słowa - odezwał się Carlos trochę zbyt mocno drżącym głosem.

George odwrócił się w jego stronę, ani na jotę nie zmieniając wyrazu twarzy. Carlos cofnął się.

- Cicho bądź, mały człowieczku. Pięć minut sam na sam ze mną, no, góra dziesięć, i nie ma na świecie takiego faceta, który nie nabrałby chęci na rozmowę. Jemu wystarczy pięć.

- Możliwe, że do tego dojdzie, całkiem możliwe... zgodził się Petersen. - Ale wszystko po kolei. Oprócz ampułek znaleźliśmy jeszcze kilka ciekawych rzeczy. Ot, choćby ten pistolet z tłumikiem. - Pokazał George'owi walthera. - Dwa granaty gazowe, palnik butanowy, czajniczek i ze dwieście sztuk naboń. Jak myślisz, po co ten czajnik?

- Jest tylko jedno wytłumaczenie. Miał zamiar nas zagazować, wykraść jakiś prawdziwy czy urojony dokument, otworzyć kopertę nad parą - ciekawe, skąd u niego wzięło się przekonanie, że znajdzie coś w kopercie? - zakleić ją, podrzucić nam do kabiny, znów wpuścić trochę gazu, odłożyć kopertę na miejsce, usunąć granaty i wyjść. Daję sobie głowę uciąć, że budząc się rano, nie podejrzewalibyśmy niczego.

- Tylko tak mogłoby się to odbyć i właśnie tak by się odbyło. Teraz trzy pytania. Dlaczego Alessandro się nami interesuje? Jakie miał dalsze plany? I kto go nasłał? - Zaraz się dowiemy - zapewnił go George.

- Naturalnie, że się dowiemy.

- Nie na moim statku - oświadczył Carlos.

George przyjrzał mu się z umiarkowaną ciekawością.

- Dlaczego nie? - spytał.
- Nie będziecie torturować ludzi na statku, którym ja dowodzę.
- Ton wypowiedzi Carlosa był jednak daleko mniej stanowczy od słów.
- Carlos, nie utrudniaj nam życia bardziej niż musisz - odezwał się Petersen. - Możemy cię łatwo zamknąć razem z tymi oprychami; nie jesteś jedyną osobą, która umie trafić do Ploce. Ale my nie mamy takiego zamiaru i nie chcemy tego robić. Zdajemy sobie sprawę, że z nie swojej winy znalazłeś się w ohydnej sytuacji. Żadnych tortur, to ci możemy obiecać.
- Przed chwilą słyszałem, że... że George będzie się dowiadywał...
- Czysta psychologia.
- Tabletki? Zastrzyki? - Carlos od razu nabrał podejrzeń.
- Ani jedno, ani drugie. Temat skończony. Zadawałem sobie jeszcze jedno pytanie, ale odpowiedź na nie jest oczywista. Dlaczego Alessandro wziął z sobą takie niedojdy? Kamuflaż. Niebezpiecznemu facetowi trudno jest oprzeć się chęci działania w towarzystwie innych niebezpiecznych typów. Alessandro jest na takie coś za sprytny. Ano tyle. Tak... Nie ma tu żadnych ciężkich przedmiotów, a przez bulaj tylko kot się prześlizgnie. Carlos, zechciałbyś przysłać nam jednego ze swoich ludzi z młotem kowalskim, albo czymś, co najbardziej go przypomina?
- Na co wam młot kowalski...? - Carlos znów stał się podejrzliwy.
- Żeby stuknąć Alessandra w głowę, nim zaczniemy zadawać mu pytania - odpowiedział spokojnie George.
- Żeby zablokować drzwi od zewnątrz. Rozumiesz, te dociskowe bolce.
- Aaaa... - Carlos wyszedł na korytarz, wydał rozkaz i wrócił.
- Idę rzucić okiem na powalonego bohatera, chociaż chyba niewiele będę mógł zdziałać.
- Jeszcze jedno, Carlos. Kiedy stąd wyjdziemy, chcielibyśmy zajrzeć do twojej kabiny, czy jak to się tam nazywa... Tam, gdzie spotkaliśmy się pierwszy raz. Co ty na to?
- Proszę bardzo. Spytam jednak: po co?
- Gdybyś sterczał półtorej godziny w tym cholernym korytarzu, wiedziałbyś po co.
- Oczywiście, coś na rozgrzewkę. Czujcie się jak u siebie w domu, panowie. Wstąpię do was i powiem, co z Colą - zamilkł i dodał sucho:

- To da wam dużo czasu na solidne przygotowanie przesłuchania.

Wkrótce po jego wyjścia zjawił się Pietro z ciężkim młotem. Zamknęli drzwi kajuty i zaryglowali jeden z ośmiu dociskowych bolców. Jeden wystarczył. George stuknął młotem tylko raz i to też wystarczyło. Nie było takiej siły, która wypchnęłaby teraz drzwi od środka. Zostawili młot w korytarzu i udali się do maszynowni. Zgodnie z przewidywaniami nie zastali tam nikogo, ponieważ wszystkie urządzenia kontrolowane były ze sterówki. Znalezienie tego, czego szukali, nie zabrało im nawet minuty. Potem krótko zabawili na górnym pokładzie, by wreszcie trafić do kabiny Carlosa.

- Zupełnie zaschło mi w gardle - oznajmił George znad drugiego, a może już trzeciego kieliszka grappy. Spojrzał na stojące u jego stóp nadajniki von Karajanów. - Bezpieczniej czułyby się u nas. Dlaczego dałeś je tutaj?

- U nas czułyby się zbyt bezpiecznie. Nasz chłopaczek nigdy by się nie ważył wyciągnąć w ich stronę ręki.

- A tu się niby odważy, co?

- Mało prawdopodobne, przyznaję. Michael, co widać gołym okiem, nie ma w sobie nic z bohatera. Może się to jeszcze co prawda okazać znakomitą grą, ale sędzę, że taki z niego aktor jak i bohater. Skoro jednak znalazł się w przymusowej sytuacji - a znalazł się na pewno, inaczej nie usiłowałby nadawać niczego w takim miejscu i o takiej porze - niewykluczone, że spróbuje jeszcze raz.

- A to wszystko spali na panewce z chwilą, gdy wróci Carlos i cały ten kram zamknie w sejfie. Tylko on ma do niego klucz.

- Może go dać Michaelowi, prawda?

- Aha! To taki planik uknułeś! No tak, wobec tego nie spuścimy oka z naszego chłopaczka aż do białego rana? To już skądinąd niedługo. Ale, ale... Założmy, że zechce dostać się do nadajnika. Co nam to da poza stwierdzeniem faktu, że istnieje jakiś związek między nim i Carlosem?

- Tylko o to mi chodzi. Nie spodziewam się, żeby któryś z nich do czegokolwiek się przyznał. Nie muszą. W każdym razie Michael nie musi. Zawsze można go zostawić w Ploce za niepodporządkowanie się rozkazom i domniemaną próbę nawiązania kontaktu z wrogiem.

- Naprawdę go o to podejrzewasz?

- A skąd! Ale z pewnością usiłował się z kimś skontaktować, a ten ktoś może być szpiegiem. Takie coś nieźle wygląda w akcie oskarżenia. Interesuje mnie jedno: czy między nimi dwoma jest jakiś związek?

- Jeśli tak, chcesz go wsadzić do aresztu?

- Jasne.

- A co z siostrą?

- Ona jest czysta. Może jechać z nami, zostać w Ploce, dzielić los brata w areszcie, jak sobie chce.
 - Cóż za elegancja wobec dam... - George pokręcił głową i sięgnął po grappę. - No tak, zastanawiamy się, czy istnieje jakiś związek między Michaelem i Carlosem, ale nie wątpimy, że coś łączy Carlosa z Alessandro.
 - Ja nie wątpię, George, ja jestem przekonany, że Carlos wie o nim dużo więcej niż my, ale nie sądzę, żeby znał jego dzisiejsze plany. Łatwo to udowodnić. Gdyby Carlos został uprzedzony o jego zamiarach, wtedy Alessandro nie woziłby z sobą palnika i czajniczka, tylko najzwyczajniej w świecie poszedłby do pentry i tam, nad parą, otworzył kopertę. Jak się miewa nasz Cola? - Odwrócił się, by zadać pytanie wchodzącemu Carlosowi.
 - Wygrzebie się. Nie ma wielkiego niebezpieczeństwa, ale ramię jest tak zharatane, że nie dotknąłbym go nawet przy idealnie spokojnym morzu. Potrzebny mu chirurg i osteolog, a ja nie jestem ani jednym, ani drugim. - Otworzył sejf, umieścił w środku radia i zamknął drzwiczki na klucz. - No, panowie, wy możecie tu sobie siedzieć, ale na mnie już czas. Sterówka wzywa.
 - Jeszcze chwila, Carlos.
 - Tak, słucham? Drobne przesłuchanie?
 - Nie, tylko kilka pytań. Mógłbyś nam zaoszczędzić wiele czasu i kłopotów... - zaczął Petersen.
 - Co takiego? I pomóc wam w przesłuchaniu Alessandra? Obiecałeś mi, że nie będzie żadnych tortur.
 - Nadal obietnicę podtrzymuję. Posłuchaj, dziś w nocy Alessandro próbował na nas napaść i wykraść pewne dokumenty. Czy wiedziałeś o tym wcześniej?
 - Nie.
 - Wierzę ci. - Carlos co prawda uniósł lekko brwi, lecz milczał.
 - Nie widać, żebyś zbytnio się martwił tym, że banda półdzikich Jugosłowian schwytała twojego rodaka, co?
 - Jeśli pytasz, czy on coś dla mnie znaczy, odpowiedź brzmi: nie.
 - Ale jego reputacja nie jest ci obojętna, prawda?
- Carlos milczał.
- Wiesz o nim to, czego my nie wiemy: skąd jest, w jakim środowisku się obraca, czym się zajmuje. Zgadza się?
 - Niewykluczone, ale nie możesz się chyba spodziewać, że ujawnię te informacje.
 - Nie, ale mogę mieć nadzieję.

- Nic z tego. Nie sądzę, byś chciał łamać Konwencje Genewskie, żeby to ze mnie wyciągnąć.

Petersen wstał.

- Oczywiście, że nie. Dziękujemy ci za gościnność.

Wchodząc do kajuty, gdzie uwięzieni byli Alessandro i jego ludzie, Petersen miał przy sobie składane płócienne krzeselko i metalową skrzyneczkę z ampułkami. George natomiast niósł dwa zwoje liny okrętowej i ciężki młot, którym dopiero co odbił zewnętrzny bolec dociskowy. Alex zabrał z sobą tylko swój pistolet maszynowy. Petersen rozłożył krzeselko, usiadł na nim i z widocznym zainteresowaniem przyglądał się, jak George zabija kolejny bolec, tym razem od wewnątrz.

- Nie chcielibyśmy, żeby nam ktoś przeszkadzał - wyjaśnił Petersen, spojrzawszy na Franco, Seppa i Guido. - Do kąta! Ten, który się ruszy, zginie. Alex się tym zajmie. Ty - zwrócił się do Alessandra

- zdejmuj marynarkę.

Alessandro splunął na podłogę.

- Zdejmij marynarkę - wtrącił George przyjemnie - bo jak nie, to ja cię z niej wytrąsnę.

Cóż, Alessandro, człowiek o niezbyt oryginalnej umysłowości znów tylko splunął. George uderzył go ledwie raz, i jak się zdawało niezbyt mocno, gdzieś w okolicy splotu słonecznego, ale to wystarczyło, by Włoch zgął się w pół i stęknął z bólu. George zdjął mu marynarkę.

- Zwiąż go.

George zabrał się do roboty. Alessandro złapał w końcu upragniony oddech i próbował stawiać opór, lecz George trzepnął go lekko w szczękę i szybko przywołał do porządku. Następnie unieruchomił mu ręce, przyciskając je do boków i oplatając na okrętkę liną, związał nogi w kostkach i kolanach, aż wreszcie drugim kawałkiem liny przytroczył Alessandra do koi - trudno o lepiej związany pakunek.

George z zadowoleniem przyjrzał się swemu dziełu.

- Nie mówi się o tym czasem w Konwencjach Genewskich? - zapytał.

- Możliwe, bardzo możliwe. Prawdę powiedziawszy, nigdy ich nie czytałem - odparł Petersen i otworzywszy skrzyneczkę, zerknął na Alessandra. - Wszystko w interesie nauki, sam rozumiesz. Nie powinno nam to zabrać zbyt wiele czasu... - słowa brzmiały lekko, lecz Alessandro ich nie słyszał. Wpatrywał się w nieugiętą twarz nad sobą i to, co w niej ujrzał, zupełnie mu się nie podobało. - Mamy tu trzy niebieskie i trzy różowe ampułki. Sądzimy - kapitan Tremino, który jest lekarzem, też tak uważa - że trzy z nich zawierają śmiertelną dawkę trucizny. Niestety, nie wiemy które, a istnieje tylko jeden sposób, żeby się o tym, tu na miejscu, przekonać. Wstrzyknę ci jedną z nich. Jeżeli

przeżyjesz, będziemy wiedzieć, że to nie ta. Jeśli umrzesz, dowiemy się, które z nich są względnie bezpieczne. - Petersen wziął do ręki po jednej ampułce i uniósł je pytając: - Którą wybierasz, George?

- Duża odpowiedzialność... - George tarł w zamyśleniu brodę.

- Od decyzji może zależeć ludzkie życie. Właściwie... Właściwie nie jest to aż tak wielka odpowiedzialność; żadna strata dla ludzkości, w gruncie rzeczy. Dawaj niebieską!

- A więc niebieska... - Petersen odłamał czubek ampułki, zanurzył w niej igłę strzykawki i zaczął wyciągać tłok.

Alessandro nie spuszczał wylęknionych oczu z niebieskawego płynu.

- Boję się, że nie idzie mi najlepiej - usprawiedliwiał się Petersen.

- Spokojny, konwersacyjny wręcz ton jego głosu był po stokroć bardziej przerażający niż najbardziej złowieszcze groźby. - Odrobina nieuwagi i można wciągnąć pęcherzyk powietrza. Taki zaś pęcherzyk we krwi wywołuje bardzo nieprzyjemne skutki. Zwykle po prostu zabija. Chociaż w twoim przypadku, Alessandro, nie sądzę, żeby to było zasadniczo ważne...

Alessandro miał rozszerzone strachem oczy i w pół otwarte usta. Petersen zbadał wewnętrzną stronę jego prawego przedramienia.

- O, chyba mam... - Złapał żyłę w dwa palce i zbliżył strzykawkę.

- Nie! Nie! Nie! - rozdarł się Alessandro i zabrzmiało to jak zwierzęce wycie. - O Boże, nie!

- Nie masz się co martwić - uspokajał Petersen. - Jeśli to nie jest śmiertelna dawka, to zaśniesz i za chwilę będziesz z nami. Jeżeli natomiast dawka jest śmiertelna, po prostu zaśniesz i już. - Zastanowił się chwilę. - Chociaż wiesz, George, może go przedtem nieco skręcać z bólu, wtedy będzie wrzeszczał. - Sięgnął po tampon z białego lnu i wręczył go przyjacielowi. - Tak na wszelki wypadek, George. Tylko uważaj na palce! Kiedy człowiek w agonii zaciska zęby, to już mu tak zostaje. A jeśli, co nie daj Boże, skaleczy cię do krwi, wykończysz się na amen.

Petersen naciągnął żyłę i Alessandro zaczął przeraźliwie wrzeszczeć. George zakneblował go, ale po kilku sekundach, na znak Petersena, usunął tampon. Alessandro już nie krzyczał, tylko wydobywał z głębi krtani jakiś dziwny, chrapliwy dźwięk. Jak oszalały miotał się na koi usiłując zerwać pęta, twarz mu zastygła w masce obłędu i w ogóle zdawało się, że zaraz dostanie ataku serca. Petersen spojrzał na George'a. George miał zupełnie mokrą twarz.

- To jest śmiertelna dawka, prawda? - zapytał spokojnie Petersen, lecz Alessandro go nie słyszał. Major musiał dwa razy powtórzyć pytanie, zanim cokolwiek dotarło do oszalałego ze strachu człowieka.

- Śmiertelna dawka! Śmiertelna dawka! - zawołał kilkakrotnie; ledwie go można było zrozumieć, bo bełkotał nieprzytomnie.

- I umiera się w bólach, co? - Tak! Tak! Tak! - Z trudem łapał powietrze, jakby za moment miał się udusić. - W bólach! W bólach!

- Co oznacza, że sam ją komuś aplikowałeś... Nie masz co liczyć na litość, Alessandro, ani na współczucie. Poza tym, skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz, co? - Przytknął czubek igły do skóry i Alessandro znów zaczął się wydzierać. George pośpieszył z tamponem.

- Kto cię tu nasłał? - I znowu Petersen musiał pytać dwukrotnie, zanim wpadnięte oczy Alessandra spojrzały przytomniej.

- Cipriano - wychrypiął w ledwie zrozumiałej odpowiedzi. - Major Cipriano.

- Kłamiesz. Żaden major nie mógł zlecić takiego zadania. - Ostrożnie, uważając, by nie dotknąć tłoka, Petersen wbił igłę tuż pod skórę Alessandra. Włoch otworzył usta do krzyku, ale tym razem knebel George'a był szybszy. - Kto dał rozkaz? Igła jest w żyłę, Alessandro, wystarczy nacisnąć tłok. Kto wydał rozkaz?

George usunął knebel. Przez chwilę wydawało się im, że Alessandro zemdłał, bo znów wywrócił oczami.

- Granelli - wyszeptał prawie niesłyszalnie. - Generał Granelli. Granelli był znenawidzonym i siejącym postrach szefem włoskiego wywiadu.

- Igła jest wciąż w żyłę, a ja trzymam palec na tłoku, Alessandro. Czy pułkownik Lunz o tym wie?

- Nie! Przysięgam, że nie! - Generał von Löhr?

- Też nie!

- Skąd więc Granelli wiedział, że będę na tym kutrze?

- Pułkownik Lunz mu powiedział.

- No ślicznie... Oto zaufanie do oddanych przyjaciół. Czego szukałeś w naszej kabinie?

- Dokumentów, rozkazów...

- Lepiej już wyjmij tę igłę - radził George. - Zdaje mi się, że on zaraz zemdleje. Albo umrze. Albo coś się z nim stanie, nie wiem co.

- Co miałeś z tym zrobić, Alessandro? - Koniec igły wciąż tkwił w tym samym miejscu.

- Porównać z moimi rozkazami, w marynarce. - Alessandro faktycznie wyglądał bardzo kiepsko.

Petersen znalazł instrukcje w wewnętrznej kieszeni marynarki. Był tam duplikat dokumentu, który miał w kajucie. Złożył papier i schował go do kieszeni. Własnej.

- Dziwne. On chyba zemdlął - oznajmił George.

- Założę się, że jego ofiary nie miały na to czasu. Szkoda, że nie nacisnąłem tłoka - odrzekł Petersen z prawdziwym żalem. - Bez wątpienia nasz przyjaciel jest, a może już był, jednoosobowym plutonem egzekucyjnym. - Powąchał ampułkę, rzucił na podłogę i rozgniół obcasem; opróżnił też strzykawkę. - Na spirytusie, szybko się ulotni. No to już.

W korytarzu George otarł spocone czoło.

- Nie chciałbym przez to drugi raz przechodzić, Peter. Alessandro chyba też nie - stwierdził.

- Ani ja - odparł Petersen. - Alex, a ty?

- Szkoda, że nie wcisnąłeś mu tej trucizny - odrzekł smętnie. - Albo nie kazałeś mi go zastrzelić.

- Rzeczywiście, szkoda. To by mu w każdym razie zaoszczędziło bólu. Tak czy owak, jako agent jest już bezużyteczny: będzie spalony jak tylko wróci do Termoli albo jeszcze wcześniej, w Ploce. Biermy się teraz do drzwi, panowie.

Tym razem zajęli się wszystkimi ośmioma bolcami dociskowymi. Alex przykładał do każdego z nich tłumiącą dźwięki podkładkę z lnu, która jeszcze nie tak dawno sprawdzała się znakomicie w jakże innych okolicznościach, a George walił młotem.

- To was tam chwilkę zatrzyma, chłopcy. Zwłaszcza, gdy młotek rzucimy za burtę - zawołał George, kiedy ósmy bolec wszedł na swoje miejsce.

- Nigdy za wiele ostrożności - rzekł Petersen i odszedł, by za chwilę wrócić z butlą gazową, spawarką i maską na twarz.

Petersena można by w najlepszym razie nazwać spawaczem-amatorem, ale braki w praktyce nadrabiał entuzjazmem. Rezultatem swych poczynań nie zdobyłby zapewne nagrody za finezję, ale nie o to przecież szło. Liczył się fakt, że drzwi zostały zamknięte na amen.

- Teraz chciałbym zamienić kilka słów z Carlosem i Michaeliem - oświadczył major. Ale najpierw zarządzam przerwę na myślenie.

Petersen siedział przy biurku Carlosa. Przed nim stała szklaneczka szkockiej, a obok niej leżała kartka, którą dopiero co zapisał.

- No i jak to brzmi? - spytał. - Zaraz posadzimy do tego Michaela, niech nadaje. Oczywiście otwartym tekstem. Do pułkownika Lunza. Teraz będzie jego numer kodowy. Pańscy niedoszli złodzieje i/albo mordercy to banda dyletantów stop Alessandro i jego partacze zaspawani stop stalowe drzwi kajuta na dziobie colombo stop nie zazdroszczę generałowi von Löhr generałowi Granelli majorowi Cipriano takich agentów stop Uszanowanie Zeppo. Zeppo, jak pamiętacie, to mój kryptonim.

George złożył ręce jak do modlitwy.

- Prawdziwe, jakie prawdziwe... - orzekł wreszcie. - Tyle, że niezupełnie akuratne. Tak naprawdę nie wiemy, czy oni są złodziejami i, albo, itd.
- Ale tamci o tym nie wiedzą. Narobimy troszkę zamieszania w ich gołębniku. Dość już tych pieszczot i gruchania, nie sądzisz?
- Pułkownik Lunz i generał von Löhr odrobinę się zdenerwują. Alessandro mówi, że nic o tym nie wiedzieli.
- Ale skąd mają wiedzieć, że my o tym wiemy? - zauważył roztropnie Petersen. - Mają związane ręce, a gotowi będą przypuszczać najróżniejsze rzeczy. Chętnie posłuchałbym tych ożywionych rozmów telefonicznych między obiema stronami. Oj, rozdzwonią się telefony pod koniec dnia, rozdzwonią! Ach, nie ma to jak posiać ziarno zwątpienia, wywołać trochę podejrzliwości, nieufności, sprowokować właśnie wśród lojalnych sprzymierzeńców.... Całkiem udana noc, panowie, całkiem udana. Myślę, że zasłużyliśmy na szklaneczkę czegoś mocniejszego przed wizytą u Carlosa.

Sterówkę oświetlało tylko mdłe światło okrętowego kompasu i trochę trwało nim Petersen i jego towarzysze przyzwyczaili oczy do mroku. Carlos stanął za sterem: wskutek dyskretnej interwencji Petersena sternik dostał na razie wolne.

Petersen zakaszłał - tu także był dyskretny - i zwrócił się do Carlosa:

- Jestem zdumiony - by nie powiedzieć mocno zmartwiony - faktem, że uczciwy żeglarz jak ty związał się z takimi kanałiami jak generał Granelli i major Cipriano.

Carlos, z rękami na sterze, patrzył wprost przed siebie, a kiedy się odezwał, miał nadszpiewanie spokojny głos.

- Nigdy nie spotkałem żadnego z nich i po dzisiejszej nocy dołożę starań, żeby ich nigdy nie spotkać. Rozkazy rozkazami, ale już nigdy nie zabiorę na pokład morderców od Granelliiego. Mogą mnie straszyć sądem polowym, niech straszą. Rozumiem, że Alessandro zaczął mówić, tak?
- Ano zaczął.
- Żyje? - Z tonu głosu Carlosa można było wnosić, że właściwie nic go to nie obchodzi.
- Żyje i nieźle się miewa. Bez tortur, zgodnie z umową. Zwykła psychologia.
- Nie mówiłbyś chyba w ten sposób, gdyby to było kłamstwo. Porozmawiam z nim. Kiedyś. - Jakoś mu się do tego nie śpieszyło.
- Tak... Cóż, obawiam się, Carlos, że po to, by z nim pogadać, będziesz musiał opuścić się do ich

bulaja na bosmańskim stołku. Drzwi są zamknięte.

- Co daje się zamknąć, da się też otworzyć.
- Nie bardzo. Wybacz, że postąpiliśmy tak z włoskim kutrem wojennym, ale sądziliśmy, że roztropnie będzie zespawać drzwi kajuty ze ścianą.
- Ach tak... - Dopiero teraz Carlos spojrział na Petersena i jeśli na jego twarzy w ogóle coś się odmalowało, to najwyżej uprzejme zainteresowanie. - Zespawaliście drzwi? Oryginalne.
- Wątpię, czy znajdziesz w Ploce palnik acetylenowy.
- Wątpię.
- Chyba będziesz musiał płynąć aż do Ancony, żeby ich stamtąd wydostać. Należy mieć tylko nadzieję, że nie oberwiecie po drodze. Byłoby straszne, gdyby Alessandro i jego przyjaciele znaleźli grób na dnie morza.
- Rzeczywiście, straszne.
- Jeszcze jedno, Carlos. Już nie masz na pokładzie palnika acetylenowego, chociaż go niedawno miałeś. Teraz leży gdzieś na dnie Adriatyku. Petersen nie widział błysku zębów, ale mógłby przysiąc, że Carlos się uśmiechnął.

Rozdział IV

Ponieważ morze było cały czas wzburzone - a uspokoiło się tylko trochę, gdy wpłynęli na tak zwane spokojne wody kanału Neretvy między wyspą Peljesac i lądem Jugosławii - siedmioro pasażerów, którzy teoretycznie mogli zasiąść do śniadania dużo wcześniej, usiadło do stołu dopiero wtedy, gdy "Colombo" przycumował do nabrzeża. Świtało, gdy wpływali do portu, którego najodważniejszy autor folderów reklamowych nie nazwałby klejnotem Adriatyku. Jak słusznie przewidywał Carlos, absurdalnie duża bandera włoska łopocząca na wietrze ostudziła strzeleckie zapaly żołnierzy garnizonu w Ploce.

Śniadanie musiało być dziełem inżyniera Giovanniego - nie dającą się opisać breję z jajek i żółtego sera smażył chyba na oleju silnikowym, z którym też zaparzył kawę. Chleb był natomiast zupełnie jadalny. Morskie powietrze też zrobiło swoje - zaostrzyło apetyty zwłaszcza tym, którzy chorowali na morzu.

Giacomo odsunął talerz z na wpół zjedzonym śniadaniem. Świeżo ogolony, miał dobry humor, którego nie mógł zepsuć nawet tak upiorny posiłek.

- A gdzie to nasz Alessandro i jego rzezimieszki? Nie wiedzą, co tracą - wszczął rozmowę.
- Może jedli wcześniej, albo już zeszli na ląd - odparł Petersen.
- Nikt nie schodził na ląd; stałem na pokładzie.
- Widać miłsze im własne towarzystwo. Tajemnicza z nich gromadka.
- A ty nie masz żadnych tajemnic? - uśmiechnął się Giacomo.
- Być tajemniczym, a mieć tajemnice to duża różnica. Ale nie, nie mam tajemnic. Za wiele z nimi kłopotu. Nie wolno zapominać, gdzie kim się jest i co się mówi. Nie, nie, nie z moją kiepską pamięcią. Zaczynają się mnożyć kłamstwa i kręctwa, aż wreszcie człowiek wpada. Jestem zwolennikiem prostych ścieżek w życiu.
- Byłbym skłonny w to uwierzyć, gdyby dało się zignorować te nocne występy - odparł Giacomo.
- Jakie występy? Co to znaczy? - Zaintrygowana Sarina, wciąż jeszcze blada po morskich przejściach, wpatrywała się w Giacomo.
- Nie słyszałyście strzału?

Spojrzała na Lorraine i kiwnęła głową.

- Owszem, słyszałyśmy, ale kiedy człowiek ledwo żyje, nie zwraca uwagi na takie drobiazgi. - Uśmiechnęła się słabo. - Co się stało?
- Petersen strzelał do jednego z ludzi Alessandra, do nieszczęsnego młodziana imieniem Cola.
- Dlaczego? - spojrzała zdumiona na Petersena.
- Honory temu, komu się należą. To Alex strzelał. Oczywiście, przy mojej całkowitej aprobachie. Dlaczego? Cola zanadto był tajemniczy. Dlatego.

Zdawało się, że nie słyszała, co mówił.

- Czy on... Czy on nie żyje? - spytała.
- Ależ skąd. Alex nie zabija ludzi. - Zebrałaby się całkiem pokaźna gromadka duchów, które mogłyby świadczyć o czymś zupełnie przeciwnym. - Cola ma ledwie uszkodzone ramię.
- Uszkodzone! - Lorraine miała zimne oczy. - A może strzaskane?
- Zacisnęła usta.
- Możliwe. - Petersen raczył nieznacznie wzruszyć ramionami.
- Nie jestem lekarzem.

- Czy Carlos go oglądał? - nie zabrzmiało to jak pytanie; Lorraine wprost żądała odpowiedzi.
- A co by to pomogło? - Petersen spojrzał na nią w zamyśleniu.
- Bo Carlos jest... Carlos... - przerwała zmieszana.
- Bo co Carlos? Kim jest? Co mógłby zrobić?
- Co mógłby... Jest przecież kapitanem, prawda?
- Głupia odpowiedź i głupie pytanie. Dlaczego miałby go oglądać? Ja go obejrzałem, a z całą pewnością widziałem znacznie więcej ran postrzałowych niż Carlos.
- Ale nie jesteś lekarzem.
- A Carlos jest?
- Carlos? Skąd miałabym wiedzieć?
- Bo wiesz - odparł Petersen przyjaźnie. - Z każdą odpowiedzią brniesz w coraz głębszą wodę, Lorraine. Nie powiem, że z ciebie urodzona oszustka. Kłamiesz fatalnie. Zbaczasz z uczciwych ścieżek, a później... Sama wiesz, co później. Cóż, kręctwo nie jest chyba twoją najmocniejszą stroną, Lorraine. Oczywiście, że Carlos jest lekarzem. Mnie o tym mówił, tobie nie, więc skąd wiesz?
- Jak śmiesz wypytywać mnie w ten sposób! - Zaciśnęła pięści; z jej oczu biła wściekłość.
- Dziwne... - Petersen coś rozważał. - W gniewie wyglądasz jeszcze piękniej. Hm, czasem się tak zdarza. A skąd ta złość? Bo cię przyłapałem, ot co.
- Mądrała! Coś okropnego! Taki spokojny, taki logiczny, taki pewny siebie i tak z siebie zadowolony! Ale ze mnie spryciarz, co?
- No, no, no... To aż tyle da się powiedzieć o mnie! I to wszystko mówi mi Lorraine? Niemożliwe. Dlaczego aż tak cię to dotknęło?
- Nie, nie, nie jesteś aż tak sprytny! Wiem, że on jest lekarzem. - Uśmiechnęła się chytrze. - Gdybyś był rzeczywiście bystry, przypomniałbyś sobie naszą wczorajszą rozmowę w tawernie i pamiętałbyś, że i ja urodziłam się w Pescarze. Dlaczego więc miałabym go nie znać?
- Ach, Lorraine! Mówiłem, że brniesz w coraz głębszą wodę! Zabrnęłaś już po uszy! Nie urodziłaś się w Pescarze. Nie urodziłaś się we Włoszech. Ty w ogóle nie jesteś Włoszką, Lorraine.

Zapadła cisza. W spokojnym oświadczeniu Petersena brzmiała stuprocentowa pewność. Wreszcie Sarina, równie zła jak Lorraine przed chwilą, krzyknęła:

- Lorraine! Nie słuchaj go! Nie rozmawiaj z nim! Czy nie widzisz, czego on chce? Chce cię przyprzeć

do muru, złapać w pułapkę, sprowokować do mówienia tego, czego normalnie byś nie powiedziała. Wszystko po to, żeby znów mógł triumfować! Żeby zadowolić swoje wielkie mniemanie o sobie!

- Czuję, że to mój dzień na zdobywanie przyjaciół... - stwierdził major posępnie. - Moje wielkie mniemanie o sobie zauważyło, że Lorraine nie zaprzeczyła temu, co powiedziałem. Nie zaprzeczyła, bo ona wie, że ja wiem. Oboje też wiemy, że jest znajomą Carlosa. Ale nie z Pescary. Prawda, Lorraine?

Nie odezwała się słowem. Zagryzła dolną wargę i wbiła wzrok w stół.

- Jesteś okropny! - z całą mocą rzuciła Sarina.

- Jeśli między uczciwością a okropnością postawimy znak równości, to zgoda, jestem okropny.

- Widzę, Peter, że dużo wiesz, co? - Giacomo uśmiechał się.

- Niespecjalnie. Nauczyłem się wiedzieć akurat tyle, ile trzeba, żeby przeżyć.

- Zaraz mi powiesz, że i ja nie jestem Włochem. - Giacomo nadal się uśmiechał.

- Nie powiem, jeśli nie chcesz.

- To znaczy, że twoim zdaniem nie jestem Włochem?

- Jak możesz być Włochem, skoro urodziłeś się w Jugosławii, ściśle mówiąc, w Czarnogórze?

- Chryste... - Giacomo już się nie uśmiechał, ale nie był ani obrażony, ani urażony. Po chwili znów przybrał wesoły wyraz twarzy.

Sarina rzuciła okiem na Petersena i zwróciła się do Giacomo:

- I co jeszcze zrobił ten... ten...

- Potwór? - usłużnie wpadł jej w słowo Petersen.

- Tak, ten potwór. Och, dałbyś już spokój! Jakich to jeszcze okropieństw dopuścił się ten człowiek ubiegłej nocy?

- Hmm... - Giacomo splótł dłonie na karku i najwyraźniej szykował się na dobrą zabawę. - Wszystko zależy od tego, co dla kogo jest okropne. Ale po kolei. Kiedy już miał z głowy Colę, zagazował Alessandra i trzech pozostałych.

- Zagazował?! - Sarina wpatrywała się w Giacomo z niedowierzaniem.

- Zagazował. Ich własnym gazem zresztą. Zasłużyli sobie na to.

- Chcesz powiedzieć, że ich zabił? Zamordował?!

- Nie, nie, nic im się nie stało, wiem na pewno. Byłem tam. Tylko jako obserwator, wyłącznie jako obserwator - dodał śpiesznie. - Później zabrał im broń, amunicję, granaty i jeszcze kilka innych obrzydliwych rzeczy. Wreszcie ich zamknął i to wszystko.
- I to wszystko... - Sarina dwa razy zaczerpnęła głęboko tchu. - Kiedy opowiadasz tak szybko, brzmi to jakby nigdy nic, prawda? Dlaczego ich zamknął?
- Może nie chciał, żeby zjedli śniadanie? Skąd mam wiedzieć? Jego zapytaj. - Zerknął na Petersena i dodał: - Niezły kawał roboty odwaliliście z tym... zamykaniem, jeśli się tak mogę wyrazić; przechodziłem tamtędy, kiedy mijaliśmy falochron.

- Hmm...

- Hmm, no właśnie. - Giacomo spojrział na Sarinę. - Nie czułyście w nocy dymu?

- Dymu? Owszem, tak. - Wzdrygnęła się na samo wspomnienie. - Czułyśmy się wystarczająco źle, ale dym nas zupełnie rozłożył. Co to było?

- Twój znajomy Peter i jego kumple przy pracy. Spawali drzwi kajuty Alessandra ze ścianą.

- Spawali drzwi? - W jej głos zakradła się drobna nuta hysterii. - Zaspawali drzwi, a tamci zostali w środku?! Dlaczego, na litość... - nagle zabrakło jej słów.

- Sądzę, że wołał, aby tamci nie wychodzili.

Dziewczyny wymieniły w milczeniu spojrzenia. Nie było już o czym mówić. Petersen energicznie chrząknął.

- No to świetnie, wszystko się nareszcie wyjaśniło - ucieszył się beztrósco.

Sarina i Lorraine, obie na raz, z wolna odwróciły głowy, by przyjrzeć mu się z całkowitym niedowierzaniem.

- Mówią, że koniec jest początkiem - powiedział Petersen. - Ruszamy za jakieś pół godziny, czy ile tam będzie trzeba, żeby złapać jakiś transport. Czas na mycie zębów i pakowanie manatków. Ty i twoja przyjaciółka jedziecie z nami? - Spojrział na Giacomo.

- Chodzi ci o Lorraine?

- Masz tu jeszcze inne?

- Wszystko zależy, dokąd jedziecie.

- Tam, gdzie i wy. Czaisz się, przestań się czaić, Giacomo.

- Gdzie jedziecie?

- W górę Neretvy.

- Zabieramy się z wami.

Petersen zamierzał właśnie wstać, kiedy zjawił się Carlos z jakąś kartką w ręku. I on był świeżo ogolony, rześki, wyraźnie w pogodnym nastroju. Nie wyglądał jak ktoś, kto czuwał całą noc, chociaż z drugiej strony, w jego fachu na pewno nauczył się wysypiać w dzień.

- Dzień dobry. Już po śniadaniu?

- Wyrazy uznania dla szefa kuchni. Czy to dla mnie?

- Tak. Dopiero co odebraliśmy przez radio. Zaszifrowane, więc nic mi to nie mówi.

Petersen szybko przebiegł wzrokiem treść depeszy.

- Mnie też nic - wyznał. - Muszę zajrzeć do książki kodów. - Złożył kartkę i schował do wewnętrznej kieszeni.

- A może to pilne? - zaniepokoił się Carlos.

- Wiadomość jest z Rzymu, a tak się jakoś niezmiennie składa, że to, co im wydaje się pilne, dla mnie nigdy pilne nie jest.

- Właśnie dowiedzieliśmy się, że postrzelono tu człowieka. Czy jest ciężko ranny? - zapytała Lorraine.

- Cola? - W głosie kapitana nie słyhać było specjalnej troski o zdrowie pacjenta. - On tak sądzi, ja nie. Ale wezwałem karetkę, powinni już tu być... - Wyrzwał przez bulaj. - Nie ma ich, za to widzę dwóch żołnierzy przy trapie. O ile można ich nazwać żołnierzami. Jeden ma na karku dziewięćdziesiątkę, drugi może z dziesięć. Pewnie do ciebie.

- Zobaczymy.

Carlos naturalnie przesadził w rozpiętości wieku dzielącej obu wojaków, ale istotnie jeden był jeszcze gołowąsem, drugi zaś mocno już podstarzały. Staruszek zasalutował na tyle elegancko, na ile pozwalał mu artretyzm.

- Kapitanie Tremino, czy ma pan na pokładzie jugosłowiańskiego oficera?

- To major Petersen. - Carlos wskazał go niedbałym ruchem ręki.

- O właśnie. - Starzec znów zasalutował. - Komendant wita pana, majorze, i zaprasza do siebie. Pańskich przyjaciół również.

- Wiadomo po co?

- Komendant nie zwierza mi się, sir.

- Daleko to?

- Paręset metrów. Pięć minut stąd.

- Idziemy. - Petersen wstał i wziął do ręki pistolet maszynowy; George i Alex zrobili to samo.

Staruszek zakaszłał grzecznie.

- Komendant nie lubi broni u siebie w gabinecie - zwrócił im uwagę.

- Nie lubi broni? Wojna w toku, wojskowa placówka, a komendant nie lubi broni! - Spojrzał na George'a i Alexa i zsunął pistolet z ramienia. - Ostatnie stadium dzieciństwa... Dobra, sprawimy mu przyjemność.

Wyszli; Carlos obserwował przez okno, jak schodzili po trapie na brzeg. Westchnął.

- Nie mogę na to patrzeć. Nie mogę! Nie mogę tego znieść jako Włoch. Bezzębny, stary wyżeł i rozbrykany szczeniak gnają w zasięgi trzy wilki! Co ja mówię! Trzy szablozębne tygrysy! Giovanni!
- krzyknął.

- Naprawdę są tacy? - zapytała Sarina z wahaniem. - Pytam, bo wczoraj w Rzymie ktoś też ich tak nazwał.

- Ach! Pewnie mój stary znajomy pułkownik Lunz!

- Znasz pułkownika? - w jej głowie słyhać było zdziwienie. - Sądziłam... Cóż, wygląda na to, że wszyscy tu wszystko wiedzą. Wszyscy oprócz mnie.

- Naturalnie, że go znam. - Carlos odwrócił się, bo w drzwiach stanął chudy, na pierwszy rzut oka zgryźliwy szef kuchni i inżynier w jednej osobie. - Śniadanko, Giovanni, bądź tak dobry.

- Naprawdę będziesz jadł? - Giovanni nie wierzył własnym uszom.

- Kubki smakowe w całkowitym zaniku, powlekane cynkiem ścianki żołądka, trochę wyobraźni i prawie jesteśmy u Maxima. Sarino, nie sądzisz chyba, że wystarczy znaleźć się na nabrzeżu w Termoli, kiwnąć na mnie palcem i poprosić o bilet do Jugosławii? Czy myślisz, że trafiłabyś na pokład "Colombo", gdybym nie znał pułkownika Lunza? Czy wiecznie musisz być taka podejrzliwa?

- Podejrzewam majora Petersena. Nie ufam mu za grosz.

- Ładnie to tak mówić o swoim rodaku? A zdawałoby się, że to taki uczciwy, prostoliniowy człowiek.
- Carlos usiadł i zaczął smarować chleb masłem.

- Tak, zdawałoby się. Czy ty rozumiesz, że mamy iść razem z nim w góry?

- Petersen chyba nie zabłądzi. Ba, jestem wręcz przekonany, że nie zabłądzi. Na pewno dotrzecie na miejsce.
- Na pewno. Tylko na które? Jego czy nasze?
- Czy masz jakieś inne wyjście? - Spojrzał na nią nieco już zirytowany.
- Nie.
- To po co strzępić język?
- Carlos! Jak możesz tak do niej mówić? - głos Lorraine zabrzmiał na tyle ostro, że na twarzy Giacomo zjawiał się wyraz lekkiego zamyślenia. - Ona się martwi! To jasne, że się martwi! Ja też się martwię. My idziemy z nim w góry, ty nie. - Była zdenerwowana albo z natury bardzo pobudliwa. - Dobrze ci mówić, bo siedzisz sobie na kutrze jak u Pana Boga za piecem.
- No już dobra, dobra - Giacomo swobodnie włączył się do rozmowy. - To nie fair. Jestem przekonany, że ona tak nie myśli, Carlos. Tak jakoś to wyszło. - Popatrzył na Lorraine kpiąco i z naganą w oczach. - Wiem, że Carlos chętnie zostawiłby swoją łódź i towarzyszył ci w górach. Dwie sprawy go tylko wstrzymują: obowiązek i blaszana noga.
- Bardzo mi przykro, Carlos... - Lorraine była rzeczywiście skruszona i żeby to podkreślić, oparła dłoń na ramieniu kapitana. Carlos tymczasem zabierał się do słodyczy, które przyniósł Giovanni, ale oderwał od nich wzrok i uśmiechnął się przyjaźnie. - Giacomo ma rację - mówiła dalej Lorraine. - Oczywiście nie to miałam na myśli. Tylko, że obie z Sariną czujemy się takie... bezradne.
- Giacomo jest w identycznej sytuacji, ale w najmniejszym stopniu nie wydaje się być bezradny.
- Proszę cię! Ty nic nie rozumiesz. - Rozdrażniona, ciągnęła go za ramię. - Nie wiemy, o co tu chodzi! Nic nie wiemy! On za to wie wszystko.
- Kto "on"? Peter?
- A o kim innym mogłabym mówić? - Jak na tak szlachetnie wyglądającą damę umiała być niezwykle zgryźliwa. - Może jednak uda mi się zakłócić ci spokój ducha. Czy ty wiesz, że on wie, dokąd jedziemy? Ja i Giacomo? I zdaje się też wiedzieć, kim jestem? Czy wiesz, że on już wie, że nie jestem Włoszką? I że my dwoje znamy się, ale nie z Pescary?

Jeżeli Carlos był wstrząśnięty, to nie dał po sobie nic poznać.

- Petersen wie o sprawach, o znajomości których byś go nie posądzała. Tak twierdzi pułkownik Lunz. Domyślam się, że Lunz mówił mu o was, chociaż to nie w jego stylu. Peter mógł się was jednak spodziewać na statku, bo wasza obecność zupełnie go nie zdenerwowała - wyjaśniał.
- Zdenerwowała go za to obecność Alessandra.
- O nim nie mógł wiedzieć. Alessandro podlega komu innemu.

- Skąd ty to wiesz? - spytała szybko.

- Od niego, od Petera.

Cofnęła rękę i wyprostowała się.

- Ach tak. Ty i Peter też macie swoje małe tajemnice. I jak tu nie ufać ludziom, co? - zwróciła się do Sariny.

- Carlos, zaczynasz mieć minę męża pantoflarza - zauważył Giacomo.

- Mało tego, zaczynam się tak czuć! Moja droga, dowiedziałem się o tym ubiegłej nocy. Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Żeby o czwartej nad ranem łomotał do waszych drzwi, by ogłosić te wstrząsające nowiny? - Odwrócił wzrok i ujrzał w drzwiach Giovanniego. Giovanni miał minę cierpiénika.

- Śniadanie podane, Carlos...

- Dziękuję, Giovanni. - Zwrócił się znów do Lorraine: - I żebyś nie zaczęła teraz podejrzewać Giovanniego, informuję cię, że Alessandro i jego kumple dostali jeść.

- Miałam wrażenie, że drzwi się nie otwierają.

- O Boże, Boże... - Carlos odłożył nóż i widelec. - Znów ta podejrzliwość! Fakt, nie otwierają się. Śniadanie wjechało przez bulaj, w wiadrze, na linie.

- Kiedy ich zobaczysz?

- Jak już będę gotów, po śniadaniu. O ile, naturalnie, dacie mi spokojnie zjeść. - Carlos wziął do ręki nóż i widelec.

- Ociupinę ryzykowałeś przy śniadaniu, co? Mogłeś stracić to i owo, kiedy udawałeś, że wiesz kim oni są i znasz ich plany. A tymczasem nic z tych rzeczy - podśmiechiwał się George.

- Twoja zasługa, George. Oparłem się wyłącznie na twoich uwagach co do ich narodowości. Ale tego przecież nie mogłem im powiedzieć. No i Lorraine posypała się bardziej niż zakładałem. Nie byłaby dobrym agentem, o nie.

Mijali dźwigi, przebijali się przez sznury cywilnych samochodów i wojskowych ciężarówek, obchodzili luźno stojące zabudowania portowe. Od sunących przodem żołnierzy włoskich dzieliło ich kilka metrów. Śnieg już nie padał, wzgórza Rilić osłaniały ich od północno-wschodniego wiatru, ale temperatura wciąż była minusowa. Nie kręciło się tam zbyt wielu przechodniów: wczesna godzina i zimno nie zachęcały do spacerów. Jak mówił Carlos, tutejsi żołnierze dzielili się na mocno starszych rezerwistów i kompletnych szczawiów, a nieliczni cywile, których spotykali, także podpadali pod te kategorie. Zdawało się, że w porcie nie ma w ogóle nikogo młodego - ale nie

smarkatego - ani też ludzi w średnim wieku.

- W każdym razie zdobyłeś nad nimi coś w rodzaju moralnej przewagi. A na pewno nad obiema paniami. Giacomo to inna sprawa - rozważał George. - Ta kartka od Carlosa. Wiadomość od naszych włoskich przyjaciół?

- Tak. Mamy siedzieć w Ploce i czekać na dalsze rozkazy.

- Absurd.

- Prawda?

- Sądzisz, że mądrze zagraliśmy, posyłając tę naszą depeszę? Tego właśnie można się było spodziewać - ruszyło się.

- Ano ruszyło się. Dokładnie to miałem nadzieję sprowokować. Wiemy, czego oczekiwać, a inicjatywa należy do nas. Gdybyśmy wyjechali stąd bez kłopotów i w dolinie nadziali się na czołgi zagradzające nam drogę, stracilibyśmy niewątpliwie możliwość manewru. Ci dwaj przed nami nie są zbyt rozgarnięci, co?

- Bo nie sprawdzili, czy nie mamy przy sobie innej broni? Jeden za stary i już mu nie zależy, drugi zupełnie niedoświadczony i jeszcze nie wie, co robić. Poza tym wystarczy spojrzeć na nasze uczciwe gęby.

Strażnicy zaprowadzili ich do niskiego, drewnianego baraku - najwyraźniej tymczasowego lokum - i dalej, w górę po schodach, do niewielkiego pokoju równie spartańskiego i prymitywnego jak sam barak od zewnątrz. Spękane linoleum, dwie metalowe kasetki, radionadajnik, telefon, stół i krzesła stanowiły całe wyposażenie gabinetu. Oficer siedzący za stołem podniósł się na ich widok. Był wysoki, szczupły, w średnim wieku. Nosił grube okulary, co natychmiast wyjaśniało, dlaczego nie bił się na froncie. Przyglądał im się znad szkieł oczami krótkowidza.

- Major Petersen?

- Tak. Miło mi pana poznać, komendancie.

- No tak, tak... Cóż... - odchrząknął właśnie otrzymałem rozkaz zatrzymania...

- Ciii! Petersen przyłożył palec do ust i ściszył głos. Jesteśmy sami? zapytał.

- Tak...

- Na pewno?

- Na pewno...

- W takim razie rączki do góry.

- Przepraszam bardzo, muszę zobaczyć te drzwi. Carlos odepchnął się z krzesłem od stołu i wstał.
- To znaczy, że jeszcze ich nie widziałeś? - zdziwiła się Lorraine.
- Nie. Skoro Peter twierdzi, że je zaspawał, to je zaspawał. Skłonny jestem przypuszczać, że wszystkie zaspawane drzwi są do siebie podobne. Ludzka ciekawość, nic więcej.

Nie minęły dwie minuty, gdy był już z powrotem.

- Nic nadzwyczajnego, to tylko zaspawane drzwi. Żeby je otworzyć, konieczny jest palnik acetylenowy. Wysłałem Pietro na brzeg, ma czegoś takiego poszukać. Wątpię, czy znajdzie. Mieliśmy palnik, tyle że Peter wyrzucił go za burtę.
- Nie martwi cię to za dużo - stwierdziła Lorraine.
- Nie zamartwiam się drobiazgami.
- A jeżeli nie uda ci się ich stamtąd wydostać?
- Będą musieli tkwić w kajucie aż dobijemy do Termoli. W Termoli znajdzie się wszystko, co trzeba.
- Może się coś zdarzyć po drodze, kuter może zatonać, zanim dopłyniecie do portu. Myślałeś o tym?
- Tak. Byłoby mi przykro.
- Nareszcie! Nareszcie odrobina współczucia! - Byłoby mi przykro, bo zżyłem się z tą łajbą i nie ścierpiałbym myśli, że stała się grobem łajdaka - miał lodowaty głos i spojrzenie.
- Odrobina współczucia? Współczucia dla tego szubrawca? Dla tego zbrodniarza, najemnego mordercy i truciciela, który w podróż zabiera strzykawki i ampułki z trucizną? Chcesz, żebym współczuł psychopacie, który z rozkoszą wbiłby igłę w ciebie czy Sarinę, a potem skręcałby się ze śmiechu widząc, jak zwijacie się z bólu? Peter darował mu życie, ja żałuję, że go nie zabił. Odrobina współczucia! - Odwrócił się i wyszedł.
- No i zdenerwowałaś go - zaczął Giacomo. - Działasz i działasz bez umiaru. Ludzie, to jest Peter i Carlos, przeprowadzają dochodzenie, usądżają i wydają wyrok, a ty w ogóle nie masz pojęcia, co pleciesz.
- Nie miałam niczego takiego na myśli. Wydawała się zaskoczona.
- Nie chodzi o to, co masz na myśli, tylko co mówisz. Mogłabyś nieco powściągać język. Giacomo wstał i też wyszedł.

Lorraine wpatrywała się w puste drzwi kompletnie załamana. Dwie duże łzy spływały wolno po jej twarzy. Sarina objęła ją ramieniem.

- No, nie martw się już, już dobrze. Oni tego nie rozumieją. Ja cię rozumiem - zapewniała zgnębioną Lorraine.

Dziesięć minut później zjawił się Peter i jego towarzysze; Petersen siedział za kierownicą wiekowej, cywilnej ciężarówki. Wóz miał brezentowy dach i klapy do zasłaniania tyłu też z brezentu. Petersen zeskoczył ze stopnia szoferki i przyjrzał się zgromadzonej na pokładzie piątce. Stali tam wszyscy: Carlos, Giacomo, Lorraine i Michael z Sariną; von Karajanowie już z plecakami i nadajnikami, gotowi do drogi.

- Możemy jechać w każdej chwili - oznajmił Petersen; był w doskonałym humorze. - Wejdziemy tylko po swoje manatki.

- Nie ma potrzeby. Duży i mały Pietro niosą już wasze bagaże.

- A broń?

- Nie dopuściłbym do tego, byście się czuli jak bez ubrania - zapewnił Carlos. - Jak poszło?

- Nadspodziewanie dobrze: przyjacielscy, chętni do współpracy, no i pomocni. - Wyjął dwie kartki. - Przepustka wojskowa i zezwolenie na prowadzenie wozu. Co prawda tylko do Metković, ale zawsze to kawałek dalej. Oba dokumenty podpisane przez samego majora Massamo. Czy damy zechcą mi towarzyszyć z przodu? Z przodu jest dużo wygodniej, poza tym szoferka jest ogrzewana, a skrzynia nie.

- Dziękuję - odparła Lorraine. - Wolałabym jednak siedzieć z tyłu.

- O nie, nic z tego - zaprotestowała Sarina. - Nie będę się sama użerać z tą chodzącą inkwizycją. - Wzięła Lorraine pod ramię i coś jej naszeptła do ucha. Peter cierpliwie wznosił oczy do nieba. Lorraine najpierw energicznie potrząsnęła głową, później jednak kiwnęła na znak zgody.

Uścisnęli sobie ręce z Carlosem. Dziękowali mu i zegnali się. Tylko Lorraine stała bez słowa, z oczami wbitymi w nabrzeże. Carlos spojrział na nią niecierpliwie i rzekł:

- No dobrze. Ty zdenerwowałaś mnie, a ja, zapominając, że powinienem był zachowywać się jak oficer i dżentelmen, zdenerwowałem ciebie. - Objął ją ramieniem, przytulił i pocałował - niezupełnie przelotnie - w policzek. - To na przeprosiny i na do widzenia.

Petersen uruchomił silnik i ciężarówka ruszyła. Podstarzały strażnik nie wykazał zainteresowania przepustkami. Machnął ręką dając im do zrozumienia, by jechali dalej - najpewniej nie chciał rozstawać się ze swoją budką i koksownikiem. Petersen spojrział w prawo na Lorraine siedzącą na krawędzi fotela. Lorraine wpatrywała się nieruchomo przed siebie i twarz miała zalaną łzami. Petersen zmarszczył brwi, nachylił się nad kierownicą, wychylił w prawo, ale mało delikatna sójka w bok natychmiast przywołała go do porządku. Sarina też zmarszczyła brwi i ledwo dostrzegalnie pokręciła głową. Zerknął na nią pytająco, ale na widok jej lodowatych oczu cofnął się i skupił na prowadzeniu.

W tyle ciężarówki natomiast, nieźle już podtruty cygarami George'a, Giacomo wciąż gapił się w spore, nakryte brezentem wybrzuszenie przy szoferce. Wreszcie poklepał George'a po ramieniu.

- George?

- Co tam?

- Widziałeś kiedyś, żeby brezent ruszał się sam z siebie?

- No... Chyba nie.

- A ja właśnie widzę.

George spojrzał tam, gdzie wskazywał palec Giacomo.

- Ach to! Rozumiem. O Chryste! Mam nadzieję, że nie duszą się tam w środku! - Szarpnął brezent i odsłonił trzech leżących na boku mężczyzn dobrze związanych w nadgarstkach i kostkach oraz niezwykle solidnie zakneblowanych. - Nie, wcale się nie duszą, zaczynają się tylko niecierpliwić.

Wewnątrz ciężarówki panował półmrok, ale Giacomo bez trudu rozpoznał starszka i jego bardzo młodego kolegę, którzy rankiem przyszli po Petersena, George'a i Alexa.

- Kim jest ten trzeci? - zapytał.

- O, to jest major Massamo, komendant, ściślej mówiąc - jeśli się nie mylę - zastępca komendanta portu.

- Kim oni są? Co tu robią? Dlaczego są skrupowani? - dopytywał się bez szczególnego zainteresowania Michael, siedzący naprzeciwko z Alexem. Jego głos brzmiał głucho, jak przystało na człowieka, który wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po wstrząsie. Były to zresztą pierwsze tego dnia słowa Michaela. Niedogodności morskiej podróży i szarpiące nerwy przeżycia wytrąciły go z równowagi do tego stopnia, że nie zdołał nawet zważyć śniadania.

- Komendant garnizonu i jego dwaj żołnierze - objaśnił George. - Są z nami, bo przecież nie mogliśmy ich zostawić. Wszczęliby alarm natychmiast po naszym wyjściu. A zabić ich? Nie, to raczej do nas nie pasuje, jak sądzisz? Są związani i zakneblowani, żeby nie zaczęli nam tańczyć i śpiewać przy wyjeździe z portu. Wiesz, ty naprawdę zadajesz głupie pytania, Michael.

- To jest ten sam major Massamo, o którym mówił major Petersen. Więc jak wam wystawił przepustki?

- Podejrzliwy jesteś, Michael. Nieładnie. A podpisy jakoś zdobyliśmy. W gabinecie miał mnóstwo dokumentów, na każdym jego własnoręczny podpis. Nie trzeba specjalnych zdolności, żeby skopiować czyjś podpis. Nieźle mi to wychodzi, wiesz?

- Co z nimi zrobicie?
- Pozbędziemy się ich w stosownym miejscu i czasie.
- Pozbędziecie się ich...?

- Wrócą do Ploce już dziś wieczorem cali i zdrowi. Na litość boską, Michael, nie strzela się do sojuszników! - Tak, oczywiście, sojuszników... - Michael spojrział na trzech związanych i zakneblowanych mężczyzn.

Zatrzymywano ich na skrzyżowaniach dróg w dwóch kolejnych wioskach, ale kontrole były rutynowe i niedbałe. W trzeciej wsi Petersen sam zatrzymał samochód na polowej stacji benzynowej. Wysiadł, wręczył dokumenty prężącemu się na baczność kapralowi, odczekał do końca tankowania, dał kapralowi jakieś pieniądze, na co ten, zdziwiony, zasalutował, wreszcie wszedł do ciężarówki i odjechał.

- Oni wszyscy nie wyglądają na żołnierzy, nie zachowują się jak żołnierze... dziwiła się Sarina. Wydają się być tacy... Jak to nazwać...? Apatyczni.
- Wyraźny brak entuzjazmu, prawda? Zgadza się. Jako żołnierze nie wypadają najlepiej. W gruncie rzeczy Włosi potrafią być świetnymi żołnierzami, tyle że nie w tej wojnie. Nie mają do niej serca mimo wojowniczych przemówień Mussoliniego, który zagrzewa do boju jak może. Ludzie nigdy nie chcieli tej wojny i z biegiem czasu ich niechęć coraz bardziej się nasila. Oddziały frontowe walczą nie najgorzej, ale nie z poczucia patriotyzmu, tylko z zawodowej dumy. Dla nas to zresztą lepiej.
- Co tam dawałeś temu kapralowi?
- Kartki na benzynę. Dostałem je od majora Massamo.
- Ach, od majora Massamo... Benzyna, oczywiście, bezpłatna. A napiwek, który mu wręczyłeś? Najpewniej major Massamo dał wam też i pieniądze, co?
- Co to, to nie. My nie kradniemy.
- Z wyjątkiem ciężarówek i kartek na benzynę. A może tylko je pożyczyciście?
- Ciężarówkę tak, na jakiś czas.
- I naturalnie zwrócicie ją majorowi Massamo.

Petersen nawet na nią nie spojrział.

- Miałaś być załęczniona i zdenerwowana, nie wścibska. Nie mam zbyt wielkiej ochoty na tę indagację. Teoretycznie jesteśmy po tej samej stronie, zapomniałaś? Jeśli zaś idzie o ciężarówkę, obawiam się, że major Massamo już jej nie zobaczy.

Przez następny kwadrans, aż do Metković, jechali w milczeniu. Petersen zaparkował przy głównej ulicy i zeskoczył na chodnik.

- Chyba coś przeoczyłeś - rzuciła Sarina.

- Co takiego?

- Kluczyki. Zostawiłeś w stacyjce.

- Nie wygłupiaj się. - Petersen przeszedł na drugą stronę ulicy i zniknął w sklepie.

- A cóż to miało znaczyć? - po raz pierwszy, od kiedy wyjechali, oderwała się Lorraine.

- Dokładnie to, co powiedział. Skoro on wie wszystko, to pewnie i to, że nie umiem prowadzić. A już w żadnym wypadku takiego okropnego gruchota. Zresztą nawet gdybym umiała, niby dokąd miałabym was zawieźć? Dotknęła tylnej ściany szoferki. - Drewno. Nie ujechałabym ani pięciu metrów, a ten straszny Alex już by mi wpakował kulę w plecy - miała smutny głos i wyglądała nad wyraz żałośnie.

- Nie sądzisz, że byłoby przyjemnie chociaż raz zobaczyć, jak popełnia błąd, jak pogrywa coś nie tak?

- No chyba! Ale nie powinniśmy tego sobie życzyć. Czuję, że co dobre dla niego, dobre i dla nas.

- I odwrotnie.

Minęło dwadzieścia minut zanim Petersen wrócił. Jak na kogoś, kto ucieka przed pościgiem - i tak można by na to spojrzeć - nie śpieszył się zanadto. Niósł duży wiklinowy kosz przykryty szarym papierem. Od razu zataszczył go na tył ciężarówki i po chwili siedział już za kierownicą. Zdawało się, że jest w dobrym nastroju.

- No, słucham, słucham, czekam na pytania.

Sarina zrobiła minkę, ciekawość jednak zwyciężyła.

- Ten kosz...? - zapytała.

- Głodne wojsko to kiepskie wojsko. Od biedy można nas uznać za część oddziału, prawda? Zatem prowiant. Cóż innego kupowałbym w sklepie spożywczym? Chleb, ser, szynkę, wędliny, gulasz, owoce, warzywa, herbatę, kawę, cukier, maszynkę spirytusową i ronderek - obiecałem pułkownikowi Lunzowi, że dowiozę was na miejsce w dobrym stanie.

Uśmiechnęła się, chyba wbrew własnej woli.

- Brzmi to tak, jakbyś odstawiał nas na targ niewolników. Ale, ale! Czyżbyś zapomniał o swoim grubym przyjacielu?

- Ależ to był mój pierwszy zakup! George od razu wychylił z pół litra piwa. Wino też się tam znajdzie.

Wyjechali za miasto.

- O ile pamiętam, przepustka jest ważna tylko do Metković.

- Mam dwie przepustki. Carlosowi pokazałem jedną.

Pół godziny później znów przeprawili się przez Neretwę i stanęli koło dużego warsztatu samochodowego na przedmieściach Capljiny. Petersen wszedł do środka i wrócił po kilku minutach.

- Odwiedziłem starego przyjaciela - rzucił.

Minęli Trebizat i niedługo potem skręcili z szosy w gorszą, pnącą się w górę drogę. Wkrótce zjechali na polną dróżkę - też stromą - aż wreszcie zatoczyli koło i zatrzymali się w odległości pięćdziesięciu metrów od niskiej chaty z kamienia. Dalej jechać nie mogli, bo tutaj kończył się szlak.

Wysiedli z szoferki i przeszli na tył ciężarówki. Petersen odchylił brezentową klapę.

- Obiad! - zawołał.

Upłynęła minuta. Nikt nie wychodził.

I Sarina i Lorraine spoglądały na siebie zaskoczone i chyba przestraszone; spokój Petersena nie łagodził ich zdenerwowania.

- Jak już George coś zwiąże, to odwiązywanie musi trochę potrwać - wyjaśnił tajemniczo.

Nagle kłapa uniosła się i major Massamo wraz ze swą obstawą - odkneblowani i uwolnieni z więzów - znaleźli się na ziemi. Massamo i starszy żołnierz upadli natychmiast, gdy tylko ich stopy zetknęły się z twardym gruntem.

- A kogóż my tu mamy? Co też zrobił tym biedakom ten podły Petersen i jego siepacze? - zawodził Petersen. Młody żołnierz też usiadł koło tamtych. - A więc naszym oficerem jest sam major Massamo, komendant portu; tych żołnierzyków miałyście okazję już spotkać. Nie, nie, nie łamaliśmy im nóg, ani niczego innego. Trochę im szwankuje krążenie, ale to zaraz przejdzie. - Z wozu wyskoczyła pozostała czwórka mężczyzn. - Rozruszajcie ich trochę, dobra?

George podniósł majora Massamo, Giacomo młodego chłopca, a Michael emeryta. Staruszek był nie tylko wiekowy, ale i przy kości, i wcale nie miał ochoty chodzić. Sarina rzuciła Petersenowi miazdzące spojrzenie i ruszyła na pomoc bratu. Petersen zerknął na Lorraine, na George'a i szeptem zapytał:

- I co robimy? Czy w łeb ją, czy nożem?

Na twarzy George'a nie drgnął żaden mięsień. Zastanawiał się.

- Wszystko jedno. Tyle tu różnych jarów...

Lorraine wpatrywała się w nich zakłopotana; najwyraźniej nie znała serbsko-chorwackiego.

- Rozumiem już, dlaczego podróżuje z narzeczonym. To ochrona i tłumacz w jednej osobie. Wiem, kim ona jest - oznajmił Petersen.

- Ja też.

Lorraine umiała być zirytowana i władcza zarazem; dobrze jej to wychodziło.

- O czym tak rozprawiacie? To bardzo niegrzecznie. - Brakowało tylko, żeby tupnęła nogą.

- Mówimy naszym ojczystym językiem, nie ma się o co gniewać. Moja droga Lorraine, życie byłoby dla ciebie o niebo miłsze, gdybyś przestała wszystkich o coś posądzać. Ale owszem, rozmawialiśmy o tobie.

- Tak mi się właśnie zdawało. - Jej głos stracił już nieco na stanowczości.

- Spróbuj od czasu do czasu ludziom zaufać. - Petersen uśmiechnął się, żeby nie potraktowała tego jako kolejnej napaści. - Jesteśmy równie dobrymi opiekunami jak twój Giacomo. Zechciej zrozumieć, że mamy zamiar cię chronić. Gdyby cokolwiek ci się stało, Jamie Harrison nigdy by nam tego nie wybaczył.

- Jamie Harrison? Ty znasz Jamiego Harrisona?! - Jej oczy rozszerzyły się, a usta ułożyły w półuśmiech. - Nie wierzę! Znasz kapitana Harrisona! - Dla ciebie "Jamiego".

- Jamie... - Spojrzała na George'a: - Ty go też znasz?

- Ajajaj! Znow podejrzliwa! Skoro zna go Peter, to i ja muszę go znać, prawda? - Uśmiechnął się, gdy ujrzał rumieńce na jej twarzy.

- Moja droga, nie robię ci wyrzutów. Oczywiście, że go znam: wysoki, bardzo wysoki, szczupły, z ciemną brodą.

- Nie miał brody, kiedy go widywałam.

- Teraz ma, I wąsy. W każdym razie szatyn. I jak to się mówi w języku Shakespeare'a, bardzo, bardzo angielski. Chodzi z monoklem. Dla fasonu, moim zdaniem. Twierdzi, że musi go nosić, ale to nieprawda. Anglik, ot co.

- To cały Jamie... - Uśmiechnęła się.

Major Massamo i jego żołnierze wciąż jeszcze wykrzywiali twarze - co dobitnie świadczyło o wracającym krążeniu - byli już jednak częściowo rozruszani. Petersen wy dostał ciężki kosz z ciężarówką i poszedł w górę wydeptanymi w trawie schodkami. Przed domem wyjął klucz. Sarina spojrzała na klucz, później na niego. Nie odezwała się.

- Mówiłem ci: przyjaciele - rzucił.

Skrzypiące zawiasy w drzwiach i zatechły odór bijący z wnętrza świadczyły o tym, że nikt tego przybytku od miesiący nie odwiedzał. Izba - jedyne pomieszczenie domku - była lodowata, smutna i skąpo umeblowana. Stał tam stół z tarcicy sosnowej, dwie ławy, kilka rozklekotanych krzeseł, piec, w kącie leżał stos drewna na opał.

- Skromne, ale własne - rzekł raźnie Petersen: - No, do roboty! - Zerknął na George'a, który akurat wyciągał z kosza butelkę piwa.

- Niektóre sprawy mają pierwszeństwo, co?

- Mam straszne pragnienie - odparł George z godnością. - Mogę je zresztą gasić rozpalając ogień.

- Zajmiesz się naszymi gośćmi. Mam do załatwienia pewną sprawę.

- A ja nadzieję, że będziesz za pół godziny.

Wrócił po godzinie. George nie uznawał załatwiania rzeczy połowicznie i do tego czasu w izbie zrobiło się bardziej niż ciepło - płyta kuchenna rozżarzyła się do czerwoności i w pokoju można było udusić się z gorąca. Petersen celowo zostawił drzwi otwarte, a na stole umieścił drugi wiklinowy kosz.

- Prowiantu część dalsza. Przepraszam za spóźnienie.

- Nie martwiliśmy się - uspokoił go George. - Możesz od razu siadać do stołu. My już jedliśmy. - Zajrzał do środka nowo przyniesionego kosza. - I to ci zajęło tyle czasu?

- Spotkałem znajomych.

- A gdzie ciężarówka? - zapytała Sarina stając w drzwiach.

- Tam dalej, wśród drzew. Nie widać jej z góry.

- Myślisz, że szukają nas z powietrza?

- Nie, ale nie warto ryzykować. - Usiadł do stołu i zrobił sobie kanapkę z salami i żółtym serem. - Jeśli ktoś chciałby się przespać, to teraz. Ja zamierzam się zdrzemnąć; wczoraj nie spaliśmy w ogóle. Położę się na dwie, trzy godziny. I tak wolę jechać nocą.

- A ja wolę w nocy spać - oświadczył George i sięgnął po następną butelkę. - Będę cię strzegł jak żrenicy oka. Jedz, myśmy już sobie dogadzali, kolej na ciebie. Po pitraszeniu Giovanniego człowiek zjadłby konia z kopytami.

Petersen zdecydował się udowodnić, że nie jest w tej kwestii wyjątkiem. Po chwili oderwał się od jedzenia, rozejrzał wokół i spytał George'a:

- A dokąd poszły nasze złoźnice?

- Wyszły sobie. Chyba na spacer.

- To moja wina, nie uprzedziłem cię. - Wstał i wyszedł. Lorraine i Sarina odeszły może na czterdzieści metrów. - Wracajcie! - zawołał. Zatrzymały się i odwróciły. Nakazująco machnął ręką. - Wracajcie!

Wymieniły spojrzenia i nie śpiesząc się, zaczęły wracać.

- Cóż złego w niewielkim spacerku? - dziwił się George.

Petersen zniżył głos tak, by nikt w izbie nie słyszał.

- Zaraz ci powiem...

I powiedział mu, a George kiwnął ze zrozumieniem głową. Petersen zamilkł, kiedy dziewczyny były już niedaleko.

- Co się znowu stało? Co znowu jest nie tak? - niecierpliwiła się Sarina. - Jeśli szukałyście tego...

- Ruchem ręki wskazał szopę stojącą nie opodal.

- Nie. Wyszliśmy na spacer. Co w tym złego?

- Do środka!

- Jak sobie życzysz. - Sarina uśmiechnęła się słodko. - Korona z głowy by ci nie spadła, gdybyś powiedział o co chodzi.

- Żołnierz nie zwraca się tak do oficera. Fakt, że jesteście kobietami niczego nie zmienia. - Sarina już się nie uśmiechała; ton głosu Petersena nie zachęcał do żartów. Zaraz wam powiem dlaczego: bo ja tak chcę. Dlatego. Bo nie wolno wam robić niczego bez mojej zgody. Bo jesteście jak dzieci we mgle. Bo wreszcie zaufam wam dopiero wtedy, kiedy wy mnie zaufacie, jasne?

Spojrzały na siebie niczego nie rozumiejąc i weszły do środka bez słowa.

- Troszkę ostro je potraktowałeś - zauważył George.

- Znow odzywa się twoja skromność do dam. Naturalnie, że potraktowałem je ostro. Może w końcu do nich dotrze, że nie wolno im się ruszać bez pozwolenia. Mogły nam nieźle wszystko skomplikować.

- Chyba tak, owszem, ale nie zdawały sobie z tego sprawy. Dla nich jesteś strasznym zbirzem i jeszcze się czepiasz. Do tego kompletnie irracjonalnie, tylko po to, żeby się czepiać. Nic to, Peter, kiedy z czasem docenią twe ogromne zalety, mogą cię wręcz nawet pokochać.

W izbie Petersen zarządził:

- Proszę, żeby nikt nie wychodził na zewnątrz. Poza Georgem i Alexem. No i Giacomo.
- Giacomo nigdzie się nie wybiera - odparł zaspanym głosem siedzący na ławie Giacomo, unosząc głowę znad skrzyżowanych na stole ramion.
- A Ja nie mogę? - zapytał Michael.
- Nie.
- To dlaczego Giacomo może? - Ty nie jesteś Giacomo - uciął Petersen.

Petersen zbudził się dwie godziny później i potrząsnął głową, by odegnać sen. Spostrzegł, że nie śpią tylko niezmordowany George - z piwem w dłoni - i trzech jeńcy. Wstał i obudził resztę.

- Zaraz ruszamy. Czas na herbatę, kawę, wino, czy na co tam macie ochotę, i nie ma nas. - Dorzucił dREW do pieca.
- Jedziemy z panem? - spytał major Massamo, dotychczas nadspodziewanie milczący mimo braku knebla w ustach.
- Wy zostajecie tutaj. Związani, ale bez knebli. Możecie się zakrzyczeć na śmierć i tak was nikt nie usłyszy. - Uniósł rękę aby powstrzymać protest. - Nie, nie, nie zamarniecie w nocy. Będzie wam tu dobrze i ciepło do czasu, nim nadejdzie pomoc. Wyjeżdżamy i w godzinę potem dzwonię do najbliższej jednostki wojskowej pięć kilometrów stąd i mówię im, gdzie jesteście. Będą tutaj w piętnaście minut.
- Jest pan niewątpliwie szalenie uprzejmy - Massamo uśmiechnął się blado. - Zawsze to lepsze niż kula w łeb.
- Wojsko Królewskiej, Jugosławii nie słucha niczyich rozkazów, w tym ani niemieckich, ani włoskich. Kiedy zaś sojusznicy zaczynają nam przeszkadzać, jesteśmy zmuszeni przedsięwziąć kroki obronne. Ale do przyjaciół nie strzelamy, co to, to nie. Nie jesteśmy barbarzyńcami.

Za chwilę miał przed sobą na nowo związanych jeńców.

- W piecu podłożone, drzwiczki szczelnie zamknięte, więc iskry wam niegroźne, nie spalicie się. W ciągu półtorej godziny ktoś tu na pewno zajrzy. Do widzenia.

Żaden z nich nie odpowiedział.

Petersen sprowadził grupę schodami w dół i zaraz skręcił. Ciężarówka stała na małej polance.

- Ooo, nowy wóz! - zawołała Sarina.

- Mówiłem już, że trzeba was pilnować jak małe dzieci. Ooo, nowy wóz, nowy wóz! - przedrzeźniał Petersen. - Właśnie to byś nam obwieściła, wróciwszy ze spaceru. Taka wiadomość na pewno niezmiernie ucieszyłaby majora Massamo. Wiedziałyby od razu, że upchnęliśmy gdzieś starą ciężarówkę i że nie ma jej co szukać, a z całą pewnością już jej teraz szukają. Skutek? Uwolniony przez swoich, zarządziłby pościg nowym tropem. Nie jest to nazbyt prawdopodobne, ale i niewykluczone. Skoro tak, musiałbym znowu ciągnąć Massamo z sobą.

- Nikt nie natknie się czasem, na starą? - spytał Giacomo.

- Nie, chyba, że uprze się nurkować w lodowatej Neretvie. Nie ma tak stukniętego człowieka. Stoczyłem ją z niewielkiej co prawda skałki, za to na głęboką wodę. Tak mi powiedział miejscowy rybak.

- Nie widać jej z brzegu?

- Nie. O tej porze roku wody Neretvy są wzburzone i brązowawe. Za kilka miesięcy, kiedy stopnieje śnieg w górach, rzeka znów stanie się czysta i zielona. Ale kto by się martwił tym, co będzie za kilka miesięcy.

- Cóż to za dobra duszyczka ofiarowała ci ten zgrabny, nowy model? Czyżby znowu włoska armia?

- Raczej nie. To mój znajomy rybak, ten od warsztatu, gdzie stanęliśmy po drodze. Wojsko nie prowadzi tu taboru naprawczego, więc mój rybak świadczy im czasami usługi. Miał kilka cywilnych ciężarówek, ale ta wydała nam się najodpowiedniejsza i najbardziej urzędowa.

- Czy ten twój rybak nie będzie musiał za to odpowiadać?

- A skądże! Od razu wyłamaliśmy kłódkę z tyłu garażu na wypadek, gdyby zaplątał się tam jutro jakiś żołnierz. Zresztą to prawie niemożliwe, bo jutro niedziela. Za to w poniedziałek rano, jak przystało na dobrego kolaboranta, mój znajomy wybierze się do włoskich władz i zamelduje o włamaniu i o kradzieży jednego z wojskowych samochodów. Jemu nie będzie można niczego zarzucić, przestępcy są dobrze znani, bo któż inny oprócz nas mógłby to zrobić?

- No a w poniedziałek, kiedy zacznie się pościg? - indagowała Sarina.

- W poniedziałek nasza nowa ciężarówka podzieli zapewne los starej. Cokolwiek zresztą się stanie, będziemy daleko stąd.

- Ale z ciebie krętacz!

- Głupstwa opowiadasz. To się nazywa myślenie przyszłościowe.

Nowa ciężarówka była nieco wygodniejsza i zdecydowanie cichsza od starej. Już w drodze Sarina mówiła:

- Nie chcę ci, broń Boże, czynić wyrzutów, ani krytykować, ale trzeba obiektywnie stwierdzić, że masz dość swobodne podejście do własności swoich sojuszników.

Zerknął na nią i znów skupił uwagę na drodze.

- Naszych sojuszników - poprawił.

- Co? No tak... Tak, oczywiście. Naszych sojuszników.

Petersen wciąż patrzył przed siebie. Może nawet zamyślił się, ale trudno byłoby mieć tę pewność; jego twarz była mu bezwzględnie posłuszna.

- Gospoda w górach, wczoraj przy obiedzie, pamiętasz, co mówił George? - zapytał.

- Czy pamiętam? Jakim cudem? On gada i gada! Bez przerwy! O czym mówił?

- O naszych sojusznikach.

- Nie bardzo...

- Nie bardzo... - cmoknął z niezadowoleniem. - Źle nam to wróży. Radiooperator, jak każdy wyszkolony agent, musi pamiętać wszystko, o czym się dookoła mówi. George nazwał nasze sojusze czasowym mariażem wyrachowania i wygody. Walczymy u boku Włochów, a nie dla nich. Mówił o Niemcach, ale to to samo. Bijemy się o swoją sprawę. Gdy Niemcy i Włosi odegrają swoją rolę, nastanie czas, by się, stąd zabrali. A tymczasem mamy tu konflikt interesów między Niemcami a Włochami z jednej strony i nami z drugiej. Nasze interesy mają pierwszeństwo. Cóż, szkoda ciężarówek, lecz taka strata z pewnością nie przesądzi losów wojny.

Zapadła krótka chwila ciszy i odezwała się Lorraine:

- To kto wygra tę ohydną wojnę, majorze Petersen?

- My. Wolałbym, żebyś mówiła mi Peter, o ile, oczywiście, będziesz się zachowywać obyczajnie.

Lorraine i Sarina wymieniły między sobą krótkie spojrzenia. Jeśli nawet to zauważył i tak nie dał po sobie poznać.

Zatrzymano ich w Capljinie, przy wojskowej blokadzie na drodze. W gęstniejącym mroku do ciężarówki zbliżył się młody oficer. Najpierw oświetlił sobie jakąś kartkę, później tablice rejestracyjne samochodu, wreszcie skierował snop światła do wewnątrz szoferki. Petersen wychylił się przez okno.

- Przestań nam świecić w oczy tym cholernym światłem! - krzyknął ze złością.

Latarka natychmiast zgasła.

- Przepraszam, rutynowa kontrola. Nie ta ciężarówka. - Cofnął się, zasalutował i odprawił ich gestem ręki. Petersen ruszył

- Wcale mi się to nie podobało - powiedziała Sarina. Co będzie, kiedy skończy się twoje szczęście? I dlaczego właściwie od razu nas puścił?
- Młody, rozsądny i dyskretny człowiek o bystrym oku - wyjaśnił Petersen. - Od razu zadał sobie pytanie, kimże on jest w porównaniu z oficerem, którego stać na płomienny romans z dwiema pięknymi kobietami. Ale polowanie już się zaczęło. Trzymał w ręce kartkę z numerem naszej starej ciężarówki. Sprawdził też kierowcę i pasażerów - dość niezwykła rzecz, przyznaję. Kazano mu widocznie uważać na trzech desperatów, a już na pierwszy rzut oka widać, że jestem człowiekiem ze wszech miar spokojnym; was też trudno wziąć za George'a i Alexa.
- Muszą jednak wiedzieć, że jedziemy z wami.
- Nic nie muszą. Wkrótce się dowiedzą, ale jeszcze nie teraz. Jedyni ludzie, którzy rzeczywiście wiedzą, że znalazłyście się na kutrze, siedzą w chacie i są związani. - Ktoś mógł zasięgnąć języka na "Colombo".
- Możliwe, ale wątpię. Nawet jeżeli tak, żaden marynarz Carlosa nie piśnie ani słowa bez jego zgody. Taki tam mają układ.
- Sam Carlos im nie powie? - W głosie Sariny zabrzmiało powątpiewanie.
- Carlos będzie milczał ile się da. Pewnie stoczy walkę z własnym sumieniem, walkę raczej krótką, i poczucie żołnierskiego obowiązku przegra. Nie wyda przecież na pastwę losu swojej dawnej dziewczyny, zwłaszcza że, co wielce prawdopodobne, doszłoby do strzelaniny.

Lorraine wychyliła się zza Sariny i spojrzała na Petersena.

- Niby kto miałby być tą dziewczyną? Ja? - spytała.
- Puściłem wodze fantazji. Wiesz przecież, że lubię sobie pogadać.
- Jeszcze dwukrotnie zatrzymywano ich przy blokadach. W obu przypadkach nic się nie wydarzyło, ale w kilka minut po drugiej kontroli Petersen zjechał w pole.
- Teraz przesiądźcie się do tyłu. Bardzo proszę. Trochę tam zimno, ale mój znajomy rybak zaopatrzył mnie w koce.
- Dlaczego? - dopytywała się Sarina.
- Bo teraz już mogą was rozpoznać. To mało prawdopodobne, ale przygotujemy się na najgorsze - niebawem roześlą wszędzie wasze rysopisy.
- Rysopisy? Jakim cudem, skoro major Massamo... - przerwała, by spojrzeć na zegarek. - Mówiłeś, że zadzwonisz na posterunek w Capljinie za godzinę. A to było godzinę i dwadzieścia minut temu. Oni tam zamarzną. Dlaczego kłamałeś?
- Skoro nie umiesz myśleć, a najwyraźniej nie umiesz, mogłabyś przynajmniej siedzieć cicho. Tak,

małe, konieczne kłamstewko. Co by się stało, gdybym zadzwonił teraz, albo w ciągu ostatnich dwudziestu minut?

- Wysłaliby im kogoś na pomoc.

- I to wszystko?

- A co jeszcze?

- Boże, miej w opiece Jugosławię! Namierzyliby, skąd dzwonię, i wiedzieliby mniej więcej, gdzie jesteśmy. O umówionej godzinie zrobił to za mnie mój znajomy. Telefonował z Grudy, na trasie Capljina - Imotski, kawałek stąd, na północny zachód. Jaki wniosek wyciągną? Jedziemy do Imotski. To oczywiste, bo Włosi mają tam swoją dywizję. Zatem skoncentrują poszukiwania w okolicach Imotski. Mnóstwo tam miejsca, gdzie można się schować: budynki, magazyny, ciężarówki... A skoro Włosi Niemców lubią tak samo jak Jugosłowian - przypominam wam, że rozkaz zatrzymania nas przyszedł z niemieckiej kwatery głównej w Rzymie - nie sądzę, żeby szukali zbyt gorliwie. Mogli co prawda przejrzeć mój chytry plan, ale nie przypuszczam, by chcieli sobie zadawać aż tyle trudu. Tak czy owak, idziecie do tyłu.

Wysiadł, upewnił się, że bezpiecznie wylądowały w budzie ciężarówki, wrócił do szoferki i ruszył. Minął jeszcze dwie blokady - tym razem nawet nie zatrzymywany - i dotarł do Mostaru. Przejechał przez miasto na drugą stronę rzeki, skręcił w prawo koło hotelu Bristol, a dwie minuty później zatrzymał samochód i zgasił silnik. Zajrzał w głąb ciężarówki.

- Zostańcie w środku - nakazał. - Wracam za kwadrans.

- Czy wolno nam wiedzieć, gdzie jesteśmy? - zapytał Giacomo.

- Naturalnie. Na parkingu w Mostarze.

- Czy to nie za bardzo na widoku? - to był oczywiście głos Sariny.

- Im bardziej na widoku, tym lepiej. Pod latarnią najciemniej.

- Nie zapomnisz powiedzieć Josipowi, że ostatnio całe dni żyję bez picia i jedzenia? - niepokoił się George.

- Nie muszę mu nic mówić, on wie. Ty zawsze byś coś zjadł i wypił.

Petersen wrócił niewielkim, czternastoosobowym mikrobusem Fiata, którego najlepsze dni minęły gdzieś w latach dwudziestych. Kierowca był niskim, szczupłym mężczyzną o śniadej cerze, buńczucznych, czarnych wąsach, błyszczących oczach i tryskał niewyczerpaną energią.

- To jest Josip - rzekł Petersen.

Josip przywitał się radośnie z Georgem i Alexem i widać było, że znają się od dawna. Petersen nie fatygował się, by dokonywać dalszej prezentacji.

- Przeniesiecie bagaże do mikrobusu - powiedział. - Wzięliśmy mikrobus, bo Josip nie chciałby specjalnie, żeby przed głównym wejściem jego hotelu parkowała włoska ciężarówka.

- Hotelu? Zatrzymamy się w hotelu?! - zdziwiła się Sarina.

- Podróżując z nami, spodziewaj się wyłącznie wszystkiego najlepszego - zapewnił George jowialnie.

Kiedy dotarli do hotelu, okazało się, że hotel jest niekoniecznie najlepszy; przynajmniej trudno, było o bardziej zniechęcający podjazd. Josip zaparkował w garażu i poprowadził ich wąską i krętą alejką, na której nie zmieściłby się nawet samochód. W końcu stanęli u ciężkich, drewnianych drzwi.

- Tylne wejście - rzekł Petersen Josip prowadzi niezwykle szacowny hotel, ale nie zależy mu za bardzo na tym, by zwracać na siebie uwagę sprowadzaniem tłumu gości na raz.

Przeszli krótkim korytarzem i znaleźli się w małym, ale czystym i jasnym holu recepcyjnym.

- No. - Josip raźno zatarł ręce; taki właśnie już był. - Jeśli zechcecie wziąć bagaże, zaprowadzę was do pokoi. Umyć się, poprawić fryzury i siadać do stołu. - Rozłożył zapraszająco ramiona. - Nie jest to Ritz, ale głodni spać nie pójdziecie.

- Ja na razie nie jestem w stanie walczyć z tymi schodami - oświadczył George. Głową wskazał łukowate przejście. - Myślę, że tam się schowam i spokojnie odpocznę.

- Barman ma dzisiaj wolny dzień, profesorze. Trzeba się będzie samemu obsłużyć.

- Cóż, nie ma róży bez kolców.

- Panie pozwolą tędy.

W korytarzu na górze Sarina odwróciła się do Petersena i cicho spytała:

- Dlaczego twój przyjaciel nazywa George'a profesorem?

- Wiele osób go tak nazywa, takie przezwisko. I wiadomo, skąd się wzięło: George nie mówi, on wyklada.

Posiłek okazał się o wiele lepszy niż Josip zapowiadał, bośniaccy oberżyści znani są ze swej inwencji, zaradności, żeby nie wspomnieć o umiejętności zdobywania rzeczy niemożliwych do zdobycia. Biorąc pod uwagę, że działo się to w splądrowanym i zniszczonym wojną kraju, kolacja graniczyła niemal z cudem: dalmatyńska szynka, szary kiełb, do niego doskonałe posipańskie białe wino i ku zdumieniu wszystkich dziczyzna oraz czerwone wino z jednej ze słynnych neretvańskich winnic. W czasie posiłku miał miejsce wypadek bez precedensu: George, po wygłoszeniu mrocznej uwagi, że nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć w przyszłości, milczał aż cały kwadrans. Nie

zaliczał się nigdy do niejadków, ale ten popis apetytu wzbudzał grozę wśród współbiesiadników.

Oprócz George'a i jego kompanów do stołu zasiadł gospodarz z żoną, Mariją. Choć nieduża, ciemna i energiczna jak Josip, Marija stanowiła dokładne przeciwieństwo męża. On ożywiona, zajęta wieloma rzeczami na raz, on skupiony na jednej sprawie; on milczkowaty, ona za to rozmowna, wręcz gadatliwa. Spojrzała na Michaela siedzącego z Sariną trochę dalej, przy małym stoliku, później na Giacomo i Lorraine przy takim samym, też nieco oddalonym i zniżyła głos:

- Wasi przyjaciele są bardzo małomówni.

George przełknął kawałek dziczyzny.

- To przez jedzenie - objaśnił.

- Mówią, mówią, a jakże - włączył się Petersen. - Nie słyhać, bo George zagłusza ich swoim mlaskaniem. Ale racja, rozmawiają cicho.

- Dlaczego? Po co tu szemrać czy szeptać? Tu się nie ma czego bać. Nikt ich nie usłyszy oprócz nas - zdziwił się Josip.

- Słyszałeś, co mówił George? Nie wiedzą, co przyniesie im przyszłość. Dla nich to wszystko to coś zupełnie nowego. Oczywiście nie dla Giacomo. Są niespokojni i z ich punktu widzenia mają do tego wszelkie prawo. Wiedzą tylko tyle, że jutrzejszy dzień może okazać się dla nich ostatnim.

- Dla was też - odezwał się Josip. - My, hotelarze, spędzamy dużo czasu na targu. Na targu mówi się, że grupy partyzantów obeszły włoski garnizon w Prozorze, zeszły doliną Ramy i siedzą na wzgórzach przy drodze stąd do Jablanicy. Może nawet po obu stronach drogi, bo oni są do wszystkiego zdolni. Jakie macie plany na jutro? O ile, rzecz jasna, wolno spytać?

- Dlaczegoż by nie? Musimy ruszać w góry. Już niebawem, ale ta trójka młodych nie wygląda mi specjalnie na kozice, więc jak długo się da, będziemy trzymać się ciężarówki i drogi. Drogi do Jablanicy, naturalnie.

- A jeśli wpadniecie na partyzantów?

- Będziemy się wtedy martwić.

Pod koniec kolacji Giacomo i Lorraine wstali i podeszli do dużego stołu.

- Dziś po południu chciałam wyjść na spacer rozprostować nogi, ale mi nie pozwoliłeś. Chciałabym przejść się teraz. Czy masz coś przeciwko temu?

- Tak. Tak, mam coś przeciwko temu. Mostar stał się miastem frontowym. Jesteś młoda, piękna, a po uliczkach kręci się mnóstwo, jak to się mówi, rozpasanych żołnierzy. Natkniesz się na pierwszy lepszy patrol i co? Nie będziesz nawet w stanie się dogadać. Nie mówiąc o tym, że jest okropnie zimno.

- Od kiedy to troszczysz się o moje zdrowie? - Lorraine zrobiła się po dawnemu wojownicza. - Giacomo się mną zaopiekuje. Chodzi tylko o to, że nadal mi nie ufasz, tak?
- Tak, o to też chodzi.
- A co twoim zdaniem miałabym zrobić? Uciec? Donieść na ciebie władzom? Niby komu? Nic nie mogę zrobić.
- Wiem. Chodzi mi wyłącznie o twoje dobro.
- Dziękuję. - Pięknym dziewczynom nie dane jest chrząkać z powątpiewaniem, ale jej się to prawie udało.
- Mogę ci towarzyszyć.
- Nie, dziękuję. Ciebie nie chcę.
- Widzisz, nie lubi cię! - George odepchnął się z krzesłem od stołu. - Za to wszyscy lubią George'a. Dużego, dobrodusznego, sympatycznego George'a. Ja pójdę z tobą.
- Ciebie też nie chcę.

Petersen zakaszłał.

- Pan major ma rację, panienko. Rzeczywiście robi się tu niebezpiecznie po zmroku. Giacomo wygląda tak, że dałby radę każdemu, ale w tym mieście są ulice, gdzie nie zapuszcza się nawet wojskowa policja. Wiem, dokąd można bezpiecznie się wybrać, a dokąd nie - powiedział Josip.
- Bardzo pan uprzejmy.
- Czy i my możemy do was dołączyć? - zapytała Sarina.
- Oczywiście.

Cała piątka, łącznie z Michaeliem, zapięła grube płaszcze i wyszła nie oglądając się na Petersena i jego kompanów. George wzruszył ramionami i westchnął: - I pomyśleć, że kiedyś byłem najbardziej lubianym człowiekiem w Jugosławii... Oczywiście zanim poznałem ciebie. Idziemy odpocząć?

- Tak szybko?
- Miałem na myśli salkę za tym łukiem... - George poszedł przodem i skrył się za barem. - Dziwna młoda dama... Lorraine... Tak sobie tylko głośno dumam. Dlaczego wymyśliła eskapadę w ciemną i niebezpieczną noc? Nie sprawia wrażenia osoby, która szaleńczo dba o kondycję, ani maniaczki świeżego powietrza.
- Sarina też nie. Dwie dziwne młode damy.

- Pogódźmy się: sądzę, że fanaberie płci odmiennej, zwłaszcza jej młodych reprezentantek, zdecydowanie nas przerastają i skoncentrujemy się, z lepszym skutkiem, na tym oto roczniku '38. - George wyciągnął rękę po butelkę.

- Chyba nie są takie znów dziwne - odezwał się niespodziewanie Alex.

Petersen i George bacznie nastawili ucha. Alex odzywał się tak rzadko, a jeszcze rzadziej decydował się na wyrażanie swojej opinii, że zawsze wysłuchiwali go w skupieniu.

- Czy to możliwe, Alex, że zauważyłeś coś, co uszło naszej uwagi? - zapytał George.

- Tak. Widzisz, nie mówię tyle, co ty - słowa brzmiały może obraźliwie, lecz Alex nie to chciał osiągnąć. On po prostu wyjaśniał, jak do tego doszło. - Kiedy wy mówicie, ja patrzę, słucham i dowiaduję się różnych rzeczy; wy słuchacie samych siebie. Te dwie panienki najwyraźniej bardzo się zaprzyjaźniły. Moim zdaniem za bardzo i za szybko. Może rzeczywiście się lubią, nie wiem. Wiem za to, że sobie nie ufają. Jestem pewien, że Lorraine wyszła, żeby się czegoś dowiedzieć. Nie wiem czego. Sądzę, że Sarina też tak pomyślała i ponieważ chce wiedzieć, co to takiego, wyszła, żeby pilnować Lorraine.

George pokiwał głową w uznaniu dla roztropności Alexa.

- Bardzo rozsądny wywód. Jak myślisz, co je tak zainteresowało?

- Skąd mam wiedzieć? - Alex trochę się zirytował. - Ja tylko patrzę. Od myślenia jesteście wy.

Panie, wraz z eskortą, wróciły zanim trójka przyjaciół zdążyła opróżnić butelkę wina, a to znaczyło, że wróciły naprawdę szybko. Obie dziewczyny i Michael zdążyli już na zimnie nabrać lekko fioletowego koloru, a do tego Lorraine wyraźnie dzwoniła zębami.

- Miły spacer? - grzecznie zainteresował się Petersen.

- Bardzo miły - odparła Lorraine. Najwyraźniej nie wybaczyła mu jeszcze obrazy, której, jej zdaniem, się dopuścił. - Przyszłam tylko powiedzieć dobranoc. O której jutro wyjeżdżamy?

- O szóstej.

- O szóstej! - Jeśli to za późno, to...

- Idziesz? - zwróciła się do Sariny, zupełnie ignorując Petersena.

- Za chwileczkę.

Lorraine wyszła, a George zaproponował.

- Kieliszczyk przed snem, Sarina? Proponuję maraschino z Zadaru. Spędziwszy całe życie...

Zlekceważyła go dokładnie tak, jak Lorraine zlekceważyła majora, do którego właśnie zwróciła się teraz Sarina:

- Okłamałeś mnie.
- Panie Boże odpuść! Jak można coś takiego mówić?
- Chodzi o George'a, o jego przydomek. Profesor. Mówiłeś, że to dlatego, że tyle gada.
- Nic podobnego. Użyłem słowa "wykłada".
- Nie zbaczaj z tematu. Przydomek! Dziekan wydziału filologicznego i profesor języków zachodnich na uniwersytecie w Belgradzie!
- No, no - stwierdził Petersen z podziwem. Rzeczywiście jesteś sprytna. Jak na to wpadłaś?
- Po prostu, spytałam Josipa. - Uśmiechnęła się.
- Nieźle, nieźle. Przeżyłaś, szok, co? Myślałaś sobie, że robił tam za stróża. Przyznaj się...

Przestała się uśmiechać i zarumieniła się lekko.

- Nieprawda. Dlaczego mnie okłamałeś?
- Zaraz okłamałem! To zupełnie bez znaczenia. George, rozumiesz, nie lubi przechwalać się swą skromną karierą akademicką - on nigdy nie osiągnął zawrotnych szczytów, takich jak dyplom z ekonomii i polityki na uniwersytecie w Kairze...

Znów się zarumieniła, tym razem wyraźniej, a potem uśmiechnęła. Błado co prawda, ale jednak.

- Nawet nie broniłam dyplomu. Zagrałeś nie fair.
- To prawda. Przepraszam.
- Ale co ty tu robisz? Chodzi mi o to, że jako zwykły żołnierz...
- zwróciła się teraz do George'a.

George wyprostował się z godnością za barem.

- Jestem bardzo niezwykłym żołnierzem.
- Tak, ale... Przecież jesteś dziekanem, profesorem...

George smutno potrząsnął głową.

- Miotanie plusquamperfektycznymi subjunctivusami w okopy wroga nigdy jeszcze nie wygrało bitwy.

Wpatrywała się w niego moment, aż wreszcie spytała Petersena:

- O czym, do licha, on gada?
- Znow wrócił myślą do gajku Akademososa, moja droga.
- Gdziekolwiek mamy razem jechać, nie sądzę, byśmy dojechali - oświadczyła z całą mocą. - Jesteście stuknięci. Obydwaj. Kompletnie stuknięci.

Rozdział V

Było w pół do czwartej nad ranem, kiedy Petersen otworzył oczy i spojrzał na zegarek. Właściwie nie powinien był zobaczyć zegarka, bo kładł się spać przy zgaszonym świetle. Teraz co prawda światło się paliło, ale to nie światło wyrwało go ze snu. Coś zimnego i twardego wbijało mu się mocno w prawą kość policzkową. Ostrożnie, by nie poruszyć głową, Petersen odnalazł wzrokiem mężczyznę, który trzymał spluwę; facet siedział na krześle koło łóżka. Ubrany w dobrze skrojony, szary garnitur, miał grubo ponad trzydziestkę, schludnie przystrzyżony wąsik w stylu przedwojennego Ronalda Colmana, gładką, jasną cerę, zniewalający uśmiech i bardzo bladoniebieskie, bardzo zimne oczy. Petersen z wolna przesunął rękę i delikatnie odchylił lufę pistoletu.

- Musi pan to trzymać przy mojej głowie? Mając z sobą trzech uzbrojonych po zęby zbirów?

Rzeczywiście, w pokoju znajdowali się jeszcze trzej mężczyźni odziani w paramilitarne mundury. W przeciwieństwie do swego szefa mieli mocno podejrzany i obwiesiowaty wygląd, ale było to bez znaczenia wobec faktu, że każdy z nich trzymał w ręku pistolet maszynowy.

- Zbirów? - Facet na krześle zrobił zbolalą minę. - To znaczy, że i ja jestem zbirem?

- Tylko zbir i bandyta przystawia śpiącym pistolet do głowy.

- Dobrze, dobrze, majorze Petersen. Ma pan reputację niezwykle niebezpiecznego człowieka, który nie brzydzi się przemocą. Skąd mamy wiedzieć, czy pod kocem nie trzyma pan naładowanej broni?

Petersen powoli wyciągnął prawą rękę spod pledu. Ręka była pusta.

- Jest pod poduszką.

- Ach tak... - Facet schował rewolwer. - Lubimy zawodowców.

- Jak weszliście do środka? Drzwi zamknąłem na klucz.

- Signor Pijade okazał się szalenie pomocny. - Josip nazywał się Pijade.
- Coś takiego!
- Dzisiaj nikomu nie można ufać.
- Właśnie doszedłem do tego samego wniosku.
- Zaczynam wierzyć w to, co o panu mówią. Nie jest pan wcale zmartwiony, prawda? Na dobrą sprawę moja osoba zupełnie pana nie niepokoi.
- Niby dlaczego miałyby niepokoić? Nie jest pan przyjacielem i tylko to ma znaczenie.
- Może jestem, może nie jestem. Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem. Nazywam się Cipriano. Major Cipriano. Możliwe, że słyszał pan o mnie.
- Istotnie, wczoraj po raz pierwszy. Żał mi pana, majorze, naprawdę mi pana żal i przysięgam, że wolałbym teraz być zupełnie gdzie indziej. Należę do tych wrażliwców, którzy fatalnie się czują w szpitalnych oddziałach. Przy chorych, naturalnie.
- Przy chorych? - Cipriano lekko się zdziwił, ale nie przestał się uśmiechać. - Ja chory? Jestem zdrowy jak koń.
- Fizycznie na pewno, ale pod każdym innym względem przypomina pan raczej niewydarzonego kucyka. Każdy, kto wynajmuje się do brudnej roboty temu obrzydliwemu sadyście, temu sukinsynowi generałowi Granelli, musi być chory na umyśle, a każdy, kto sam sobie dobiera takiego psychopatycznego truciciela jak Alessandro, musi być też sadystą i kandydatem do najściślej izolowanego domu wariatów.
- Ach tak, Alessandro... - Najwyraźniej Cipriano nie obrażał się łatwo, a jeżeli nawet się obrażał, był za sprytny, by to okazywać. - Przekazał wiadomość dla pana.
- Pan mnie zdumiewa! Sądziłem, że pański truciciel i jadowity przyjaciel nie jest w stanie przekazywać żadnych wiadomości! Zatem widział się pan z nim?
- Niestety nie. Wciąż jeszcze jest na "Colombo", w kabinie, którą pan zaspawał. Trzeba przyznać majorze Petersen, że nie jest pan człowiekiem, którego zadowolają półśrodki. A jednak z nim rozmawiałem. Mówi, że jak pana spotka, długo pan będzie umierał.
- Nie ma obawy, nie spotka. Zastrzelę go od razu jak wściekłego psa. Nie chcę już rozmawiać o tym pańskim psychicznym znajomym. Czego chcecie ode mnie?
- Jeszcze nie jestem pewien. Niech mi pan powie, majorze, dlaczego uparcie nazywa pan Alessandra trucicielem?
- Nie wie pan?

- Może i wiem, ale na razie nie mam pojęcia, o czym pan przed chwilą mówił.
- Wiedział pan, że Alessandro zabrał z sobą na wycieczkę granaty z gazem obezwładniającym?
- Tak.
- I śliczny, poręczny niezbędnik ze strzykawkami i ampułkami z płynem wywołującym utratę świadomości; coś w rodzaju skopolaminy jak sądzę.
- Tak, wiem. - Jak również i to, że były tam ampułki z czymś, co po wstrzyknięciu powoduje śmierć w straszliwych męczarniach?
- To kłamstwo. - Cipriano przestał się uśmiechać.
- Czy mogę wstać?

Cipriano kiwnął głową, więc Petersen podszedł do swego plecaka, wyjął zeń metalową skrzyneczkę, którą skonfiskował Alessandro, wręczył ją Cipriano i rzekł:

- Niech pan to zawiezie do Rzymu czy gdziekolwiek indziej i odda do analizy zawartość ampułek. Na pana miejscu nie piłbym ich, ani też nie robił sobie zastrzyków. Zagroziłem, że wypróbuję tę brakującą na pańskim przyjacielu, a on zemdlął ze strachu.
- Nic o tym nie wiedziałem.
- Wierzę. Gdzie też Alessandro mógł zdobyć tak śmiertelne kapsułki?
- Tego też nie wiem.
- W to akurat nie wierzę. No dobra, czego ode mnie chcecie?
- Proszę pójść z nami. - Cipriano ruszył przodem. Zeszli do jadalni, gdzie pod czujnym okiem młodego włoskiego oficera i czterech uzbrojonych żołnierzy siedziała już znajoma szóstka. - Proszę tu zostać. Wiem, że jest pan zbyt dobry w swym fachu, żeby próbować jakichś sztuczek. Zaraz wracamy..

Naturalnie George siedział rozparty na honorowym miejscu przy stole z cynowym kuflem piwa w dłoni. Pozornie spokojne oblicze Alexa zdradzało mordercze myśli. Giacomo z kolei chyba coś tam sobie rozważał, a Sarina miała mocno zaciśnięte wargi i była trupio blada. Twarz kapryśnej Lorraine tymczasem - o dziwo! - nie wyrażała nic.

Petersen potrząsnął głową.

- No, no, całkiem nieźle. Major Cipriano dopiero co stwierdził, że ma do czynienia z fachowcem, ale...
- To był major Cipriano? - przerwał George.

- Podobno.
- Szybki zawodnik. Nie wygląda na majora Cipriano.
- Ani też nie brzmi jak major Cipriano, co? Chciałem właśnie powiedzieć, George, że jako fachowiec powinienem był wystawić straż, czujki. Mea culpa. Zdawało mi się, że nic nam tu nie grozi.
- Nie grozi! - prychnęła z najwyższą pogardą Sarina.
- No cóż, nic się nie stało. Miejmy nadzieję...
- Nic się nie stało!

Petersen rozłożył ręce.

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ty i Lorraine chciałyście mnie kiedyś zobaczyć w... nazwijmy to niekorzystnej sytuacji. No to właśnie oglądacie. Jak wam się podobam? - Nie odpowiedziały.
- Dwie kwestie. Dziwię się, że ciebie, Alex, też chwycili. Ty przecież słyszysz spadający włos. - Przystawili Sarinie spluwę do głowy.
- Aha. No a gdzie jest nasz oddany przyjaciel Josip?
- Twój oddany przyjaciel Josip, twój. Otóż twój oddany przyjaciel Josip na pewno pomaga Cipriano i jego ludziom znaleźć to, co ich tu sprowadza - odparła lodowato Sarina.
- Mój Boże, jak marną opinię masz o moim przyjacielu! I jak szybko ją sobie wyrobiłaś!
- Kto zdradził, gdzie jesteśmy? Kto ich wpuścił do środka? Kto im dał zapasowe klucze do naszych pokojów? No kto?
- Któregoś dnia ktoś ci zdrowo złoł skórę, mała - zaczął łagodnie Petersen. - Umiesz być zjadliwa i o wiele za szybko ferujesz wyroki. Gdyby temu żołnierzowi, który przystawił ci lufę do głowy, trzeba było choćby tylko sekundy, żeby nacisnąć spust, już leżałby martwy. Ty zapewne też. Lecz Alex nie chciał, byś zginęła. Nikt ich nie wpuścił, bo Josip nigdy nie zamyka drzwi wejściowych na klucz. Skoro znaleźli się wewnątrz, zorganizowanie kluczy nie stanowiło problemu. Nie wiem, kto dał im cynk, ale się dowiem. Równie dobrze mogłaś to być ty, Sarino.
- Ja?! - Patrzyła na niego najpierw oszołomiona, później wściekła.
- Nikogo nie wykluczam z kręgu podejrzanych. Nieraz mówiłaś, że ci nie ufam. Skoro tak, musiałaś mieć powody, by sądzić, że mam co do ciebie zastrzeżenia, prawda? Co to za powody?
- Chyba zwariowałeś! - Nie była już wściekła, tylko niebotycznie zdumiona.

- Zbladłaś nagle. Dlaczego tak zbladłaś?
- Zostaw ją w spokoju! - Michael krzyknął ze złością. - Nic nie zrobiła! Zostaw ją w spokoju! Sarina przestępcą?! Zdrajczynią?! Ma rację mówiąc, że zwariowałeś! Przestań ją dręczyć! Myślisz, że kim, do cholery, jesteś, co?!
- Oficerem, który nie zawaha się pouczyć dopiero co zwerbowanego żołnierza - a może raczej żołnierzyka? - na czym polega wojskowa dyscyplina. Co prawda nareszcie widzę u ciebie jakiś nikły ślad temperamentu, ale obawiam się, że niewłaściwy to czas i niewłaściwe miejsce. A teraz ciesz się; ty jesteś poza podejrzeniami.
- Mam się z tego cieszyć, kiedy podejrzewa się moją siostrę?!
- To się nie ciesz. Rób co chcesz.
- Słuchaj, Petersen...
- Petersen? Jaki Petersen? Dla takiego żołnierzyka jak ty "major Petersen", albo "sir", rozumiano? - Michael nie odezwał się. - No. Nie podejrzewam ciebie, bo kiedy już nadałeś depeszę do Rzymu, zająłem się twoim radiem tak, że jest chwilowo nieczynne. Mogłeś niby skorzystać ze sprzętu Sariny, ale po tym, jak przyłapano cię ubiegłej nocy, nie miałbyś odwagi. Wiem, że nie jesteś za bystry, ale wnioski są oczywiste. Alex, mam do ciebie słówko...

Kiedy brat i siostra patrzyli na siebie z mieszaniną lęku, niezrozumienia i konsternacji, Alex zbliżył się do Petersena i słuchał jego poleceń.

- Nie! - zabrzmiał ostro głos młodego włoskiego oficera.
- Co nie? - Petersen spojrzał na niego z cierpliwym wyrazem twarzy.
- Nie rozmawiać!
- A to dlaczego? - Dopiero co rozmawiałem z tym młodym człowiekiem i jego siostrą.
- Tamtą rozmowę rozumiałem. Nie znam serbsko-chorwackiego.
- Twoje braki w wykształceniu zupełnie mnie nie interesują. Ażeby wykazać całą głębię twojej ignorancji dodam, że to nie serbsko-chorwacki, ale pewien słoweński dialekt, który w tym gronie rozumieją tylko trzy osoby: ją, ten żołnierz tutaj i tamten gruby dżentelmen z kuflem piwa w ręku. Sądziś może, że układamy jakiś samobójczy plan ataku na was? Trzech nie uzbrojonych mężczyzn przeciw czterem peemkom i rewolwerom? Nie możesz chyba być aż tak stuknięty, aby posądzać nas o coś takiego? Jaki masz stopień?
- Jestem porucznikiem. - Był bardzo sztywnym, absolutnie nienagannym i bardzo młodym porucznikiem.
- Porucznicy nie mogą rozkazywać majorom.

- Pan jest moim jeńcem, panie majorze.

- Nic mi o tym jeszcze nie wiadomo. A nawet gdybym był jeńcem - choć prawnie nim nie jestem - byłbym jeńcem majora Cipriano. On zaś uważałby mnie za kogoś tak ważnego, że nie życzyłby sobie byście mi się tu naprzykrzali, ani żeby mi choć jeden włos spadł z głowy. Nie facyguj się więc i nie zerkaj na swoich ludzi. Jeśli któryś z nich tu podejrze, żeby nam przeszkadzać w rozmowie, albo nas rozdzielić, zabiorę mu pistolet i roztrzaskam na jego własnej głowie. Wtedy możesz mnie zastrzelić. Czekać cię będzie sąd polowy, wyrok i wreszcie - na mocy Konwencji Genewskich - pluton egzekucyjny. Ale po co ja ci o tym mówię? Znasz się na tym równie dobrze jak ja. - Petersen miał głęboką nadzieję, że chłopak zupełnie się na tym nie zna, bo on sam nie miał zielonego pojęcia, o czym mówi. Młodzieniec najwyraźniej także, bo już nie napierał, by przestali rozmawiać.

Petersen w minutę powiedział Alexowi co chciał, przeszedł za bar, wyjął butelkę wina, kieliszek i usiadł za stołem koło George'a; młody porucznik nie mrugnął nawet okiem, rozważając prawdopodobnie, z ilu ludzi składa się pluton egzekucyjny. Kiedy Cipriano i trzech żołnierze wrócili do jadalni w towarzystwie Josipa oraz jego żony Mariji, Petersen i George wciąż jeszcze prowadzili cichą i najwidoczniej bardzo poważną rozmowę. Cipriano zdążył gdzieś stracić swój buńczuczny i pewny siebie sposób bycia. Mało tego; niby ciągle się uśmiechał - taką już miał widać naturę - lecz uśmiech był zdecydowanie mniej radosny, tak że w gruncie rzeczy major wyglądał dość markotnie.

- Cieszę się, że miło spędzacie czas, panowie...

- Właściwie mamy wszelkie prawo mieć panu za złe przerwany sen. - Petersen nalał sobie kieliszek wina. - Łatwo jednak wybaczymy, nic też nie gryzie naszego sumienia, zatem miło i beztrudnie spędzamy czas. Wypije pan z nami kieliszeczek? Z pewnością z pewnością wtedy wypadną pańskie przeprosiny.

- Nie, nie, dziękuję, ale istotnie muszę państwa przeprosić. Przed chwilą wykonałem telefon...

- Do wszechwiedzących szefów kwatery głównej waszego wywiadu, zgadłem

- Tak. Skąd pan wie?

- A skąd jeszcze miałyby wychodzić fałszywe informacje? Jak pan wie i my robimy w tym interesie. Ciągłe się nam to przytrafia.

- Jest mi naprawdę niezmiernie przykro, że naraziłem państwa na niewygodę z powodu głupiego, fałszywego alarmu.

- Jakiego fałszywego alarmu?

- W naszej centrali w Rzymie zginęły pewne dokumenty. Jakiś pomyłony geniusz z wydziału generała Granelliego - nie wiem jeszcze kto to taki, ale się dowiem nim minie dzień - wymyślił, że wpadły, jak to się mówi, w pana ręce. W pana lub w ręce kogoś z pańskiej grupy. To są niezwykle ważne dokumenty, ściśle tajne.

- Wszystkie zagubione dokumenty są ściśle tajne. Ja też mam z sobą jakieś papiery, ale zapewniam

pana, że nie są kradzione, no i nie wiem, na ile są ważne i jak tajne.

- Wiem, co pan ma, majorze. - Cipriano machnął lekceważąco ręką i uśmiechnął się szeroko. - Jak się pan zresztą domyśla. Tamte, o wiele ważniejsze, nigdy nie opuściły sejfu w Rzymie. Niedbalstwo bardzo odpowiedzialnego urzędnika za bardzo odpowiedzialne katalogowanie ściśle tajnych dokumentów i tyle.

- Czy mogę zapytać, czego te papiery dotyczą?

- Może pan. I to już cała moja odpowiedź. Nie wiem, a gdybym nawet wiedział, nie mógłbym pana o tym informować. Życzę spokojnej nocy. W każdym razie tego, co z niej zostało. Jeszcze raz przepraszam. Do widzenia, majorze Petersen.

- Do widzenia. - Petersen uściśnął wyciągniętą dłoń. - Ukłony dla pułkownika Lunza.

- Przekażę. - Cipriano zmarszczył czoło. - Chociaż nie znam go zbyt dobrze.

- W takim razie pozdrowienia dla Alessandra.

- Nie poprzestanę na pozdrowieniach, majorze. - Odwrócił się do Josipa i ujął jego dłoń: - Wielkie dzięki, signor Pijade. Wiele pan dla nas zrobił. Nie zapomnimy tego.

Oczywiście najszybciej doszła do siebie Sarina i to ona przerwała milczenie, jakie zapadło po wyjściu Cipriano i jego ludzi.

- "Wielkie dzięki, signor Pijade. Wiele pan dla nas zrobił, signor Pijade: Nie zapomnimy tego; signor Pijade".

Josip spojrzał na nią zakłopotany; później zwrócił się do Petersena:

- Czy ta młoda dama mówi do mnie?

- Myślę, że do wszystkich zebranych.

- Nie rozumiem...

- Moim zdaniem ona też nie. Ta młoda dama, jak ją nazywasz, wierzy w coś absurdalnego, mianowicie w to, że zawiadomiłeś majora Cipriano - telefonicznie, tak sądzi, - o naszej tu bytności. No, a później całą tę wycieczkę oprowadzałeś po hotelu, w odpowiednich momentach wręczając klucze. - Naturalnie, młoda dama może tym sposobem pragnąć odwrócić naszą uwagę od siebie, gdy tymczasem to ona sama jest wszystkiemu winna.

Sarina chciała coś powiedzieć, ale rozwścieczona Marija nie dała jej żadnej szansy - trzy susy i już stała przy nagle zaleknionej dziewczynie. Do białości zaciśnięte pięści i sztywno opuszczone wzdłuż boków ramiona aż nadto wymownie świadczyły o furii, jaka ją ogarnęła. Miała dziki wzrok i nie przestawała zaciskać zębów nawet wtedy, gdy zaczęła mówić.

- Masz taką ładną buźkę, kochana - syknęła; trudno nie syczeć, mając zwarte szczęki - taką delikatną skórę. A ja mam dłuuuugie paznokcie... Czy ci rozdrapać tę buzię za to, żeś obraziła honor mojego męża? A może wystarczy, jak ci dam kilka razy w twarz? Ale za to mocno, co? Wystarczy takiej jak ty? - Jeśli idzie o niemal plastyczne wyrażanie pogardy, Marija Pijade nie musiała się już niczego uczyć.

Sarina nie odpowiedziała. Lęk ustąpił miejsca szokowi, który teraz malował się na jej twarzy.

- Jakiś żołnierz przystawił mi pistolet do głowy - mówiła dalej Marija. - Nie major, nie, z niego kulturalny mężczyzna, zresztą nie było go tam wtedy. No więc przystawił mi ten rewolwer o tak. - Dramatycznie wyrzuciła w górę prawe ramię i wcisnęła palec wskazujący w kark. - Nie przystawił! Skąd! Wbił! Mocno wbił! "Masz trzy sekundy - mówi do męża, na znalezienie zapasowych kluczy". Jestem pewna, żeby nie strzelił, ale Josip od razu zrobił to, co tamten chciał. Czy można go za to winić?

Powoli, wciąż oniemiała, Sarina pokręciła głową.

- I wciąż uważasz, że Josip was zdradził?

- Nie... Nie wiem, co o tym sądzić, ale już tak nie myślę. Po prostu nie wiem, co myśleć. Wybacz, Marija, bardzo mi przykro. - Uśmiechnęła się blado. - Mnie też straszili pistoletem, wcisnęli lufę w ucho. Może to przeszkadza jasno myśleć...

Zimna wściekłość na twarzy Mariji ustąpiła miejsca najpierw wahaniu, a wahanie z kolei przeobraziło się w z troskanie. Kobieta wiedzona impulsem zrobiła krok naprzód, objęła Sarinę i pogładziła ją po włosach.

- Chyba nikt z nas nie myśli jasno... George! - krzyknęła nad ramieniem dziewczyny. - George! O czym ty myślisz?

- O śliwownicy - padła zdecydowana odpowiedź. - Uniwersalny lek na wszystko. Gdybyś przeczytała nalepkę z butelki pellegrino...

- George!

- Już się robi.

Josip tarł siwą, nie ogoloną brodę.

- Jeśli to nie ja i nie Sarina, to znaczy nie wiem kto. Kto dał im znać...? Masz jakieś podejrzenia, Peter? - spytał.

- Nie. I nie trzeba mi żadnych podejrzeń. Ja wiem.

- Ach, - wiesz... - Josip odwrócił się do baru, wziął butelkę śliwownicy z tacy, którą przygotowywał George, nalał sobie nieduży kieliszek, osuszył go dwoma łykami, a kiedy przestał już kaszleć i prychać, zapytał: - Kto?

- Nie jestem przygotowany, żeby teraz o tym mówić. Nie dlatego, że chcę wzbudzić niepokój, wzmóc napięcie, dać winowajcy czas, żeby się sam powiesił - a może "powiesiła"? - broń Boże, nic z tych rzeczy. Po prostu nie mogę tego udowodnić. Jeszcze nie. Nawet nie wiem, czy chcę coś udowadniać. Być może osobą, o której myślę, ktoś się posłużył, może zrobiła to niechcący, może przez przypadek, przez roztargnienie, a nawet z najszlachetniejszych pobudek. Najszlachetniejszych, oczywiście, według danej osoby. W przeciwieństwie do Sariny, nie jestem skłonny do przedwczesnych osądów.

- Peter! - W głosie Mariji zabrzmiało ostrzeżenie, niemal rozkaz; wciąż obejmowała ramieniem Sarinę.

- Przepraszam, Marija. Przepraszam, Sarino. Wyłazi moja wrodzona podłość. A tak w ogóle, moi drodzy, jeśli chcecie kłaść się spać, to kładźcie się, rzecz jasna. Ale już bez pośpiechu - zmiana planów. Wyjeżdżamy dopiero koło dziesiątej, jedenastej, na pewno nie wcześniej. Giacomo, chciałbym z tobą w spokoju zamienić kilka słów.

- Mam jakiś wybór?

- Naturalnie. Zawsze możesz powiedzieć nie.

Giacomo uśmiechnął się - jak to on - szeroko, wstał i włożył rękę do kieszeni.

- Josip, chciałbym kupić butelkę tego wybornego, czerwonego wina.

- W moim hotelu przyjaciele Petera Petersena nie płacą za nic. - Josip był lekko urażony.

- A może ja nie jestem jego przyjacielem? To znaczy, może on nie jest moim? - Wyglądało na to, że myśl ta wydała mu się strasznie zabawna. - Tak czy owak, dziękuję. - Wziął z baru butelkę, dwa kieliszki i skierował się do odległego stolika. Napełnił kieliszki i rzekł z uznaniem:

- Ta Marija... Niczego sobie. Niezupełnie baba-herod, ale też i nie mimoza. Dość szybko zmienia zdanie...

- Kapryśna, chcesz powiedzieć?

- O właśnie. Zdaje się, że chyba nieźle cię zna, co? Od dawna?

- Dwa razy tak - odparł Petersen nieco mniej oschle. Dobrze mnie zna, zna mnie od dwudziestu sześciu lat, trzech miesięcy i kilku dni. Od dnia, kiedy się urodziła. Marija jest moją kuzynką. Bo co?

- Nic, ciekawość. Zaczynałem się już zastanawiać, czy znasz wszystkich w tej dolinie. No, do dzieła, inkwizytorze. Tak przy okazji chciałbym dodać, że czuję się zaszczycony numerem, którym mnie opatrzyłeś na swojej liście podejrzanych. Numer jeden! A może jestem już głównym winowajcą?

- Ani jedno, ani drugie, Giacomo. Nie pasujesz do roli. Gdybyś chciał, załóżmy, pozbyć się George'a, Alexa czy mnie albo też gdyby interesowało cię na przykład coś, co twoim zdaniem znajdowałyby

się w naszym posiadaniu, wygarnąłbyś z dużego kalibru. Ani ukradkowe telefony, ani donoszenie za naszymi plecami nie leży w twoim charakterze. Przebiegłe gierki to nie w twoim, stylu.

- Hm, dziękuję. Chociaż czuję się zawiedziony. Rozumiem, że chcesz mi zadać jakieś pytania.

- Jeśli pozwolisz...

- Oczywiście, jeśli dotyczą mnie osobiście. No to wal! Nie, zaczekaj. Sam opowiem ci swój życiorys. Mam za sobą nieskazitelną przeszłość. Moje życie jest jak otwarta księga. Masz rację, urodziłem się w Czarnogórze. Na imię dano mi Vladimir. Wolę Giacomo. W Anglii nazywali mnie "Johnny". Ale i tak wolę Giacomo.

- Mieszkałeś w Anglii?

- Jestem Anglikiem. To pewnie brzmi skomplikowanie, ale jest bardzo proste. Przed wojną pływałem jako drugi oficer we flocie handlowej. Jugosłowiańskiej, ma się rozumieć. W Southampton spotkałem piękną Kanadyjkę, więc zszedłem ze statku - powiedział to tak, jakby mówił o rzeczy najnormalniejszej pod słońcem i Petersen bez trudu uwierzył, że dla Giacomo było to rzeczywiście całkiem naturalne.

- Z początku miałem kłopoty z pozostaniem w Anglii, ale znalazłem wspaniałego i wyrozumiałego szefa, który pracował jako nurek na kontrakcie rządowym. Brakowało mu do ekipy jeszcze jednego z doświadczeniem. Licencję, nurka zdobyłem, zanim jeszcze wstąpiłem na statek. Z czasem ożeniłem się...

- Z tą samą dziewczyną?

- Z tą samą dziewczyną. Naturalizowałem się w sierpniu 1939 roku i zgłosiłem do służby z wybuchem wojny, we wrześniu. Ponieważ miałem za sobą kurs kapitanów żeglugi wielkiej, byłem doświadczonym nurkiem i mogłem przydać się przy zakładaniu magnetycznych min pod okrętami wojennymi w nieprzyjacielskich portach, zatem w marynarce było moje miejsce. I co? I wsadzili mnie oczywiście do piechoty. Pojechałem do Europy, wróciłem przez Dunkierkę, trafiłem na Środkowy Wschód.

- Taak... Dotarłeś aż tutaj. A urlop?

- Nie brałem urlopu. - Nie widziałeś więc żony od dwóch lat. Dzieci?

- Dziewczynki, bliźniaczki. Jedna urodziła się martwa. Druga zmarła mając sześć miesięcy. Polio - rzekł normalnym, konwersacyjnym tonem. - Wczesnym latem 1941 roku w czasie nalotu Luftwaffe na Portsmouth zginęła moja żona.

Petersen pokiwał głową. Milczał. Bo i co tu mówić? Można się było tylko zastanawiać, skąd taki człowiek jak Giacomo ma w sobie tyle ciepła i uśmiechu. Ale Giacomo już opowiadał dalej.

- Byłem w Ósmej Armii, w Pustynnym Oddziale Dalekiego Zwiadu. Wtem jakiś geniusz odkrył wreszcie, że tak naprawdę to jestem marynarzem, a nie żołnierzem i tak znalazłem się w Specjalnej

Służbie Morskiej na Morzu Egejskim. - Petersen wiedział, że i do Pustynnego Oddziału Dalekiego Zwiadu, i do Specjalnej Służby Morskiej zaciągali się tylko ochotnicy, nie było sensu pytać Giacomo, dlaczego tam się zgłosił.

- A później ten sam geniusz odkrył, że urodziłem się i wychowałem w Jugosławii, więc wezwano mnie do Kairu, żebym odstawił Lorraine na miejsce przeznaczenia.

- A dalej? Kiedy już ją odstawisz?

- Kiedy ty ją odstawisz, chciałeś powiedzieć. Moja rola się skończyła. Od tej chwili już nic nie robię, tylko rozsiadam się wygodnie i jadę z tobą na wycieczkę. Oni myśleli, że znaleźli dziewczynie najlepszego opiekuna pod słońcem, ale skąd niby mieli wiedzieć, że spotkamy ciebie?

- Giacomo dolał wina, oparł się o krzesło i uśmiechnął szeroko. - W całej Bośni nie mam ani jednej kuzynki, majorze...

- Jeśli to nasze szczęście, to mam nadzieję, że nas nie opuści. Wróćmy do mojego pytania, Giacomo...

- Oczywiście, co dalej... Wiesz, najchętniej wróciłbym już zaraz, z absolutnie spokojnym sumieniem, ale muszę wziąć coś w rodzaju pokwitowania od tego Mihajlovicia. Sądzę, że chcą, bym znów zaczął nurkować. Nietrudno się domyślić dlaczego, to z pewnością robota tego samego geniusza, który odkrył, że jestem marynarzem. Jak to ujął Michael...? Wtedy, na tym górskim przystanku... Dziwny ten nasz świat... Ponad trzy lata tłukłem Niemców i już za kilka tygodni znów będę ich tłukł. Ale to interludium, kiedy to, można rzec, przeszedłem na drugą stronę i biję się razem z Niemcami - choć nie spodziewam się zobaczyć w Jugosławii nawet pół Niemca - nie podoba mi się w najmniejszym stopniu.

- Słyszałeś, co George mówił Michaelowi? Nie ma sensu tego powtarzać. To bardzo krótkie interludium, Giacomo. Kończąc zadanie, rozstając się z Lorraine, uronisz łzę na do widzenia, spróbujesz przez chwilę się nie uśmiechać, a później hajda na Morze Egejskie!

- Nie uśmiechać się...? - Przyglądał się zawartości kieliszka.

- Cóż, może... Tak i nie. Jeśli to jest nasz dziwny świat, to ona jest dziwną dziewczyną w tej naszej przedziwnej wojnie. Zmienna jak twoja kuzynka i z temperamentem. Młoda dama o arystokratycznej aparycji, ale z ubolewaniem stwierdzam, że brak jej patrycjuszowsko zimnej krwi. Chłodna, wyniosła, momentami wręcz nieprzystępna, za chwilę umie być przyjacielska, a nawet serdeczna.

- Ta serdeczność jakoś na razie uszła mojej uwagi.

- Mnie za to nie umknął pewien brak porozumienia między wami. Ona umie być urzekająca nawet w gniewie, a to już coś. Bardzo nieangielska, chociaż, jak zapewne już wiesz, jest Angielką. Zdaje się, że w ogóle dużo o niej wiesz, co?

- Wiem, że jest Angielką, bo George mi powiedział. Powiedział też, że ty pochodzisz z Czarnogóry.

- Ach tak, nasz profesor lingwista...

- Wyjątkowy lingwista z wyjątkowym uchem. Umiałby chyba podać twój domowy adres.
- Lorraine twierdzi, że znasz tego kapitana Harrisona, dla którego ona będzie pracować.
- Fakt, nieźle go znam.
- Ona też. Już kiedyś dla niego pracowała. W Rzymie, przed wojną. Kierował włoską filią angielskiego przedsiębiorstwa wytwarzającego łożyska toczne. Była jego sekretarką. Tam nauczyła się włoskiego. Zdaje się, że ona bardzo lubi tego gościa.
- Zdaje się, że w ogóle bardzo lubi mężczyzn. Kropka. Nie wpadłeś chyba jeszcze w jej sidła, co Giacomo?
- Nie. - Znow uśmiechnął się szeroko. Ale ciągle muszę nad tym pracować.
- No cóż, dzięki. Teraz cię przeproszę. - Petersen wstał i podszedł do Sariny. - Chciałbym zamienić z tobą kilka słów. Na osobności. Brzmi to złowieszczo, ale bądź spokojna.
- Zamienić kilka słów? O czym?
- A to już głupie pytanie. Skoro chcę rozmawiać w cztery oczy, to znaczy, że nie przy świadkach.

Wstała. Razem z nią Michael, który oznajmił:

- Nie będzie pan z nią rozmawiał beze mnie.

George westchnął, podniósł się niechętnie i zbliżył do Michaela. Oparł mu na ramionach swoje dłonie wielkie jak bochny chleba i posadził na krześle z taką łatwością, jakby sadzał małe dziecko.

- Michael, jesteś tu zaledwie szeregowym żołnierzem. Gdybyś służył w armii amerykańskiej, byłbyś młodszym szeregowcem. Ja zaś jestem starszym sierżantem. Mianowanym czasowo, co prawda, ale mianowanym. Nie wiem, dlaczego pan major miałby sobie tobą zawracać głowę. Nie widzę powodu, dlaczego ja sam miałbym sobie tobą zawracać głowę. Czemu zawracasz nam głowę? Nie jesteś już przecież małym chłopczykiem. Sięgnął za siebie, wziął do ręki kieliszek maraschino i wręczył go Michaelowi. Michael przyjął kieliszek z ponurą miną, ale nie wypił. - Jeśli Sarina zniknie, wszyscy będziemy wiedzieć, kto ją porwał.

Petersen zaprowadził dziewczynę do jej pokoju. Zostawił drzwi otwarte na oścież, rozejrzał się wokoło tak, jakby nie spodziewał się niczego znaleźć i kilkakrotnie pociągnął nosem. Sarina spoglądała na niego chłodno i tak też się odezwała:

- Co chcesz znaleźć? Co tak węszysz? Wszystko co robisz, wszystko co mówisz jest nieprzyjemne, obrzydliwe, nieznośne, poniżające, pomiatające...
- Dajże spokój. Jestem przecież twoim aniołem stróżem! Nie mówi się tak do własnego anioła stróża.
- Anioł stróż! Kłamca! Znow nakłamałeś tam, w jadalni. Nadal myślisz, że to ja nadałam wiadomość

przez radio?

- Nie myślałem tak i nie myślę. Jesteś o wiele za dobra na to, żeby zrobić coś tak podstępnego. - Patrzyła na niego wciąż mając się na baczności. Niemal zaszokowana, kiedy lekko oparł ręce na jej ramionach, nie usiłowała się jednak cofnąć. - Jesteś bystra i inteligentna, w przeciwieństwie do swego braciszka. Nie, nie, to nie jego wina. Bez wątpienia umiesz, czy umiałabyś, dobrze oszukiwać, bo twarz cię nie zdradza. Jest tylko jedno małe "ale", jesteś na to zbyt kryształowo uczciwa.

- To nieco wątpliwy komplement - stwierdziła.

- Wątpliwy czy nie, taka jest prawda. Opadł na kolana, macał chwilę ręką pod progiem nie najlepiej dopasowanych drzwi, wstał, wyjął klucz z zamka i obejrzał go. - Zamykałaś się na klucz tej nocy?

- Oczywiście.

- Co zrobiłaś z kluczem?

- Zostawiłam w zamku. Na wpół przekręcony. W ten sposób ktoś, kto ma klucz zapasowy czy wytrych, nie może wypchnąć tego z zamka na papier wsunięty pod drzwi. Uczyli nas tego w Kairze.

- Daj spokój. Miałaś pewnie jakiegoś dziesięciolatka za instruktora, Widzisz dwa maleńkie, błyszczące ślady z obu stron trzonu klucza?

- Skinęła głową. - Powstają przy użyciu narzędzia bardzo cenionego przez lepszych włamywaczy, którzy są zbyt subtelni na to, żeby rozwalać drzwi kowalskim młotem. Wąziutkie szczypce o końcówkach z węglika krzemu lub z nierdzewnej stali tytanowej. Przekręcą w zamku każdy klucz. Miałaś w nocy gości.

- Ktoś wyniósł moje radio?

- Ktoś na pewno z niego korzystał. Niewykluczone, że tutaj, na miejscu.

- Niemożliwe. Oczywiście, że położyłam się zmęczona, ale nie sypiam twardo.

- A może właśnie dzisiaj tak spałaś? Jak się czułaś, kiedy się zbudziłaś nad ranem? To znaczy kiedy cię zbudzili.

- Bo ja wiem... - zawahała się. - Chyba trochę kręciło mi się w głowie, ale sądziłam, że to z przemęczenia, z braku snu albo ze strachu. Nie należę do tych, którzy boją się własnego cienia, ale taka znów bohaterska też nie jestem; po raz pierwszy w życiu ktoś trzymał mnie na muszce. A może to po prostu żołądek nie przyzwyczajony do tutejszej kuchni?

- Innymi słowy czułaś się jakby... lekko odurzona?

- Tak.

- Pewnie byłaś. Nie sądzę, żeby ktoś zakradł się na palcach do pokoju i przystawił ci do nosa chusteczkę z chloroformem, czy z czymś w tym duchu; zapach godzinami wisi wtedy w powietrzu, nie. Dziurką od klucza wstrzyknęli ci jakiś gaz z pojemnika zakończonego odpowiednią nasadką. Coś takiego można kupić w tych sklepach, wiesz, tych w rodzaju "Chemic-Kawalarz" tam, gdzie taki Alessandro kupuje swoje zabawki. Tak czy owak, mogę ci obiecać, że nikt ci już tej nocy nie będzie przeszkadzać. Odpoczywaj sobie spokojnie i wiedz, że nie jesteś na niczyjej czarnej liście, że nikt cię nie osądza, nie wydaje wyroku, ba! nawet nie podejrzewa. No, mogłabyś przynajmniej zdobyć się na wysiłek i przyznać, że nie jestem aż takim potworem, jak sobie wyobrażałaś.

Uśmiechnęła się blado.

- Może rzeczywiście nie jesteś potworem - odpowiedziała.

- To co, idziesz teraz spać?

Skinęła głową, więc wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Minęła niemal godzina nim Petersen, George i Josip zostali sami w jadalni. Jakoś nikomu nie śpieszyło się na górę. Nocne wydarzenia nie sprzyjały rychłemu wznowieniu drzemki, poza tym dobrze im było ze świadomością, że nie muszą się już zrywać tak wcześnie.

George, który wrócił do czerwonego wina i czynił znaczne spustoszenia wśród niezliczonych butelek, wyglądał i mówił tak, jakby cały czas popijał wodę mineralną. Niestety, trudno było nie zauważyć, że palił również cygara, upiornie cuchnąca mgiełka snuła się błękitnawo pod sufitem.

- Twój znajomy, major Cipriano, szybko się stąd zabrał - zaczął Josip.

- Żaden znajomy, nigdy przedtem go nie widziałem - odparł Petersen. - Pozory mylą, ale wygląda na całkiem rozsądnego faceta. Jak na agenta wywiadu, naturalnie. A ty, Josip, od dawna go znasz?

- Był tu dwa razy. Jako bona fide podróżny. Nie jesteśmy zaprzyjaźnieni. Dziękował mi za pomoc tylko dlatego, żeby odwrócić podejrzenia od osoby, która go tu ściągnęła. Kiepski manewr. Musiał wiedzieć, że nie wypali, ale zapewne nic lepszego nie przychodziło mu akurat do głowy. Czego on szukał?

- Tu nie ma żadnej zagadki - rzekł Petersen. - Ani Niemcy, ani Włosi mi nie dowierzają. Wiozę rozkazy dla przywódcy czetników. Na kutrze, który nas przerzucał z Włoch, jeden z ludzi Cipriano, obrzydliwy facet imieniem Alessandro, usiłował mi je odebrać. Chciał sprawdzić, czy zgadzają się z tymi, jakie miał na kopii od Cipriano. Nie udało się, więc pan major zaniepokoił się i przyjechał do Ploce. Ktoś mu doniósł, gdzie jesteśmy, ściągnął zatem tutaj. Zabrał się na pewno jakimś samolotem i kiedy siedzieliśmy tu jak stado baranów, przeszukał nasze bagaże. Kopertę z rozkazami otworzył nad parą, stwierdził, że zawiera co ma zawierać, po czym ją zakleił. I tu następuje - teatralnie rzecz ujmując - wyjście Cipriano zdumionego, lecz zadowolonego. Przynajmniej na razie.

- Co, z Sariną? - zapytał George.

- Ktoś wszedł do jej pokoju tuż po północy. Najpierw chyba biedaczkę uśpił jakimś świństwem i przez jej radio wezwał Cipriano. Sarina twierdzi, że już mi ufa, ale jej nie wierzę.
- Ciągle to samo - skostatował George grobowym głosem.
- Wszyscy, kobiety i mężczyźni zawsze przeciwko nam.
- Uśpił jakimś świństwem! - Josip najwyraźniej nie dowierzał.
- W moim hotelu?! Jak to się mogło zdarzyć w moim hotelu?!
- A jak to się w ogóle może zdarzyć gdziekolwiek indziej?
- I kto to zrobił?
- Zrobiła. Lorraine. - Lorraine?! Ta piękna dziewczyna?!
- Może jej dusza nie jest równie piękna jak cała reszta.
- Najpierw Sarina, teraz Lorraine... - George ze smutkiem potrząsnął głową. - Upiorny oddział kobiecy...
- Jak na to wpadłeś? - spytał Josip.
- Prosta arytmetyka. Eliminacja. Lorraine wychodziła wieczorem na spacer i bardzo szybko wróciła. Nie wychodziła po to, żeby się przejść, nie. Wychodziła po coś innego po informację. Byłeś z nią, Josip. Pamiętasz, żeby robiła, czy mówiła coś dziwnego?
- Ona wcale nic nie robiła. Szła. I mówiła mało.
- Tym łatwiej mogłeś wszystko zapamiętać, prawda?
- Mówiła, że to dziwne, że nie ma nazwy hotelu na zewnątrz. Powiedziałem jej, że jakoś się jeszcze do tego nie zabrałem, ale hotel nazywa się hotel Eden. Mówiła też, że to śmieszne, żeby nigdzie nie było wywieszek z nazwami ulic, więc powiedziałem jej nazwę ulicy. Ha! W ten sposób poznała i nazwę hotelu, i adres, tak?
- Ano tak. - Petersen wstał. Do łóżka! Chyba nie spędzisz tu reszty nocy, George?
- Oczywiście, że nie. - George wyciągnął butelkę zza kontuaru. Ale my, akademicy, musimy mieć kilka spokojnych chwil na medytacje...

W południe Petersen i jego współpodróżni wciąż jeszcze znajdowali się w hotelu Eden. Zasiadali właśnie do obiadu, bez którego Josip nie chciał ich wypuścić. Jak się miało okazać, obiad

mógł spokojnie stawać w szranki z powitalną kolacją. Jedno miejsce przy stole było jednak wolne.

- A gdzie jest profesor? - zapytał Josip.

- W łóżku. George jest dziś niedysponowany. Cierpi na ostre bóle żołądka. Przypuszcza, że zaszkodziło mu coś, co zjadł na kolację - wyjaśnił Petersen.

- Zaszkodziło mu coś z kolacji?! - oburzył się Josip. - Jadł dokładnie to, co wszyscy, rzecz jasna w dużo większych ilościach, a wszyscy inni są zdrowi. Zaszkodziła mu moja kolacja? Rzeczywiście! Ja wiem, co dokucza profesorowi. Kiedy dziś rano zszedłem na dół, w jakieś dwie godziny po tym, jak poszliście spać, profesor wciąż tu jeszcze siedział i, jak to nazwał, medytował.

- To wiele tłumaczy...

Faktycznie, tłumaczyło wiele, lecz nie wyjaśniało wyglądu George'a, gdy zjawił się na dole w jakieś dziesięć minut po rozpoczęciu obiadu. Usiłował uśmiechnąć się blado, ale nie sprawiał wrażenia szczególnie wymizerowanego.

- Przepraszam za spóźnienie. Major zapewne wam mówił, że źle się czuję, ale skurcze ustąpiły, więc pomyślałem sobie, że można by coś niecoś przekąsić i uspokoić żołądek, sami rozumiecie...

Do godziny pierwszej żołądek George'a uspokoił się widać zupełnie. W ciągu pięćdziesięciu minut, jakie upłynęły od chwili, gdy usiadł za stołem, zdążył zjeść dwa razy tyle co inni i bez żadnego wysiłku opróżnić dwie butelki wina.

- Należą ci się gratulacje, George - odezwał się Giacomo. - Dopiero co na łożu śmierci, a teraz ho! ho! Co za niezwykły popis!

- Nie ma o czym mówić - zaprotestował skromnie George. - W wielu dziedzinach jestem niezwykłym człowiekiem.

Petersen usiadł na łóżku w pokoju George'a.

- No i..?

- No i nieźle. Poza jedną sprawą odparł George. - Natknąłem się na dwie rzeczy, których nigdy bym się nie spodziewał znaleźć w bagażu tak arystokratycznej damy: na maleńką skórzaną walizeczkę z kilkoma bardzo wyszukanymi narzędziami do otwierania zamkniętych drzwi oraz na niewielkie metalowe pudełko z saszetkami zawierającymi jakiś płyn. Po naciśnięciu ten płyn zmienia się w gaz. Powąchałem odrobinę. To na pewno jakiś środek odurzający, czy usypiający. Interesujące jest to, że owo pudełeczko, choć mniejsze niż pojemnik Alessandra, jest zrobione z tego samego materiału i tak samo wyściełane wewnątrz. Co zrobimy z naszą młodą czarownicą?

- Zostawimy ją w spokoju. Nie jest niebezpieczna. Gdyby była, nie popełniłaby tak szkolnego błędu.

- Mówiłeś, że wiesz, kto doniósł. Będzie się zastanawiać, dlaczego jej nie demaskujesz.

- Niech się zastanawia. Zobaczymy, co z tym fantem zrobi.

- Ano właśnie - zgodził się George - ano właśnie.

Rozdział VI

Tuż po drugiej, kiedy Petersen wyjeżdżał z Mostaru skradzioną ciężarówką, padał gęsty śnieg i temperatura spadła poniżej zera. Dziewczyny siedziały obok niego milczące i zamknięte w sobie, ale to nie wywierało na Petersenie żadnego wrażenia. Odprężony i pogodny, jechał nieśpiesznie jakby nigdy nic, a gdy nie zatrzymywany minął punkt kontrolny w Potoci, zwolnił jeszcze bardziej. Zwolnił nie dlatego, że zmienił mu się nastrój, tylko ze względu na stan drogi, po której jechali. Droga była wąska, kręta, o spękanej nawierzchni i rozpaczliwie domagała się ekipy remontowej, która od lat już tam nie zaglądała. Co więcej, w pewnym momencie zaczęła piąć się stromo w górę, jako że dolina Neretvy zwężała się gwałtownie po obu stronach rzeki, a sama rzeka opadała coraz niżej i niżej, aż wreszcie wijącą się drogę dzieliła od rwących wód Neretvy urwista, pionowa ściana wysoka na kilkaset stóp. Biorąc pod uwagę zakręty, brak barier ochronnych czy murku zabezpieczającego samochód przed obsunięciem się ze śliskiej nawierzchni w przepaść oraz fakt, że sama rzeka stopniowo rozmywała się w śnieżnej nawałnicy, nie była to trasa podnosząca na duchu kogoś obdarzonego wyobraźnią, bądź nerwowym usposobieniem. Sądząc po zaciśniętych pięściach i przerażeniu malującym się na twarzach dziewczyn, można było z powodzeniem wnosić, że albo mają imaginację, albo są nieco zdenerwowane. Petersen nie usiłował ich uspokajać ani pocieszać. Nie przez gruboskórną obojętność, ale dlatego, że widząc to, co widziały, i tak nie dałyby wiary ani jednemu słowu otuchy.

Ich ulga była prawie namacalna, kiedy nagle zjechali z drogi w wąski wąwóz, który nieoczekiwanie, a dla Sariny i Lorraine wręcz cudownie, rozwarł się w pionowej ścianie z prawej strony. To, po czym teraz jechali, przestało już być co prawda drogą i zmieniło się w krętą koleinę dającą ledwie minimalną przyczepność dla nieustannie buksujących kół ciężarówki, za to nie dało się stąd żadnym sposobem spaść, bo z obu stron napierały urwiste ściany litej skały. Pięć minut później Petersen zatrzymał samochód, zgasił silnik i zeskoczył na ziemię.

- Dalej nie jedziemy - oświadczył. - W każdym razie nie tym wozem. Zostańcie tutaj. - Przeszedł na tył ciężarówki, rozchylił plandekę, oznajmił to samo siedzącym w środku mężczyznom i zniknął w tumanach śniegu.

W kilka minut był już znów z nimi. Siedział obok kierowcy przedziwnego, odkrytego pojazdu przypominającego niewielką ciężarówkę, z której ścięto dach i tył. Kierowca opatulony w ciepły, wełniany płaszcz koloru khaki mógł być reprezentantem każdej narodowości. Nosił futrzaną czapkę głęboko wciśniętą na czoło, bujną, czarną brodę, wąsy i okulary słoneczne w rogowej oprawie. Jedynym wyraźnie widocznym szczegółem jego twarzy był nos. Ale nos mógł należeć do każdego.

Samochód zatrzymał się i Petersen wysiadł.

- To jest Dominik - powiedział. - Dominik przyjechał, żeby nam trochę pomóc. Jego maszyna ma napęd na cztery koła, więc zawiezie nas trochę dalej niż nasza ciężarówka. Niewiele dalej, wszystkiego może parę kilometrów. Dominik podrzuci obie panie, tobołki i koce najdalej jak się da - zapewniam was, że koce bardzo się tej nocy przydadzą

- i wróci po nas. My tymczasem ruszymy na piechotę.

- Chcesz powiedzieć, że spodziewałeś się spotkać tego Dominika akurat tutaj?! I akurat o tej godzinie?! - zapytała Sarina. - Mniej więcej. Cóż by ze mnie był za przewodnik, gdybym się ciągle mijał z łącznikiem?

- A ciężarówka? - zainteresował się Giacomo. - Chcesz ją tu tak zostawić?

- Dlaczegoż by nie?

- Myślałem, że masz zwyczaj parkować trefne włoskie ciężarówki na dnie Neretvy. Widziałem kilka odpowiednich miejsc, zanim zjechaliśmy z tej paskudnej drogi.

- Nie bądźmy rozrzutni. Poza tym ta ciężarówka może się nam jeszcze przydać. Najistotniejsze to fakt, że major Cipriano wie, że ten samochód jest w naszych rękach.

- Dlaczego miałby wiedzieć?

- Raczej dlaczego miałby nie wiedzieć. Nie przyszło ci do głowy, że jego informator - ten sam, który mu doniósł o naszym pobycie w hotelu Eden - podał mu również wszystkie szczegóły wyprawy zaczynając od zejścia z kutra, na tej ciężarówce kończąc? Zrobił to przez radio, a może tuż przedtem, zanim niby to siłą wyciągnęli go z hotelowego numeru. Nie ważne. Minęliśmy kontrolę w Potoci godzinę temu. Posterunkowemu nie chciało się nawet skłonić nas do zmniejszenia szybkości. Dziwne, prawda? Tak, tyle, że on zdążył już dostać namiary naszego wozu, rozpoznał go od razu i wykonał rozkaz - przepuścić. No, wyciągajmy szybko bagaże. Zrobiło się zimniej niż się spodziewałem.

I rzeczywiście. Zerwał się wiatr z południowego wschodu, wiatr, przed którym chroniła ich dolina Neretvy, i który wciąż się nasilał. Właściwie wichur ten nie powinien być zimny, ale taki już widać miał charakter, że nie lubił trzymać się meteorologicznych norm. Równie dobrze mógł wiać prosto z Syberii. Załadowany bambetlami pojazd, w którym zasiadły obie panie, odjechał w zaskakująco krótkim czasie; bez wątplenia przeciwsłoneczne okulary Dominika musiały być tak naprawdę okularami przeciwsnieżnymi.

Pięciu mężczyzn ruszyło na piechotę, by kwadrans później znaleźć się już w samochodzie. Przejazdzka jeszcze bardziej wyboistą i - ze względu na głębokość śniegu i stromy podjazd - coraz fatalniejszą drogą okazała się być niewiele lepsza i szybsza od marszu na własnych nogach. Gdy samochód zatrzymał się przy końcu szlaku, przed zamkniętym na skobel drewnianym szalasek, który zresztą okazał się garażem pojazdu Dominika, nikt z pasażerów nie żałował, że ta część podróży

dobiegła już kresu. Dziewczyny schowały się przed śniegiem do środka i odkryły, że nie są tam bynajmniej same. Wewnątrz natknęły się na trzech mężczyzn - właściwie chłopców - w czymś, co mgliście przypominało wojskowe mundury, oraz na pięć kuców.

- Gdzie my, do licha, jesteśmy! - zniecierpliwiła się Sarina.

- Na miejscu - odparł Petersen. - Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. No cóż, przed nami jeszcze półtorej godziny spacerowej jazdy i już. To jest góra Prenj, właściwie masyw górski. Neretva opływa go z trzech stron robiąc zakręt w kształcie litery "U", zatem Prenj jest idealnym miejscem do obrony w razie ataku. Na rzece są tylko dwa mosty: jeden na północny zachód od Jablanicy, drugi w Konjik, na północny wschód stąd. Obydwa łatwe do upilnowania i obstawienia. Nie ma naturalnej zapory na południowym wschodzie, ale stamtąd nic nam nie grozi.

- Mówiłeś o spacerowej jeździe. Będziemy cwałować, czy galopować? Nie lubię koni.

- To nie konie, to kuce. Ani jedno, ani drugie, moja droga, w każdym razie nie teraz. Te kucyki nie są takie głupie, żeby tu cwałować czy galopować. Szlak wiedzie cały czas w górę i to ostro w górę.

- Wątpię, żeby mi się ta wspinaczka spodobała...

- Na pewno spodobają ci się cudne widoki.

Pół godziny później Sariny nie cieszyła już ani jazda, ani obiecane widoki. Jazda pod górę, choć nie takim znów nieprawdopodobnie stromym zboczem, była jednak trudna, widoki zaś, mimo że w istocie niezwykle, wywoływały w niej jedynie uczucie z pogranicza hipnotyzującego strachu i obezwładniającego przerażenia. Ścieżka ledwie na dwa metry szeroka, a czasem węższa, wgryzała się w stok tak stromy, że prawie pionowy i wiła się w górę bezkresnymi meandrami ostrych zakrętów. Z każdym stąpieniem kucyka dno zagubionej w otchłani doliny opadało jeszcze głębiej, niknąc chwilami zupełnie w sypiącym śniegu. Na kucach jechały Sarina i Lorraine; pozostała trójka zwierząt niosła na grzbietach wprawnie przytroczone bagaże i koce. Potem Lorraine zsiadła i kurczowo chwyciła się ramienia Giacomo tak, jakby to on był jej ostatnią, słabą zresztą, nadzieją na tym padole łoż.

Petersen szedł obok kucyka Sariny.

- Odnoszę wrażenie, że jazda nie sprawia ci takiej przyjemności, jakiej ci życzyłem - powiedział.

- Przyjemności! - Wzdrygnęła się mimowolnie, ale nie z zimna.

- Tam, w hotelu, mówiłam ci, że nie jestem wielkim tchórzem. Otóż jestem, właśnie, że jestem. Umieram ze strachu. Wciąż sobie powtarzam, że to głupie, okropnie głupie, ale nic nie mogę poradzić.

- Nie jesteś tchórzem. Zawsze tak się czułaś, od dziecka - zauważył trzeźwo Petersen.

- Jak "tak"? Co masz na myśli?

- Lęk wysokości - to mam na myśli. Każdemu może się przytrafić. Kilku bardzo dzielnych ludzi, jedni z najodważniejszych jakich znam, kilku budzących największy postrach żołnierzy nie wejdzie na zwykłą drabinę i nie wsiądzie do samolotu.
- Tak, tak, ze mną zawsze tak było. Więc wiesz o tym...
- Mnie się to nie zdarza, ale zbyt często to oglądałem, by nie wiedzieć. Zawroty głowy, utrata równowagi, trudne do opanowania pragnienie, żeby rzucić się w dół, tak? W twoim przypadku dochodzi jeszcze przekonanie, że kucyk lada moment skoczy w przepaść, zgadza się?

W milczeniu kiwnęła głową. Petersen powstrzymał się od uwagi, że skoro już знаła tę swoją przypadłość i jugosłowiańskie góry, lepiej by było, gdyby została w Kairze. Zamiast tego zaszedł kuca od głowy i wziął w rękę puślisko.

- Te kuce chodzą po górach lepiej niż my. Gdyby nawet ten twój dostał ataku lęku wysokości - a to się im nigdy nie zdarza - ja pierwszy spadnę w dół. Gdybyś to ty miała nieodpartą ochotę skoczyć w przepaść, nic z tego nie wyjdzie, bo na drodze jestem ja, i zdążę cię w porę złapać. Będę szedł raz z tej, raz z tamtej strony, zależnie od zakrętu i w ten sposób dotrzemy na miejsce bez niespodzianek. Nie zamierzam się wygłupiać i mówić ci, żebyś się rozluźniła i uspokoiła. Mogę cię jednak zapewnić, że za kwadrans poczujesz się znacznie lepiej.
- Czy do tego czasu zejdziemy już ze zbocza? - zapytała drżącym głosem.
- Zejdziemy, zejdziemy... - Wiedział, że to nieprawda, ale wiedział też, że za piętnaście minut zrobi się tak ciemno, że nie będzie mogła dojrzeć niczego pod sobą.

Zapadł już gęsty mrok, kiedy przekroczyli granice czegoś w rodzaju stałego obozowiska czy bazy. Składało się ono z dużej liczby szałasów oraz namiotów stojących blisko siebie. Prawie we wszystkich paliło się światło. Światło mdłe i żółte, bo na takiej wysokości trudno o rozbudowaną sieć elektryczną, a jedyny, mały generator zarezerwowany był dla kwater dowództwa. Reszta żołnierzy i nieodłącznych w każdym obozie osób towarzyszących, rozjaśniała mrok lampami naftowymi, łojówkami i koksownikami. Karawana Petersena minęła nie zagospodarowany, łagodny stok długości jakichś trzystu metrów i stanęła pod dużą chatą z metalowym dachem i dwoma oknami, z których biło zaskakująco ostre światło.

- No to już - oznajmił Petersen. - Jesteśmy w domu. W każdym razie można to tak nazwać, dopóki nie znajdziecie lepszego słowa. - Wyciągnął ręce i zsadził drżącą Sarinę z kucyka. Chwyciła się go kurczowo, jakby się bała upaść i upadłaby, gdyby nie major - dziewczyna ledwo stała na nogach.
- Mam nogi jak z waty. - Jej głos brzmiał chropowato i grubo, ale już nie drżał.
- No jasne! Założę się, że nigdy przedtem nie siedziałaś na koniu.
- Wygrałbyś, ale nie w tym rzecz. To dlatego, że tak go ścisikałam, tak dusiłam...

- Usiłowała się roześmiać, ale z marnym skutkiem.
- Dziwiłabym się, gdyby ten biedny konik przez kilka najbliższych dni chodził bez posiniaczonych boków.
- Dobrze się spisałaś.
- Spisałam się! Umieram ze wstydu. Mam nadzieję, że nie rozpoviesz wszystkim, jak to poznałeś najbardziej tchórzliwą radiotelegrafistkę na całych Bałkanach...
- Na pewno nie. Nie, bo nie rozpowiadam kłamstw. Myślę, że jesteś być może najdzielniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem.
- Po moim dzisiejszym występie?!
- Zwłaszcza po twoim dzisiejszym występie.

Wciąż jeszcze trzymała się go mocno, najwyraźniej nie ufając swym siłom. Chwilę milczała, wreszcie rzekła:

- A ja myślę, że jesteś być może najmilszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam.
- Boże wielki? - Petersen był autentycznie zaskoczony. - No tak, teraz dopiero widać, że jesteś przemęczona! Co też ja słyszę?! Po tym wszystkim, co o mnie wygadywałaś?!
- Zwłaszcza po tym, co o tobie wygadywałam...

Wciąż go obejmowała, choć już bez potrzeby, gdy oboje usłyszeli odgłos walenia pięścią w drewniane drzwi i tubalny głos George'a:

- Otwierać! Otwierać w imieniu prawa! W imię miłości bliźniego, czy czego tam chcecie! Piaski żarem buchające za nami! Umieramy z pragnienia!

Drzwi otworzyły się natychmiast i w ich oświetlonym prostokącie ukazała się wysoka, szczupła postać. Mężczyzna zszedł dwa stopnie w dół i wyciągnął rękę.

- Nie może być! Czyżbyś to był ty... - mówił superrozwickłym, oksfordzkim akcentem.
- Tak, to ja. - George uściśnął wyciągniętą dłoń. - Dość już oficjalnych powitań. Trzeba bronić świętego imienia angielskiej gościnności.
- Wielkie nieba! - Mężczyzna uzbroił oko w dziwaczny, owalny monokl, zbliżył się do Lorraine, z wyszukaną galanterią ujął jej dłoń i szarmancko ucałował. - Wielkie nieba! Lorraine Chamberlain! - Wyglądało na to, że szykuje się do dłuższego przemówienia, ale w tym momencie zauważył Petersena i ruszył w jego stronę. - Peter, mój chłopcze! I oto znów masz za sobą straszliwe próby i zmagania. Słowo ci daję, że te dwa tygodnie bez ciebie były niewypowiedzianie nudne i przygnębiające. Okropne, mówię ci, absolutnie okropne.

Petersen uśmiechnął się.

- Jak się masz, Jamie. Cieszę się, że znowu cię widzę. Teraz powinno być już trochę lepiej, prawda, George? George, oczywiście zupełnie nielegalnie, przywiózł ci jakieś dzwoniące upominki. Całkiem sporo tych upominków. Omal nie złamały grzbietu kucowi, kiedy targał je na górę. - Odwrócił się do Sariny. - Pozwól, że ci przedstawię kapitana Harrisona. Kapitan Harrison jest Anglikiem dorzucił ze śmiertelną powagą. - Jamie, oto Sarina von Karajan.

Harrison z entuzjazmem potrząsnął jej dłonią.

- Ogromnie mi miło. Ogromnie. Gdyby tylko pani wiedziała, jak w tej zapomnianej przez Boga części świata tęsknimy nawet do najprostszych radości pachnących cywilizacją... Nie chcę przez to powiedzieć, że jest pani kimś zwyczajnym i pospolitym - dodał śpiesznie. - Boże broń! Wręcz odwrotnie! - Spojrzał na Petersena. - Znów mnie prześladuje pech Harrisonów. Widać urodziliśmy się pod złą, pod przekłętą gwiazdą. Czy mam rozumieć, że na ciebie spadło to wielkie szczęście, zaszczyt i przyjemność eskortowania tych dwóch dam przez całą drogę z Włoch?

- Żadna z nich nie uważa tego za szczęście, zaszczyt ani przyjemność. A propos przyjemności, nie wiedziałem, że znasz Lorraine.

Giacomo chwycił nagły, lecz krótki atak kaszlu, który Petersen zignorował.

- Ależ tak! Naturalnie! Oczywiście! Starzy znajomi z nas, starzy znajomi! Pracowaliśmy razem, nie wiesz o tym? Opowiem ci kiedyś. A reszta twoich przyjaciół?

Petersen przedstawił Giacomo i Michaela. Harrison powitał ich wylewnie, jak to najwyraźniej miał w zwyczaju, i jął zapraszać do środka.

- Chodźcie, chodźcie. Nie pozwolę, byście zamarzli na śmierć na tej paskudnej pogodzie. Zajmę się waszymi bagażami. No, do środka!

W środku było ciepło, jasno i zadziwiająco przestronnie; jak na partyzanckie warunki niemal komfortowo. Wzdłuż ścian stały trzy składane łóżka, jakieś wysokie meble - kredensy, a może szafy - stół z surowych desek, sześć sosnowych krzeseł; rzucał się w oczy niebywały wręcz luksus w postaci dwóch wyłysiałych foteli i dwóch kawałków zniszczonego i wyblakłego dywanu na podłodze. Po obu stronach izby znajdowały się drzwi, wiodące najprawdopodobniej do dalszych pomieszczeń. Harrison zamknął za sobą drzwi wejściowe.

- Siadajcie, proszę, siadajcie. - Kapitan lubił powtarzać wszystko dwa razy. - George, chciałbym ci zaproponować... Głupiec ze mnie! Mogłem się domyślić, że wszystkie sugestie okażą się zbędne. - Rzeczywiście, George nie tracił czasu w roli barmana, a było to zajęcie, któremu się chętnie oddawał w chwilach wolnych od pracy. Harrison rozejrzał się wokół z dumą właściciela. - Nieźle, zupełnie nieźle, prawda? Chwalę się, ale na tej rozdartej walką ziemi nie znajdziecie wielu tak przytulnych gniazdek. Żałuję, że nieczęsto mamy okazję biwakować w takich miejscach, ale kiedy tylko sposobność się nadarzy, wykorzystujemy ją jak najpełniej. Elektryczność? Proszę bardzo! Nie słyhać, ale oprócz komendanta tylko my w obozie mamy agregat; jest potrzebny do nadajników

wielkiej mocy. Centralne ogrzewanie? - Wskazał palcem dwie sześciocalowe rury biegnące w poprzek każdej ze ścian i ginące gdzieś po drugiej stronie powały. - Też jest! Tak naprawdę to rury wylotowe piecyków na koks i drewno. Trzymamy je na zewnątrz. Gdybyśmy je zabrali do środka, udusilibyśmy się w kilka minut. Ale cóż my tu mamy, George? - Kapitan przyjrzał się zawartości szklaneczki, którą przed chwilą dostał od George'a.

George wzruszył ramionami i odparł skromnie:

- Nic takiego, to tylko najprawdziwsza szkocka.

- Najprawdziwsza szkocka... - Harrison z nabożeństwem zabrał się do degustacji. Delikatnie sączył bursztynowy płyn, by uśmiechnąć się w zachwycie. - Gdzieżeś to, u licha, zdobył George?

- Od znajomych w Rzymie.

- Niech Bóg błogosławi twoich rzymskich znajomych. - Jego twarz znów przybrała wyraz nieziemskiego uniesienia i Harrison pociągnął ze szklaneczki po raz drugi. - Cóż, to chyba wszystko, jeśli idzie o nasze tu nowoczesne rozwiązania. Te drzwi na lewo prowadzą do mojego pokoju. Fakt, jest tam trochę nie najgorszego sprzętu radiowego, ale tylko część da się wziąć w teren, a w terenie, niestety, spędzamy większość czasu. Te drugie drzwi wiodą do czegoś, co nieco przesadnie nazywam sypialnią. Owa sypialnia jest wielkości dwóch budek telefonicznych, ale co istotne, mieszczą się tam dwa łóżka. - Znów drobny łyk whisky i Jamie zaproponował szarmancko: - Na dzisiejszą noc tę sypialnię z najwyższą przyjemnością ofiaruję naszym paniom.

- Bardzo pan uprzejmy - odezwała się niepewnie Sarina. - Ale ja muszę... Czy nie powinniśmy zameldować się u Pułkownika?

- Głupstwa. Nie warto o tym nawet myśleć. Jesteście wyczerpani drogą i niewygodami w podróży. Wystarczy na was tylko spojrzeć. Jestem przekonany, że Pułkownik chętnie zaczeka do rana. Mam rację, Peter?

- Jutro będzie akurat.

- Ależ oczywiście. Ha, my rozbitkowie rzuceni na szczyty gór zawsze spragnieni jesteśmy wieści z szerokiego świata. Co tam, bracie, się zdarzyło w ciągu tych dwóch tygodni?

Petersen odstawił nietkniętą szklanekę i wstał.

- George ci opowie. Jemu idzie to lepiej niż mnie.

- Istotnie, brakuje ci niewątpliwie jego daru dramatyzowania wydarzeń. Obowiązek wzywa?

Petersen skinął głową.

- Pułkownik?

- Któż by inny? Niebawem wrócę.

Petersen nie wrócił sam. Dwaj towarzyszący mu mężczyźni, podobnie jak on, okryci byli grubą warstwą śniegu. Otrzepli się, a Harrison elegancko wstał i dokonał prezentacji.

- Dobry wieczór, panowie. Zaszczyt to dla nas - tu zwrócił się do siedzących w izbie gości. - Niech mi wolno będzie przedstawić: major Ranković i major Metrović, dwaj dowódcy ze sztabu Pułkownika. Ryzykowaliście wyjście w tak paskudną noc, panowie? Ho, ho!

- Chciałby pan, oczywiście, wiedzieć, dlaczego tu przyszliśmy, prawda? - odezwał się major Metrović, mężczyzna średniego wzrostu, mocno zbudowany, o ciemnych włosach i pogodnym usposobieniu.

- Z ciekawości, naturalnie. Działania Petera owiane są zawsze mgiełką tajemnicy, a sam Pan Bóg wie, że mało oglądamy tu nowych twarzy.

- Peter zapewne wam nie wspominał, że dwie spośród nich należą do kobiet młodych i - mówię to jako bezstronny obserwator - wyjątkowo urodziwych, co?

- Niewykluczone, że wspominał, całkiem niewykluczone... - Metrović znów się uśmiechnął. - Ale wie pan, jak to z nami jest: wciąż jesteśmy zajęci tylko sprawami wojskowymi. Prawda, Marino?

Marino - major Ranković - wysoki, szczupły, z czarną brodą i dość ponury z natury, wyglądający tak, jakby odstąpił Metroviciowi swój regulaminowy przydział uśmiechu, nie powiedział ani tak, ani nie. Zdawało się, że jest czymś szalenie zaabsorbowany, a źródłem jego zaabsorbowania był bez wątpienia Giacomo.

- Zaprosiłem ich do nas - odezwał się Petersen. - Uznałem, że choć tyle mogę zrobić, aby nieco urozmaicić ich smutne życie.

- Ależ zapraszamy, zapraszamy. - Harrison spojrział na zegarek.

- Mówiłeś, że niedługo zabawisz. Jak zatem wygląda twoje "długo"?

- Chciałem dać George'owi czas na dokończenie opowieści. Poza tym, trochę mnie przetrzymali. Tyle było pytań. No i po drodze zabawiłem chwilę przy stanowisku nadawczym. Chciałem zobaczyć, czy coś działałiście w czasie mojej nieobecności. Wygląda na to, że chyba nie, co? Może zapodzialiście klucz?

- Stanowisko nadawcze? - Sarina zerknęła na drzwi w końcu pokoju. - Niczego nie słyszeliśmy. To znaczy...

- Moje stanowisko nadawczo-odbiorcze znajduje się pięćdziesiąt metrów stąd. Nie ma tu żadnej tajemnicy. Mamy w obozie trzy nadajniki. Jeden jest dla Pułkownika, drugi dla kapitana Harrisona, trzeci dla mnie. Ty będziesz pracować z Pułkownikiem, Lorraine tutaj.

- Ty nam to załatwiłeś?

- Niczego nie załatwiałem. Jak wszyscy inni wykonuję tylko rozkazy. Pułkownik tak chciał. Lorraine

miała tu przydział już od tygodni, o czym zresztą wszyscy wiedzą. Z powodów, które wam mogą wydać się niejasne, lecz które ja doskonale rozumiem, Pułkownik życzy sobie, by radiooperator kapitana Harrisona, jak i on sam, nie znał serbsko-chorwackiego. U podstaw naszego systemu bezpieczeństwa leży zasada, żeby nikomu nie ufać.

- Musisz mieć dużo wspólnego z Pułkownikiem.

- Jest pani niesprawiedliwa dla majora, panienko - odezwał się wciąż uśmiechnięty Metrović. - Mogę potwierdzić to, co mówił. Jestem tłumaczem, czy też może pośrednikiem między Pułkownikiem a kapitanem. Podobnie jak major, część wykształcenia odebrałem w Anglii.

- Dość tego - włączył się Harrison. - Odsuńmy na bok błahe myśli i skupmy się na sprawach istotnych.

- Jak na przykład gościnność - odpowiedział George. - Właśnie, takich jak gościnność. Siadajcie, proszę. Co pijecie, panowie, i panie, naturalnie?

Wszyscy wyrazili swe życzenia w kwestii trunków. Wszyscy oprócz majora Rankovicia, który podszedł do siedzącego Giacomo i zapytał:

- Jak pan się nazywa, jeśli wolno spytać?

Giacomo, nieco zdziwiony, uniósł brwi, uśmiechnął się i odparł:

- Giacomo.

- To chyba włoskie imię, prawda?

- Tak.

- A jak dalej?

- Po prostu Giacomo.

- Po prostu Giacomo... - Ranković mówił niskim, poważnym głosem. - Pan zawsze taki tajemniczy?

- To moja sprawa.

- A pański stopień?

- To też moja sprawa.

- Widziałem już pana kiedyś. Choć nie w armii... W Rijece, Splicie, Kotorze, w jakimś takim miejscu.

- Możliwe. - Giacomo wciąż się uśmiechał, ale już tylko ustami. - Świat jest mały. Kiedyś pływałem.

- Pan jest Jugosłowianinem.

Petersen dobrze wiedział, że Giacomo mógł spokojnie potwierdzić domysły Rankovicia, wiedział też jednak, że tego nie zrobi. Ranković był zdolnym żołnierzem, ale żadnym psychologiem.

- Nie, jestem Anglikiem.

- Pan kłamie.

Petersen zrobił krok do przodu i klepnął Rankovicia w ramię.

- Na twoim miejscu, Marini, odpuściłbym póki jeszcze czas. Choć, skądinąd, nie sędzę, byś miał dużo czasu.

- Co masz na myśli? - Ranković odwrócił głowę.

- Mam na myśli to, że dotychczas jesteś cały, zdrowy i masz wszystko na swoim miejscu, ale jak tak dalej pójdzie, wylądujesz w szpitalu zastanawiając się, czy nie wpadłeś aby pod pociąg. Ręczę za Giacomo. On rzeczywiście jest Anglikiem. Ma tak bogatą kartę wojennych osiągnięć, że zawstydzi każdego w tej izbie. Kiedy wy szwendaliście się po górach, on walczył we Francji, Belgii, w Północnej Afryce i na Morzu Egejskim wykonując zadania tak niebezpieczne, że trudno je sobie nawet wyobrazić. Spójrz na jego twarz, Marino. Spójrz tylko, a znajdziesz tam wszystko, o czym mówiłem.

Ranković przyjrzał się bacznie twarzy Giacomo.

- Nie jestem głupcem. Nigdy nie kwestionowałem jego kwalifikacji wojskowych. Byłem ciekaw i tyle. Jak Pułkownik i ty, ja też niechętnie ufam ludziom. Nie chciałem nikogo obrazić.

- Dlatego się nie obraziłem - odparł Giacomo, znów w dobrym humorze. - Pan jest podejrzliwy, ja za to drażliwy, razem dość kiepska mieszanka, zgodzi się pan ze mną? Zaproponuję coś panu: albo tylko dobra mieszanka, albo lepiej niczego nie mieszać. George, ty pijesz tylko czystą whisky, prawda? Nawet z wodą jej nie mieszasz?

- To świętokradztwo!

- Miał pan w jednym rację, majorze. Jestem co prawda Anglikiem, lecz urodziłem się w Jugosławii. Wypijmy za Jugosławię.

- Takemu toastowi nic nie można zarzucić - stwierdził Ranković.

Nie uścisnęli sobie rąk, nie przysięgali wiecznej przyjaźni, w najlepszym wypadku można by to, nazwać zawieszeniem broni. Ranković, a aktor z niego był słaby, miał wciąż swoje wątpliwości. Petersen zaś żadnych.

Nieco później tego wieczoru, co zresztą rozumiała, atmosfera zdecydowanie odtajała, a towarzystwo poczuło się swobodniej. Niektórzy wstąpili na krótko do kantyny oddalonej o czterysta metrów od chatki Harrisona na kolację. Sarina i Lorraine kategorycznie - i, jak się miało okazać, mądrze - odmówiły bohaterkiej wyprawy w śnieżycę szalejącą za oknem. Naturalnie Michael zdecydował się zostać z nimi, a Giacomo, po szybkiej wymianie spojrzeń z Petersenem, obwieścił, że nie jest głodny. Nie trzeba mu było słów, by domyślić się, że nawet wśród swoich Petersen nie ufał nikomu. W porównaniu z obiadem u Josipa Pijade, obozowa kolacja była gastronomiczną katastrofą. Nie zawinili tu czetniccy kucharze. W zniszczonej Jugosławii, jak kraj długi i szeroki, brakowało żywności, zaś dobre jedzenie stało się niemal całkowicie nieosiągalne. Tym niemniej po dostatniej Italii i Mostarze obniżenie lotów było smutne i widoczne; nawet George nie zdołał zjeść więcej niż dwa talerze tłustawej baraniny z fasolą, którą zaserwowano jako danie główne i jedyne. Wyszli stamtąd tak szybko, jak tylko pozwalała na to przyzwoitość.

W chacie Harrisona wkrótce zapomnieli o kulinarnych rozczarowaniach.

- Nie ma to jak w domu. - Jamie wygłosił tę sentencję do wszystkich i do nikogo. niesprawiedliwością byłoby go nazwać pijanym, za to uwaga, że był niezupełnie trzeźwy, okazałaby się w pełni uzasadniona. Jakiś czas zerkał z uznaniem do środka szklaneczki, którą trzymał w ręku. - Alkohol dodaje mi odwagi. George zdał mi bardzo wszechstronne sprawozdanie z waszej działalności w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Nie powiedział mi jednak rzeczy najważniejszej: po co wyjeżdżaliście do Rzymu? Ty też nie raczyłeś mnie oświecić w kwestii waszego powrotu.

- Bo wtedy jeszcze sam nie wiedziałem - odparł Petersen.

Harrison, z miną mędrca, pokiwał głową.

- Wszystko pasuje. Jedzcie sobie do Rzymu i z powrotem nie wiedząc po co.

- Przewoziłem rozkazy. Nie znałem jednak ich treści.

- Wolno spytać, czy teraz już znasz?

- Wolno. Teraz już znam.

- Coś takiego! Czy wolno mi się jeszcze bardziej ośmielić i spytać, cóż to za rozkazy?

- Mówiąc twoim językiem, nie wiem, czy mi wolno kogokolwiek o tym informować. Jedyne co mogę zdradzić to to, że dotyczyły spraw czysto wojskowych. Ścisłe rzecz biorąc ja nie jestem wojskowym, nie dowodzę oddziałem. Jestem agentem wywiadu. Szpieczy zaś nie toczą bitew. Na to jesteśmy za sprytni. Albo za tchórzliwi.

Harrison spojrzał najpierw na Metrovicia, później na Rankovicia.

- Wy jesteście żołnierzami. O ile prawdą jest choć połowa z tego, co mi opowiadacie, to wy staczacie prawdziwe bitwy...

- Nie jesteśmy tak sprytni jak Peter. - Metrović uśmiechnął się.

- Znacie treść tych rozkazów?

- Oczywiście. Dyskrecja Petera dobrze o nim świadczy, lecz nie jest konieczna. Za kilka dni cały obóz będzie znał ich treść. Mamy - to znaczy Niemcy, Włosi, my i ustaszowcy - ruszyć z totalną ofensywą na partyzantów. Rozbijemy w proch Josipa Tito i jego ludzi. Niemcy nazwali to "Operacją Weiss". Partyzanci nazwą ją bez wątpienia "Czwartą Ofensywą".

Nie zrobiło to dużego wrażenia na Harrisonie.

- Co oznacza, że organizowaliście ofensywy już trzykrotnie? Jakoś nie bardzo wam idzie, co?

- Wiem, że łatwo się mówi, ale tym razem będzie inaczej - odparł Metrović z niewzruszonym spokojem. - Przyprzemy ich do muru, są w pułapce. Nie mają ruchu, nie mają dokąd pójść. Nie dysponują ani jednym samolotem, ani jednym myśliwcem, ani jednym bombowcem. U nas stacjonują całe eskadry! Próżno by szukać u nich choćby jednego sprawnego działka przeciwlotniczego. W najlepszym razie liczą sobie piętnaście tysięcy ludzi, z których większość głoduje, choruje i ma braki w wyszkoleniu. My zmobilizowaliśmy prawie sto tysięcy dobrze wyszkolonych i sprawnych żołnierzy. I wreszcie ostatni słaby punkt Tity, jego pięta Achillesowa - chwilowe unieruchomienie oddziałów związane z tym, że Tito ma u siebie trzy tysiące rannych żołnierzy. Nie mogę powiedzieć, bym nie mógł się tego doczekać, nie. To nie będzie walka, to będzie masakra. Lubisz się zakładać, James?

- Nie przy tego rodzaju przewadze, dziękuję. W takich sytuacjach się nie zakładam. Tak jak Peter, niechętnie nazywam siebie wojskowym, bo dopiero trzy lata temu po raz pierwszy zobaczyłem mundur. Ale skoro taka operacja jest tuż-tuż, dlaczego spokojnie sączycie wino zamiast tkwić nad tymi waszymi mapami sztabowymi, zamiast wtykać chorągiewki to tu, to tam, szkicować plany działań, czy co tam zwykle robicie przy tego rodzaju okazjach?

Metrović roześmiał się.

- Są trzy po temu powody. Sprawa zasadnicza: atak nie nastąpi tak szybko; mamy jeszcze dwa tygodnie czasu. Po drugie: wszystkie plany zostały już dawno opracowane, a wszystkie oddziały albo już zajęły swoje pozycje, albo zrobią to w ciągu kilku najbliższych dni. I wreszcie: główne uderzenie pójdzie na Bihać, gdzie w tej chwili zgrupowane są główne siły partyzantów, a to jest więcej niż dwieście kilometrów na północny zachód stąd. W tym nie bierzemy udziału. Siedzimy na pozycjach na wypadek, gdyby partyzanci wykazali taką głupotę - czy może optymizm, a może samobójczy instynkt - by spróbować przebijać się na południowy wschód. Powstrzymanie niedobitków od przekroczenia Neretvy - choć to, czy dotrą aż do naszych stanowisk jest nader wątpliwe - będzie czystą formalnością. - Zamilkł i spojrzał w ciemne okno. - Jest jeszcze czwarta możliwość. Jeśli pogoda zmieni się na gorsze, albo jeśli będzie taka jak teraz, wtedy najlepiej opracowane plany Najwyższego Dowództwa wezmą w łeb. Wówczas konieczne będzie przesunięcie w czasie. Przez najbliższe dni nikt, z całą pewnością, nie będzie w takich warunkach latał po górach. A dni łatwo mogą przerodzić się w tygodnie.

- No tak - mruknął Harrison. - Rozumiem teraz dlaczego w przyszłość patrzycie mężnie, choć nieco smętnie. Z tego, co mówisz, wynika, że macie duże szanse w ogóle nie uczestniczyć w tej imprezie. Jeśli idzie o mnie, mam nadzieję, że te prognozy się sprawdzą; jak wspominałem, nie jestem wojskowym, a poza tym zdążyłem się już przyzwyczaić do mojej wygodnej kwatery. A czy ty, Peter, spodziewasz się zimować tu z nami?
- Nie. Jeżeli Pułkownik nic dla mnie rano nie znajdzie, a żadne znaki nie wskazują, że będzie inaczej, to ruszam pojutrze z rana. O ile, naturalnie, nie ugrzęźniemy po uszy w zaspach.
- Znikasz, Peter. Jeśli wolno...
- Zapytać dokąd? Tak. Pewien oficer włoskiego wywiadu odrobinę zanadto się mną interesuje. Albo chce mnie skompromitować, albo usiłuje mi przeszkadzać w tym, co robię. "Usiłował" byłoby tu bardziej na miejscu. Chciałbym wiedzieć dlaczego.
- Wchodzi ci w paradę? W jaki sposób? - zainteresował się Metrović.
- On i jego banda zaskoczyli nas dziś nad ranem w hotelu, w Mostarze. Czegoś szukali. Nie wiem, znaleźli czy nie. Przedtem, na kutrze, którym płynęliśmy z Włoch, jego ludzie chcieli nas zaatakować. Nocą. Nie wyszło, ale nie dlatego, że nie próbowali. Przeciwnie. Mieli z sobą strzykawki z trucizną i byli aż nadto skłonni ich użyć.
- Niesłychane... - Na twarzy Harrisona odmalowało się stosowne przerażenie. - No i co się stało?
- Wszystko odbyło się absolutnie bezboleśnie, naprawdę - odparł George z satysfakcją. - Zaspawaliśmy ich w kabinie na łodzi. Ostatnim razem, kiedy ktoś o nich wspomniał, wciąż jeszcze tam tkwili.

Harrison spojrzał z wyrzutem na George'a.

- Nie ująłeś tego w swoim elektryzującym sprawozdaniu, co George?
- Sam rozumiesz: dyskrecja.
- Ten oficer włoskiego wywiadu jest, oczywiście, naszym sojusznikiem - odezwał się Metrović. - Kilku takich sojuszników i wrogowie niepotrzebni. Co zrobisz z tym naszym przyjacielem, jak go znajdziesz? Zabijesz, czy zadasz mu kilka pytań? - Major uważał widocznie takie postawienie kwestii za coś zupełnie naturalnego.
- Zabić go?! - Sarina była wstrząśnięta, co dało się spostrzec na jej twarzy. - Takiego miłego człowieka?! Zabić go?! Sądziłam, że zdążyłeś go nawet polubić!
- Polubić? Jest rozsądny, przystojny, uśmiechnięty, ma szczerą gębę, mocny uścisk dłoni i patrzy ci prosto w oczy: już na pierwszy rzut oka widać, że to typ spod ciemnej gwiazdy. Przypominam ci, że chciał mnie zabić. Nie, nie osobiście, ale ręką tego mordercy Alessandro, co zamiar ten czyni jeszcze bardziej ohydny. Dlaczego więc nie miałbym go zlikwidować? Ale nie, nie zrobię tego. W każdym razie nie od razu. Najpierw sobie z nim pogadam.

- Ale... Ale może nie uda ci się go odnaleźć.

- Uda się, uda.

- A jeśli nie zechce odpowiadać?

- Zechce - w głosie Petersena zadźwięczała znajoma nuta lodowatej pewności.

Sarina grzbietem dłoni zasłoniła usta i zamilkła.

Metrović myślał nad czymś, wreszcie rzekł:

- Znam cię, Peter. Ty dopiero wtedy zadajesz pytania, kiedy z góry przeczuwasz odpowiedź. Chodzi ci zatem o potwierdzenie jakiejś hipotezy. Nie mogłeś tego zrobić tam, w hotelu?

- Jak najbardziej, ale nie chciałem zaśmiecać okolicy trupami, z których niekoniecznie wszystkie musiałyby paść po ich stronie. Obiecałem, że dowiozę tę gromadkę bezpiecznie na miejsce. Wszystko po kolei. Potwierdzenie hipotezy, mówisz? Tak, chcę potwierdzić własną hipotezę, że Włochy mają zamiar wycofać się z tej wojny. To, że tego chcą, nie budzi moich najmniejszych wątpliwości. Ich naród nigdy nie pragnął tej wojny. Ani ich wojsko, ani marynarka, ani lotnictwo. Pamiętacie, jak armia Wavella zmiażdżyła Włochów w Północnej Afryce? Tuż po bitwie ktoś zrobił zdjęcie, zdjęcie, które obiegło cały świat. Widać na nim około tysiąca włoskich jeńców prowadzonych przez angielskich żołnierzy do obozu za drutami. Upał panował wtedy taki, że żołnierze dali trzem Włochom do niesienia swoje karabiny. To mniej więcej określa stosunek Włochów do wojny. Jeśli sprawa jest bliska ich sercu, umieją się bić równie dzielnie jak ktokolwiek inny. Ale ta sprawa nie jest im bliska, wręcz przeciwnie. To jest wojna Niemiec i Włosi nie chcą walczyć w niemieckiej wojnie, bo w gruncie rzeczy Niemców nie lubią. Nie od wczoraj słyszy się - i od Włochów, i od Anglików - że w głębi serca Włosi są probrytyjscy. Tak naprawdę to oni są prowłoscy. Nikt tego sobie lepiej nie uświadamia niż Włoskie Dowództwo Naczelne. Ale, oczywiście, idzie tu o coś więcej niż tylko o patriotyzm. We włoskim dowództwie nie brak tęgich mózgów i jestem przekonany, że są tam ludzie, którzy już teraz, na tak wczesnym etapie wojny, wyznają pogląd, że Niemcy ją przegrają. - Petersen rozejrzał się po izbie. - Być może to nie wasz pogląd, ani też mój, lecz to nieważne. Istotne jest, tak uważam, że oni tak sądzą, i że już teraz usiłują wymyślić sposób na osiągnięcie ugody - nazwijmy to tak z braku lepszego słowa - z Anglikami i Amerykanami. Ta ugoda miałaby naturalnie formę bezwarunkowej kapitulacji, ale wcale by tak nie było. Oznaczałoby to ze strony Włochów stuprocentową współpracę z siłami brytyjsko-amerykańskimi w każdej dziedzinie z wyjątkiem działań wojskowych ich pierwszoliniowych oddziałów.

- Jesteś bardzo pewny swego, Peter - stwierdził Metrović. - Skąd ta pewność?

- Mam lepszy od was dostęp do źródeł informacji. Jestem w stałym kontakcie z siłami niemieckimi i włoskimi na terenie kraju i, jak wiesz, często bywam we Włoszech. Rozmawiałem tam z bardzo wieloma ludźmi. Z wojskowymi i z cywilami również. Nie jestem ani głuchy, ani z tych, co do trzech zliczyć nie potrafią. Wiem na przykład, że włoski i niemiecki wywiad ledwo z sobą rozmawiają, a już na pewno nawzajem sobie nie ufają. Generał Granelli - szef włoskiego wywiadu

i zarazem przełożony majora Cipriano, o którym mówiłem - to obrzydliwa i niebezpieczna postać, ale przy tym wszystkim to bardzo bystry facet. On, tak jak i inni, doskonale orientuje się w sytuacji i możliwościach i nie ma wątpliwości, że Niemcy źle skończą. On sam jednak wcale źle skończyć nie zamierza. Nie wątpi też ani odrobinę w to, że i ja wiem, co jest grane. Jeśli zacznę głośno dawać wyraz swym obawom, a właściwie przekonaniom, będę tym samym stanowił dla niego spore zagrożenie. Sądzę, że już dwukrotnie kazał mnie zlikwidować i dwukrotnie w ostatniej chwili zmieniał zdanie. Wiem, że zdecyduje się po raz trzeci i jest to jeden z powodów, dla których chcę się stąd zabrać, nim trafi tu Cipriano, oczywiście w płaszczku lojalnego sprzymierzeńca, i zorganizuje mi jakiś wypadek. Ale, rzecz jasna, wyjeżdżam głównie po to, żeby dotrzeć do ich łącznika, zanim, dotrze do mnie.

- Łącznika? Jakiego łącznika? - Skonsternowany Harrison potrząsnął głową. - Mówisz zagadkami, Peter.

- Dziecinnie prosta zagadka. Jeśli Niemcy przepadną, to z kim do towarzystwa?

- Aha! -

- No właśnie. Aha. Razem z tymi, którzy walczyli z nimi ramię w ramię. Nas nie wyłączając. Gdybyś był generałem Granelli i miał jego bystre, perspektywicznie widzące oko, które z jugosłowiańskich sił opozycyjnych byś wspomagał?

- Chryste Panie! - w okrzyku Harrisona dało się słyszeć lekkie oszołomienie. Rozejrzał się po izbie. Pozostali, w tym także Ranković i Metrović, zdawali się być pogrążeni w zadumie. - Więc ty twierdzisz, że Granelli i ten jego Cipriano współpracują z partyzantami i że Cipriano jest klasycznym podwójnym agentem?!

Petersen potarł brodę, spojrzał krótko na Harrisona, westchnął, dolał sobie trochę wina i nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć.

Chata Petersena nie mogła się w ogóle porównywać z apartamentami, które dopiero co opuścili. Wyszli cokolwiek przedwcześnie, lecz po ostatnich słowach Harrisona zapadła przedłużająca się cisza i rozmowa już się jakoś nie kleiła. Harrison i obydwaj czetnicy pogrążyli się w głębokiej zadumie. Sarina i Lorraine wyrazem twarzy dawały do zrozumienia, że ich awersja do Petersena nie tylko wróciła, ale i przybrała na sile. Alex i Michael jak zwykle nie mieli nic do powiedzenia. Czas jakiś, lecz nie za długo, mistrzowie konwersacji, George i Giacomo, usiłowali dzielnie walczyć, ale i oni wkrótce się poddali.

Kwatera Petersena była wystarczająco duża, żeby służyć jako garaż dla jednego samochodu pod warunkiem, że byłby to samochód nieduży. Trzy łóżka, stół, trzy krzesła oraz kuchnia stanowiły całe wyposażenie wnętrza; obok znajdowała się maleńka dziupla z radionadajnikiem.

- Ogarnął mnie smutek i jestem głęboko wstrząśnięty - powiedział George. - Głęboko wstrząśnięty...
- Nalał sobie dużą szklankę wina i wypił połowę jednym, zdawało się nie kończącym się haustem,

by zademonstrować, jak bardzo jest wstrząśnięty. - Nie, smutny jest chyba lepszym słowem. Świadomość, że całe twoje życie i cała twoja praca jest niewypałem, to gorzka pigułka. Trudno ją przełknąć. Szkody wyrządzone dumie i szacunkowi do samego siebie są nie do naprawienia. W sumie, wszystko razem jest druzgoczące.

- Wiem, co czujesz, George - odrzekł Petersen współczująco.

- Też przeżywałem coś takiego.

- Nie zapomniałeś jeszcze czasów, kiedy byłeś moim studentem w Belgradzie? - zapytał George, jakby w ogóle nie słyszał jego odpowiedzi.

- Jakże bym mógł je zapomnieć? Jak sam ze sto razy mówiłeś, spacer z tobą po wysadzanych różami alejkach gajku Akademososa jest niezapomnianym przeżyciem.

- Pamiętasz te moje nauki, te odwieczne prawdy, którym hołdowałem? Honor, uczciwość, prostolinijność, jasny umysł, otwarte serce, potępienie fałszu, oszustwa, nieuczciwości? Mieliśmy - pamiętasz? - krocząc w ciemnościach tego świata oświetlać sobie drogę wyłącznie blaskiem nie gasnącego płomienia prawdy...

- Tak, George.

- Jestem złamanym człowiekiem.

- Przykro mi, George.

Rozdział VII

Przyszło ich sześciu. Trudno wyobrazić sobie sześć bardziej bandyckich i złych twarzy, a jeszcze trudniej znaleźć. Łączyło ich jakieś dziwne podobieństwo. Wszyscy byli średniego wzrostu, wszyscy szczupli, barczyści i wszyscy tak samo ubrani: spodnie khaki wepchnięte w wysokie buty, khaki kurtki ściągnięte paskiem, pod nimi także koszule, na głowach furazerki, też khaki. Nie nosili żadnych wojskowych dystynkcji, ani innych znaków zdradzających ich tożsamość. Uzbrojeni zostali dokładnie w ten sam sposób: pistolety maszynowe w rękach, rewolwery u pasa i myśliwskie noże zatknięte w pochwę na prawym bucie. Mieli twarze ciemne i nieruchome, a oczy spokojne i uważne. To byli niebezpieczni ludzie.

Zaskoczyli ich całkowicie. Opór, a nawet myśl o oporze była nie do wyobrażenia. Towarzystwo, które gościło u Harrisona poprzedniego wieczora, siedziało tam i dnia następnego, gdy kilka minut przed ósmą zewnętrzne drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadło trzech mężczyzn z bronią gotową do strzału. Nikt nie zdążył nawet zareagować. Teraz było ich już sześciu, a

drzwi zostały zamknięte na klucz. Jeden z nich, trochę niższy i szerszy w ramionach od reszty, zrobił krok do przodu.

- Nazywam się Crni. - Po serbsko-chorwacku "crni" znaczy czarny. - A teraz kolejno każdy z was wyjmie broń i położy ją na podłodze. Ty zaczynasz. - Ruchem głowy wskazał Metrovicia.

W ciągu minuty cała broń, w każdym razie cała widoczna w izbie broń, leżała na ziemi.

Crni skinął na Lorraine.

- Pozbieraj to i połóż na stole. Nie będziesz chyba na tyle głupia, żeby próbować zrobić z niej użytek.

Lorraine daleka była od takich myśli. Ręce drżały jej tak bardzo, że z trudem zbierała karabiny i rewolwery. Kiedy wszystko znalazło się na stole, Crni zapytał:

- Czy któraś z tych dwóch młodych pań jest uzbrojona?

- Nie - odparł Petersen. - Ręczę za to. Jeśli znajdziecie broń przy nich albo w ich bagażu, możecie mnie od razu zastrzelić.

Crni spojrzał na niego niemal z rozbawieniem, sięgnął pod kurtkę i z kieszeni koszuli wyciągnął kartkę papieru.

- Nazwisko?

- Petersen.

- Ach, major Petersen! Pan otwiera tę listę. Widzę przecież, że panie nie mają broni przy sobie, ale skąd wiadomo, czy nie mają jej w bagażach?

- Sprawdziłem to.

Dziewczyny zapomniały na chwilę o strachu i wymieniły oburzone spojrzenia. Crni uśmiechnął się nieznacznie.

- Trzeba im było o tym powiedzieć. Wierzę panu. Jeśli ktokolwiek z was ukrywa przy sobie broń, to z chwilą gdy ją znajdę, zastrzelę majora Petersena. Będę celował w serce. - Rzeczowy ton głosu Crniego zawierał w sobie niemiłą dozę zdecydowania.

- Nie ma sensu tak chodzić i straszyć. To jest niedorzeczność. - George najwyraźniej usiłował wnieść skargę do Crniego. - Jeśli idzie wam o współpracę, nie ma sprawy, jestem do tego pierwszy.

- Wyciągnął spod ubrania automatyczny pistolet i dźgnął Alexa łokciem pod żebro. - Nie bądź głupi. Wydaje mi się, że ten Crni nie ma ani odrobiny poczucia humoru.

Alex nachmurzył się i rzucił na stół taki sam pistolet.

- Dziękuję. - Crni znów rzucił okiem na listę. - Tak, ty oczywiście musisz być tym uczonym profesorkiem, u nas numer dwa. - Spojrzał na Alexa. - Ty masz numer trzy. Tu jest napisane tak: Alex, nawias, zabójca. Związła charakterystyka. Będziemy mieć to na uwadze. - Odwrócił się do jednego ze swoich ludzi. - Edvard, sprawdź te płaszcze, które tam wiszą.
- Nie ma potrzeby - odezwał się Petersen. - Przeszukajcie tylko ten pierwszy z lewej. Mój. Prawa kieszeń.
- Widzę, że jest pan skłonny do współpracy, majorze.
- Ja też jestem zawodowcem.
- Wiem. Wiem całkiem sporo o panu. A raczej wiele mi o panu mówiono. - Przyjrzał się pistoletowi w rękach Edvarda. - Nie wiedziałem, że Armia Królewskiej Jugosławii ma na uzbrojeniu lugery z tłumikiem.
- Nie ma. Dostałem go od przyjaciela.
- Oczywiście. Mam jeszcze pięć nazwisk na liście. - Spojrzał na Harrisona. - Pan jest na pewno kapitanem Harrisonem...
- Dlaczego na pewno? - Czyżby w Jugosławii było dwóch oficerów z monoklem? A ty jesteś Giacomo. Człowiek bez nazwiska. Po prostu Giacomo.
- Mam to samo pytanie.
- Bo tak wynika z rysopisu. - Taki pochlebny ten rysopis? - Giacomo uśmiechnął się.
- Nie, taki akuraty. - Zatrzymał wzrok na Michaelu. - A ty - metodą eliminacji - musisz być Michaeliem von Karajanem. I dwie panie.
- Spojrzał na Lorraine. - Lorraine Chamberlain?
- Tak. - Uśmiechnęła się blado. - Mój rysopis też tam jest?
- Sarina von Karajan jest wyraźnie podobna do swego brata bliźniaka - wyjaśnił Crni cierpliwie. - Cała ósemka proszę ze mną.
- Czy mogę o coś zapytać? - odezwał się George.
- Nie.
- Uważam, że to okropnie niehumanitarne - stwierdził George żałośnie. - I nieuczciwe. A co by było, gdybym chciał wyjść do toalety?
- Wnoszę, że jest pan tu na etacie błazna - odparł zimno Crni.

- Miejmy nadzieję, że starczy panu humoru na najbliższe dni. Majorze, czynię pana odpowiedzialnym za sprawowanie się grupy.

Petersen uśmiechnął się.

- Jeśli ktokolwiek będzie usiłował zbiec, ja zarobię kulkę, tak?

- Nie ująłbym tego aż tak brutalnie, majorze.

- Majorze to, majorze tamto. Major Crni? Kapitan Crni?

- Kapitan - odparł krótko. - Wolę samo Crni. Czy muszę być oficerem?

- Nie wysyła się byle kogo na poszukiwanie, jak by się zdawało, notorycznych przestępców.

- Nikt nie twierdzi, że jesteście przestępcami. Jeszcze nie. - Przyjrzał się dwóm czetnickim oficerom.

- Wasze nazwiska?

- Major Metrović. To jest major Ranković.

- Słyszałem o was. - Odwrócił się do Petersena. - Wasza ósemka zabierze ze sobą bagaże.

- To miło - rzucił George.

- Co miło?

- Ano - zaczął George rezolutnie - jeśli zabieracie nas z bagażami, to znaczy, że nie zastrzelicie od razu.

- "Błazen" brzmi wystarczająco kiepsko, ale "bufon" to coś nie do zniesienia. - Zwrócił się do Petersena: - Ilu z nich ma swój bagaż tutaj, na miejscu? Chodzi mi i o mężczyzn i o kobiety.

- Pięcioro. Trzech z nas ma rzeczy w chacie oddalonej stąd o jakieś pięćdziesiąt metrów. To znaczy ja i tych dwóch dżentelmenów.

- Slavko! Sava! - przywołał swoich ludzi. - Ten tutaj, Alex, zaprowadzi was do chaty. Przynieście bagaż. Najpierw go dokładnie sprawdźcie. I uważajcie na tego typa. Ma za sobą straszliwą przeszłość. - Przez krótką chwilę wyraz twarzy Alexa w zupełności potwierdzał prawdziwość słów Crniego. - Miejcie oko na wszystko. Śpieszcie się powoli. - Spojrzał na zegarek. - Mamy jeszcze czterdzieści minut.

W niecałe dwadzieścia minut wszystkie bagaże zostały spakowane i zebrane w izbie.

- Wiem, że nie wolno zadawać pytań, czy mogę więc coś ogłosić? - powiedział George. - Ojej, to znów pytanie... Chcę coś ogłosić.

- Co takiego?

- Chce mi się pić.

- Nie widzę przeszkód.

- Dziękuję. - George otworzył butelkę i wychylił szklaneczkę wina w rekordowym czasie.

- Spróbuj teraz z tamtej - zaproponował Crni.

George zamrugał oczami, zmarszczył brwi, ale chętnie wykonał polecenie. - Chyba w porządku. Moim ludziom przyda się coś na tym mrozie.

- Chyba w porządku...? - George gapił się na Crniego. - Chcesz powiedzieć, że ja mógłbym spreparować kilka butelek wina?! Kilka zatrutych butelek wina na tak nieprawdopodobną okoliczność?! Ja?! Dziekan wydziału?! Ja, uczony akademik?! Ja... Ja...

- Niektórzy akademicy są bardziej uczeni od innych. Na moim miejscu zrobiłby pan to samo.

Trzech z jego ludzi wzięło po szklance, dwaj nieporuszenie trzymali wymierzoną broń. We wszystkim, co Crni robił i mówił, była jakaś odbierająca nadzieję pewność siebie. Zdawało się, że zabezpiecza się w najdrobniejszych szczegółach przeciwko wszelkim niespodziankom, w tym, jak zauważył George, przeciwko nieprawdopodobnym ewentualnościom.

- A co będzie z majorem Rankoviciem i ze mną? - zapytał Metrović.

- Zostawimy was tutaj.

- Martwych?

- Żywych. Związanych i zakneblowanych, ale żywych. Nie jesteśmy czetnikami. Nie mordujemy bezbronnych żołnierzy, nie mówiąc już o cywilach.

- My też nie.

- Ależ skąd! A te tysiące muzułmanów, którzy zniknęli w południowej Serbii? Sami na siebie podnieśli rękę? Tchórze, co?

Metrowić nie odpowiedział.

- A o ileż tysięcy więcej Serbów - mężczyzn, kobiet i dzieci - zmasakrowano w Chorwacji z powodów religijnych. Zmasakrowano z bestialskim okrucieństwem nie notowanym dotąd na Bałkanach. Ilu ich było?

- Nie przyłożyliśmy do tego ręki. Ustaszowcy to nie żołnierze, to niezdyscyplinowani terroryści.

- To wasi sojusznicy. Tak samo jak Niemcy. Pamięta pan Kragujevac, majorze, gdzie Niemcy złapali

i rozstrzelali pięć tysięcy obywateli jugosłowiańskich? Wypędzali dzieci ze szkół i strzelali do nich, kiedy tak stały zbite w gromadki, aż nawet plutony egzekucyjne miały dość i zbuntowały się. Wasi sojusznicy. Pamiętacie odwrót z Užic, gdzie niemieckie czołgi jeździły w tę i z powrotem tak długo aż zgniotły na miazgę leżących na ziemi rannych partyzantów? Wasi sojusznicy! Wina waszych zbrodniczych przyjaciół spada też i na was. Choć bardzo chcielibyśmy was tak samo potraktować, jednak nie zrobimy tego. Mam swoje rozkazy, nie mówiąc już o tym, że formalnie rzecz ujmując jesteśmy sprzymierzeńcami - zakończył z wyraźnym odcieniem pogardy w głosie.

- Jesteście partyzantami... - zawyrokował Metrović.

- Uchowaj Boże! - Obrzydzenie na twarzy Crniego gościło zaledwie moment, za to bardzo czytelnie. - Czy wyglądamy na jakąś hałastrę z lasu? Jesteśmy komandosami z dywizji Murge. - W owym czasie była to najlepsza włoska dywizja działająca na terenach południowo-wschodniej Europy. - Wasi sprzymierzeńcy, jak mówiłem. Macie tu gniazdo żmij pod nosem. - Ruchem głowy wskazał ośmioro więźniów. - Nie, nie, oczywiście nie wyglądają jak żmije, trudno je rozpoznać, więc tym bardziej nie umiecie się z nimi rozprawić. My sobie damy radę.

Metrović spojrzał na Petersena.

- Zdaje się, że należą ci się przeprosiny, Peter. Wczoraj nie wiedziałem, czy wierzyć w to, co mówisz, czy nie. Wszystko zdawało się takie nieprawdopodobne. Już nie mam wątpliwości. Miałeś rację.

- Dużo mi to teraz da. Mam na myśli te moje proroctwa - odparł Petersen. - Już od dwudziestu czterech godzin powinno mnie tu nie być.

- Związać ich - rzucił Crni.

Jak tylko wyszli z chaty, dołączyło do nich jeszcze dwóch żołnierzy, czemu zupełnie nikt się nie dziwił - Crni nie należał do osób, które zdecydowałyby się przebywać w jakimś pomieszczeniu blisko godzinę, nie wystawiwszy warty na zewnątrz. To, że ludzie ci należeli do elitarnych oddziałów, nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Noc była paskudna, sypał śnieg, wiał lodowaty wiatr, widoczność spadła niemal do zera, a Crni i jego ludzie nie tylko świetnie sobie radzili w tych wyjątkowych warunkach, lecz wręcz zdawali się nimi upajać.

Metrović pomylił się minionego wieczoru nie raz, lecz dwa razy. Mówił, że w taką pogodę nikt nie będzie chodził po górach przez dobrych kilka dni. Crni i jego żołnierze mieli udowodnić, że jest inaczej.

Kiedy znaleźli się poza terenem obozu, Crni i jego ludzie wyciągnęli latarki. Pojmani brodzili gęsiego w coraz głębszym śniegu zapadając się weń po kolana, zaś ich strażnicy szli obok, ubezpieczając lewą i prawą stronę. Po pewnym czasie, na rozkaz Crniego, zatrzymali się.

- Obawiam się, że musimy was związać. Ręce. Z tyłu, na plecach.

- Dziwię się, że nie zrobiliście tego wcześniej - odezwał się Petersen. - Jeszcze bardziej się dziwię, że chcecie to zrobić właśnie teraz. Chyba, że umyśliliście sobie w ten sposób nas zabić.
- Jaśniej proszę.
- Jesteśmy na szczycie ścieżki, która trawersuje zbocze aż do samej doliny, tak?
- Skąd pan wie?
- Bo wiatr nie zmienił się od wczoraj. Macie kuce?
- Tylko dwa. Dla kobiet. Wczoraj wam to wystarczyło.
- Jest pan dobrze poinformowany. Mężczyźni mają mieć ręce związane z tyłu na wypadek, gdyby coś nas podkusiło, żeby dać któremuś z pańskich ludzi kuksańca i strącić go w przepaść, czy tak? Błąd, kapitanie Crni, błąd. Zupełnie to do pana nie pasuje.
- Czyżby?
- Tak, z dwóch powodów. Powierzchnia skały jest spękana i śliska, pokryta lodem, albo twardym, ubitym śniegiem. Jeśli ktoś się poślizgnie z rękami związanymi z tyłu, to niby jak ma bronić się przed upadkiem w przepaść? A przede wszystkim jak miałby utrzymać równowagę? Żeby utrzymać równowagę, trzeba szeroko rozłożyć ramiona, tak? Pan powinien o tym wiedzieć. To dobry sposób uśmiercania ludzi. Po drugie, pańscy żołnierze wcale nie muszą trzymać się blisko nas. Czterech dać z przodu, nie za blisko, czterech z tyłu, w środku my z jakimiś pochodniami. Jakąż to niby akcją mielibyśmy zorganizować poza samobójczym skokiem w przepaść? Zapewniam pana, że żaden z nas nie ma ku temu skłonności.
- Nie bywam często w górach, majorze Petersen. Przyjmuję pańskie uwagi.
- I jeszcze jedno, jeśli wolno. Zezwólcie mnie i Giacomo prowadzić kuce Lorraine i Sariny. Obawiam się, że obie panie nie przepadają za spacerami w górach.
- Nie chcę! - Wizja oblodzonego szlaku spowodowała, że w głosie Sariny zabrzmiała nutka hysterii. - Nie chcę! Nie chcę!
- Nie chce pana - sucho zauważył Crni.
- Nie wie, co mówi. To tylko moje prywatne zdanie. Ona ma silny lęk wysokości. Cóż ja miałbym na tym zyskać?
- Chyba nic.

Kiedy już ustawili się do zejścia, Giacomo prowadzący kuca Lorraine otarł się o Petersena i rzekł półgłosem:

- Całkiem niezłe przedstawienie, majorze...

Rozpłynął się w sypiącym śniegu, a Petersen odprowadził go zamyślonym wzrokiem.

Strome zejście, w dodatku w tak zdradzieckich warunkach, jest zawsze trudniejsze i bardziej niebezpieczne od wejścia. I trwa dłużej. Tak też było i tym razem. Upłynęło całe czterdzieści minut nim postawili stopę w dolinie, lecz obyło się bez wypadków.

- Jesteśmy już na dole? - Sarina odezwała się po raz pierwszy od chwili, gdy ustawili się na ścieżce.

- Cali i zdrowi jak za najlepszych lat.

Jej westchnienie było długie i drżące.

- Dziękuję. Nie musisz już trzymać uzdy mego konika.

- Kucyka. Jak sobie życzysz. Zaczynałem się już przyzwyczajać do naszej szkapiny.

- Przepraszam - rzuciła szybko. - Nie chciałam, by to tak zabrzmiało. To dlatego, że jesteś taki... taki okropny i taki dobry. Nie, to ja jestem okropna. Przecież to ciebie ścigają, nie mnie.

- Tak być powinno. Jestem starszy stopniem.

- Chcą cię zabić, prawda?

- Zabić? Mnie? Cóż to za pomysł?! Dlaczego mieliby mnie zabijać? Zadadzą może kilka dyskretnych pytań i już.

- Sam mówiłeś, że generał Granelli jest obrzydliwym typem.

- Generał Granelli siedzi w Rzymie. Czy nie zastanawiałaś się w ogóle, co oni z tobą zrobią?

- Nie - odparła matowym głosem. - Nie obchodzi mnie, co zrobią ze mną.

- Jak wiadomo, takie uwagi skutecznie kończą wszelkie rozmowy - rzekł Petersen.

Dalej posuwali się w milczeniu, w gęstym śniegu sypiącym im w plecy, aż wreszcie Crni kazał im się zatrzymać. Skierował snop światła latarki na włoską ciężarówkę skradzioną przed dwoma dniami przez Petersena.

- Bardzo to ładnie z pana strony, majorze, że zechciał pan nam zostawić pod ręką transport.

- Jeśli tylko można pomóc sojusznikowi... Chcecie z niej skorzystać? Chyba nie.

- Cóż, gest miły, ale niekonieczny. - Crni przesunął światło latarki. Trochę dalej stała inna, większa włoska ciężarówka. - Wsiadajcie wszyscy do tyłu. Edvard, chodź ze mną.

Całą ósemkę zagnano do ciężarówki i zbitych w ciasną gromadkę usadzono koło szoferki. Pięciu

żołnierzy weszło za nimi i usiadło na bocznych ławeczkach z tyłu samochodu. Pięć zapalonych latarek skierowali w stronę jeńców, a w ich świetle można było dostrzec tę samą liczbę luf pistoletów maszynowych wymierzonych w tym samym kierunku. Silnik zaskoczył i ciężarówka ruszyła. Pięć minut później skręcili w prawo, na główną neretvańską szosę.

- A! Rozumiem, że zmierzamy do jasno oświetlonej Jablanicy! - domyślił się Harrison.

- A dokąd indziej? - zdziwił się Petersen. - Droga się co prawda rozwidła i możemy dojechać wszędzie, sądzę jednak, że zatrzymamy się właśnie w Jablanicy. Robi się późno. Nawet Crni i jego ludzie muszą czasem spać.

Niedługo potem kierowca zatrzymał samochód i wyłączył silnik.

- Nie widzę tu żadnych świateł. Cóż te łotry znowu knują? - zaniepokoił się kapitan.

- Nic, co by nas dotyczyło - odrzekł Petersen. - Kierowca czeka, aż dołączą Crni i Edvard.

- Po co? Oni mają osobny transport.

- Mieli. Teraz jest już na dnie Neretvy. Ten chłopak, który przyjechał po nas wczoraj, pamiętacie? Dominik, kierowca w przeciwsłonecznych okularach, na pewno zauważył markę i numer naszej ciężarówki. Kiedy - o ile w ogóle - odkryją, co się stało z Rankoviciem i Metroviciem, i kiedy ich uwolnią - a to może nastąpić za dobrych kilka godzin, zaczną się wrzawa i krzyk: łapać złodzieja! Zresztą wątpię, czy się zaczną. Pułkownik nie z tych, którzy rozpowszechniają niedostatki własnego systemu bezpieczeństwa, a Crni nie wydaje się być facetem, który pozwoli sobie na najmniejsze ryzyko.

- Wnoszę sprzeciw - odezwał się Giacomo. - Jeżeli za tym wszystkim kryje się twój znajomy Cipriano, to on już i tak zna zamiary tego wozu. Po cóż go więc niszczyć?

- Zasmucasz mnie, Giacomo. Nie wiemy, czy kryje się za tym Cipriano, lecz jeśli tak, na pewno zechce zatrzeć za sobą wszelkie ślady, które wskazywałyby na to, że maczał palce w uprowadzeniu. Pamiętaj, że oficjalnie on i Pułkownik są przyjaciółmi na śmierć i życie, wierni aż po grób.

Z przodu dobiegły ich głosy, trzaśnięcie drzwi, silnik zapalił i ruszyli.

- Tak, tak, na pewno tak jest... - Giacomo wygłosił refleksję nie przeznaczoną dla nikogo w szczególności. - Mimo wszystko szkoda tamtej ciężarówki.

Jechali dalej w śnieżną noc, pod ostrym światłem latarek i pod lufami karabinów, aż naraz Harrison obwieścił:

- Nareszcie! Cywilizacja! Boże, kiedy to ja ostatnio widziałem światła miasta...

Harrison, jak to miał w zwyczaju, zdecydowanie przesadzał. Raz po raz przez uchylone klapy na tyle ciężarówki migały bardzo nieliczne, przygaszone światła tak, że miasto nie sprawiało wrażenia metropolii. Jakiś czas potem samochód wjechał w boczną drogę, później pod górkę i stanął.

Strażnicy najwyraźniej dobrze wiedzieli, gdzie są, i nie czekali na rozkazy. Zeskoczyli na ziemię, wycelowali światło i broń w więźniów i w tym momencie zjawił się Crni.

- Wychodzić. Dziś dalej nie jedziemy.

Wysiedli z ciężarówki i rozejrzeli się wokół. Na ile pozwalało na to światło latarek, można było sądzić, że budynek, przed którym się znaleźli, stoi samotnie i zbudowany jest w stylu alpejskiego domku. Lecz biorąc pod uwagę ciemności i gęsty śnieg, mógł to być równie dobrze budynek, jakich wiele.

Crni wszedł do środka pierwszy. Przytulny hall stanowił miły kontrast z zimnem śnieżnej nocy. Nie było tam natłoku mebli. Stał jedynie stół, parę krzeseł i komoda, za to od razu zrobiło się wszystkim ciepło. Mały kominek, w którym trzaskały polana, dawał gorące, choć niezbyt jasne światło; elektryczność nie dotarła jeszcze do tej części Jablanicy i wiszące lampy naftowe stanowiły standardowe rozwiązanie.

- Drzwi na lewo to łazienka - oznajmił Crni. - Możecie z niej w każdej chwili korzystać. Oczywiście w hallu zostanie strażnik - dodał zupełnie niepotrzebnie. - Te drugie drzwi z lewej strony prowadzą do dalszych pomieszczeń domu, ale od nich trzymajcie się z daleka. Od schodów też - Podszedł do otwartych drzwi po stronie prawej i wprowadził ich do środka. - To wasza sypialnia na dzisiejszą noc.

Tego rodzaju pokój można znaleźć tylko w górskim domku. Był długi, szeroki i niski, z obelkowanym sufitem, sękatymi sosnowymi ścianami i podłogą z dębowych desek. Wzdłuż obu ścian izby biegły ławy wyściełane poduszkami. Stał tam również stół, kilka foteli, bardzo rozłożysty kredens, jakieś szafki i półki i, co najważniejsze, imponujących rozmiarów kominek parokrotnie większy od tego, który oglądali w hallu. Jediną natomiast zauważalną niespójnością w stylu wnętrza były polowe łóżka, koce i poduszki schludnie ułożone w rogu. Oczywiście nikt inny tylko George odkrył drugi, choć nie tak gryzący się z resztą element. Odciągnął zasłony skrywające jedno z dwóch okien i z zainteresowaniem przyjrzał się masywnym kratom zamocowanym od zewnątrz.

- To właśnie symbol ogólnej atmosfery naszych czasów - stwierdził smutno. - Z rozpoczęciem wojny obniżenie się norm moralnych jest procesem natychmiastowym i równie nieuchronnym. Honor, przyzwoitość, przyjęte zasady postępowania idą w zapomnienie, a moralne zwyrodnienie podnosi swój wstrętny łeb. - Cofnął rękę, zasłony opadły.

- Mądre zabezpieczenie, bardzo mądre. Człowiek od razu nabiera przekonania, że na ulicach Jablanicy aż roi się od złodziei, włamywaczy, zbójów i innych przestępców wszelakiej maści.

Crni zignorował go i spojrzał na Petersena przyglądającemu się naszykowanym łóżkom.

- Tak, tak, majorze, ja też umiem liczyć. Tylko sześć łóżek. Dla pań mamy pokój na górze.

- Ładnie. Był pan bardzo pewny swego, kapitanie Crni, prawda?

- Ależ skąd, wcale nie był - rzekł George z rozgoryczeniem w głosie. - Ślepiec w karecie

zaprężonej w czwórkę koni z dzwoneczkami mógłby swobodnie przejechać przez obóz Mihajlovicia.

Crni znów go zignorował dochodząc najprawdopodobniej do wniosku, że jest to jedyna metoda na George'a.

- Jutro albo ruszymy dalej, albo nie, wszystko zależy od pogody. Na pewno nie wyjdziemy wcześniej rano. Od tej chwili będziemy głównie iść na piechotę. Jeśli zgłodniejecie, to w szafce znajdziecie jedzenie. Zawartość kredensu zainteresuje przede wszystkim naszego profesora.

- A! - George otworzył drzwiczki i z uznaniem przyglądał się temu, co okazało się być dość wszechstronnie zaopatrzonym minibarkiem. - Zakratowane okna są zupełnie zbyteczne, kapitanie Crni. Dzisiaj nigdzie się nie wybieram.

- A gdyby nie kraty, dokąd by się pan wybrał, profesorze? Kiedy zechcecie już iść spać, moje panie, dajcie znać przez strażnika. Zaprowadzę was do waszego pokoju. Bardzo możliwe, że zechcę wam później zadać kilka pytań, ale to nic pewnego. Najpierw muszę się z kimś skontaktować.

- A to niespodzianka - zauważył Petersen. - Sądziłem, że telefony nie działają.

- Myślałem o radiu, majorze. Mamy radio. Tak naprawdę to mamy cztery radiostacje, w tym trzy wasze: jedna pańska i dwa bardzo nowoczesne zestawy von Karajanów. Spodziewam się, że książki kodowe też się nam przydadzą.

Po jego wyjściu zapanowała głęboka i długa cisza przerywana jedynie odgłosem, jaki wydaje korek wyciągany z butelki. Pierwszy odezwał się Michael:

- Radiostacje - zaczął z goryczą. - Książki kodowe. - Spojrzał z wyrzutem na Petersona. - Pan wie, co to znaczy, prawda?

- Tak. Nic nie znaczy. Crni bawi się naszym kosztem. Znaczący to tylko tyle, że będziemy musieli zadać sobie trud zorganizowania nowego kodu. Jak myślisz, co oni robią, gdy odkrywają, że nie ma tych książek? Robią właśnie to, o czym mówię i nie po to, żeby zabezpieczyć się przed wrogami, a raczej przed przyjaciółmi. Niemcy już dwukrotnie złamali kod, którego używamy między sobą. - Spojrzał na Harrisona. Harrison rozparł się w fotelu przy kominku i założywszy nogę na nogę, kontemplował kieliszek wina, który dopiero co wręczył mu George. - Jak na człowieka, co to go właśnie wyciągnięto z domowych pieleszy, czy też może porwano - co sprowadza się do tego samego - nie wydajesz się być specjalnie przybity.

- Bo nie jestem - odparł Harrison z zadowoleniem. - Nie mam powodu. Nigdy nie sądziłem, że znajdę lepszą kwaterę od mojej chatki w górach, ale byłem w błędzie. Sam zobacz, prawdziwy kominek! Carpe diem, jak to ktoś powiedział. Jak myślisz, Peter, co tam przyszłość dla nas szykuje?

- Nie umiem czytać w szklanych kulach.

- Szkoda. Byłoby miło wiedzieć, że kiedyś jeszcze zobaczę białe skały Dover...

- Nie rozumiem, dlaczego miałyby być inaczej. Nikt nie żąda twojej głowy. W końcu niczego chyba nie nabroiłeś, Jamie, co? Nie nadawałeś tajnych depech obcymi kodami do kogoś, z kim się nie przyjaźnimy, prawda?
- Oczywiście, że nie. - Harrison był kompletnie nieporuszony. - Nie jestem tego typu człowiekiem, nie mam żadnych tajemnic, a na i radiu i tak się nie znam. Więc twierdzisz, że może mi się jeszcze uda zobaczyć te białe skałki? Sądzisz, że ujrzę jeszcze moje stare pielesze na górze Prenj?
- Chyba raczej nie.
- Widzisz? Przepowiadasz mi przyszłość z całym przekonaniem i w dodatku bez szklanej kuli.
- Do tego nie potrzebna mi szklana kula. Ktoś taki jak ty, człowiek wykonujący tak delikatne zadania, nigdy już nie zostanie zatrudniony w tym samym charakterze, gdy raz wpadnie w ręce wroga. Tortury, pranie mózgu, kaptowanie do roli podwójnego agenta i temu podobne rutynowe posunięcia. Już nigdy by ci nie zaufali.
- Trochę przesadzają, nie uważasz? Nienaganna, kryształowa reputacja. W końcu nie moja wina, że mnie uprowadzili. Nigdy by się to nie zdarzyło, gdybyście lepiej mnie pilnowali. Tak, George, bardzo proszę, jeszcze się napiję. A teraz, kiedy już szczęśliwie się stamtąd wydostałem, nie mam najmniejszego zamiaru wracać, chyba że zawloką mnie siłą. Wtedy będę krzyczał i kopał jak to się przyjęło robić przy takich okazjach. - Podniósł kieliszek. - Twoje zdrowie, Peter.
- Nabrałeś awersji do ludzi? Do czetników? Do Pułkownika? Do mnie?
- Głębokiej awersji. Może nie do ciebie, choć muszę przyznać, że nie podoba mi się zbytnio to, co można by nazwać twoją polityką militarną. Jesteś dla mnie absolutną niewiadomą, Peter, lecz wolałbym mieć cię po swojej stronie niż przeciwko sobie. Jeśli zaś idzie o resztę, to gardzę nimi. Znalazłem się w dość niezwykłym położeniu jak na sojusznika, nie uważasz?
- Ja też chyba napiję się wina, George. Cóż, Jamie, istotnie nieraz ostrożnie, ale jednoznacznie wyrażałeś brak entuzjazmu, ba! niezadowolenie nawet! Sądziłem jednak, że jak każdy wojskowy korzystasz z przypisanego mu prawa, by się rozwodzić nad różnymi aspektami żołnierskiego życia i głośno na nie utyskiwać. - W zamyśleniu pociągnął z kieliszka. - Można wnosić, Jamie, że było w tym coś niecoś więcej?
- Coś niecoś! Dobre sobie! Dużo więcej! - Swobodny, w zgodzie z samym z sobą, Harrison popijał wino wpatrzony w płonące szczapy drewna. - Niezależnie od faktu, że przyszłość rysuje się niepewnie, winien jestem chyba wdzięczność kapitanowi Crniemu. On jedynie uprzedził moją decyzję, mój zamiar porzucenia góry Prenj i jej nieszczęsnych mieszkańców przy pierwszej dogodnej okazji. Gdyby nie wydarzenia kilku ostatnich godzin, odkryłbyś, że złożyłem już bardzo oficjalną prośbę o bardzo oficjalne odwołanie mnie ze stanowiska. Naturalnie jednak, zanim objawił się nam kapitan Crni, nie miałem zamiaru nikomu się z tego spowiadać.
- Chyba się na tobie nie poznałem, Jamie.

- Istotnie, chyba nie. - Rozejrzał się po pokoju, by sprawdzić, czy może ktoś jeszcze się na nim nie poznał, ale twarze zebranych nie potwierdzały tych obaw - jak magnes przyciąga opiłki żelaza, tak Harrison niepodzielnie skupiał na sobie uwagę wszystkich.
- A więc nie lubieś, to znaczy, nie lubisz nas?
- Zdawało mi się, że tę kwestię wyjaśniłem już nader jasno. Może nie jestem żołnierzem, a dobry Pan Bóg wie, że nie jestem, ale - chociaż wszystko na to wskazuje - nie jestem również błaznem. Jestem jako tako wykształcony, a praktycznie w każdej w miarę ważnej dziedzinie przeciętny żołnierz jest analfabetą. Och! nie jestem tak edukowany jak George! Nie bujam w obłokach rozmyślając o niebieskich migdałach, ani nie błędzę w gaiku Akademososa. - George, najwyraźniej głęboko dotknięty, sięgnął po butelkę. - Odebrałem bardzo praktyczne nauki. Zgadzasz się z tym, Lorraine?
- Tak - uśmiechnęła się i wyrecytowała z pamięci: - Mgr inż., Cz.K.S.I.E., Cz.K.S.I.M.O, on jest całkiem nieźle wykształcony. Byłam kiedyś jego sekretarką.
- No, no, no. Świat jest mały - skomentował Petersen, a Giacomo zasłonił twarz ręką.
- Inżynier czy magister inżynier - wiadomo, o co chodzi. Reszta brzmi jakby zapadł na jakąś śmiertelną chorobę - stwierdził George.
- Członek-korespondent Stowarzyszenia Inżynierów Elektryków i Członek-korespondent Stowarzyszenia Inżynierów Mechaników - wyjaśniła Lorraine.
- Nie to jest ważne - niecierpliwił się Harrison. - Rzecz w tym, że nauczono mnie obserwować, analizować i oceniać. Siedzę tu niecałe dwa miesiące, ale zapewniam was, że wystarczył o wiele krótszy okres i ledwie minimum obserwacji, by stwierdzić, że obstawiamy w Jugosławii złego konia. Mówię to jako angielski oficer. Nie chcę, żeby brzmiało to nazbyt dramatycznie, ale Wielka Brytania zmagają się w śmiertelnym zwarciu - dosłownie! - z Niemcami. Jak ich pokonać? Bijąc się z nimi i zabijając ich. Jak powinniśmy zatem oceniać naszych sprzymierzeńców i potencjalnych sojuszników? Jaką miarkę przykładać? Jedną. I tylko jedną: czy oni zabijają Niemców. A Mihajlović? Czy Mihajlović walczy przeciwko Niemcom? Diabła tam! On walczy razem z Niemcami, u ich boku! A Tito? Każdy Szwab, jaki napatoczy się pod lufę partyzanta, jest trupem. Ale te głupki, ci durnie, ci idioci w Londynie wciąż wysyłają dostawy Mihajloviciovi, facetowi, który w gruncie rzeczy jest ich zaprzysiężonym wrogiem! Wstydzę się za moich rodaków. Jedyne wyjaśnienie może być fakt - Bóg wie, że to żadne usprawiedliwienie - że na Bałkanach tę angielską wojnę prowadzą politycy i żołnierze, a politycy swą naiwnością i analfabetyzmem prawie dorównują żołnierzom.
- Gorzkich słów używasz osądzając swoich rodaków, James...
- Zamknij się! Nie, George, przepraszam. Nie chciałem. Ale mimo całej twojej uczoności, a może właśnie przez nią, jesteś tak samo naiwny i głupi jak oni. Gorzkie, ale prawdziwe. Jak doszło do tej niesłychanej sytuacji? Mihajlović to niemal genialny Machiavelli międzynarodowej dyplomacji; Tito nie ma na to czasu, bo zajęty jest zabijaniem Niemców. Już we wrześniu czterdziestego pierwszego Mihajlović i jego czetnicy zamiast tłuc Szwabów gorliwie zajęli się nawiązywaniem

kontaktów z najdroższym rządem rojalistowskim w Londynie. Tak, majorze Petersen, mówię "najdroższym", ale wcale tak nie myślę. Oni mają dokładnie w nosie niewyobrażalne cierpienia narodów Jugosławii. Zależy im tylko na jednym: chcą odzyskać królewską władzę, a jeśli ma się to odbyć kosztem miliona czy dwóch zabitych rodaków, to trudno, tym gorzej dla tychże rodaków. No i, naturalnie, Mihajlović kontaktuje się z królem Piotrem i jego tak zwanymi doradcami. Skontaktował się i nie omieszkał przy okazji wejść w układy z rządem angielskim. Czysty zysk! Oczywiście w tym samym czasie nawiązał kontakt z naszymi wojskami na Bliskim Wschodzie. Z tego, co wiem, te kairskie głupki w korkowych kapeluszach gotowe są nadal widzieć w Pułkowniku wielką, białą nadzieję Jugosławii. - Zrobił gest ręką w stronę rodzeństwa von Karajanów. - I rzeczywiście, te osły ciągle w to wierzą. Spójrzcie tylko na tę łatwowierną młodzież specjalnie wyszkoloną przez Anglików do pomocy i ku wygodzie dzielnych czetników...

- Nie jesteśmy łatwowierni! - w głosie Sariny słychać było napięcie. Miała mocno zaciśnięte ręce i sprawiała wrażenie, że zaraz wybuchnie albo gniewem, albo płaczem. - Nie szkolili nas Anglicy, tylko Amerykanie! I nie przyjechaliśmy tutaj ani do pomocy, ani dla wygodzie czetników!

- W Kairze nie ma amerykańskich ośrodków szkoleniowych dla radiooperatorów. Są tylko brytyjskie. Jeśli przeszliście kurs amerykański, to dlatego, że tak chcieli Anglicy. - Harrison miał chłodny, zniechęcający do dalszych dyskusji wyraz twarzy i taki sam ton głosu. - Uważam, że jesteście łatwowierni, że kłamiecie i że przyjechaliście tu po to, żeby pomagać czetnikom. Sądzę również, że nie najgorsza z ciebie aktorka.

- Brawo, Jamie! - odezwał się Petersen z aprobatą. - Masz rację co do jednego: ona jest faktycznie dobrą aktorką. Ale nie jest łatwowierna i nie kłamie. No, może raz czy dwa dla dobra sprawy. I nie przyjechała tu, żeby nas wspomagać.

Oboje, Sarina i Harrison, wpatrywali się w niego ze zdumieniem.

- Skądże, u licha, możesz wiedzieć?! - zdziwił się Harrison.

- Intuicja.

- Intuicja! - jak na Harrisona, zabrzmiało to niezwykle sardonicznie. - Jeśli twoja intuicja ma tę samą wartość co twoje sądy, to możesz ją z powodzeniem zasypać naftaliną. I nie próbuj odwieść mnie od tematu. Czy nigdy nie odczułeś ironii tego, że kiedy ty i twoi najdrożsi czetnicy - Harrison bardzo lubił słowo "najdroższy" i używał go z obraźliwą intencją, osiągając piorunujący efekt - otrzymywaliście broń i pieniądze od Niemców, Włochów i kislingowskiego serbskiego reżimu Nedicia, równocześnie też dostawaliście broń i pieniądze od swoich zachodnich sojuszników? Mało tego! Działo się to w czasie, gdy razem z Niemcami, Włochami i ustaszowcami biliście partyzantów, jedynych rzeczywistych sprzymierzeńców Wielkiej Brytanii w Jugosławii.

- Jeszcze kropelkę, Jamie?

- Dziękuję, George. - Harrison potrząsnął głową. - Wyznaję, że sam byłem w tym zagubiony, dosyć dokładnie zagubiony. Zrobiliście mi wodę z mózgu wy, czetnicy, do spółki z moimi rodakami. Czy naprawdę wszyscy mają klapki na oczach i nic nie widzą? Czy aż tak was knebluje i zaślepia ten

wszystko pochłaniający i źle pojęty patriotyzm? Czyżbyście byli aż tak ślepo oddani skompromitowanej koronie, że wasze niedowidzące oczy ogarniają już tylko dziesięciostopniowy wycinek rzeczywistości, nie domyślając się nawet istnienia pozostałych trzystu pięćdziesięciu stopni? A moi w Londynie? Czy im też zaćmiło wzrok? Na pewno. Na pewno, bo jak inaczej wyjaśnić ten niewytłumaczalny, kompletnie niezrozumiały idiotyzm, że nieustannie zaopatrują Mihajlovicia, mając pod nosem niezbite dowody na to, że Mihajlović czynnie kolaboruje z Niemcami.

- Założę się, że nie byłbyś w stanie tego powtórzyć - stwierdził z uznaniem Petersen. - Wielkie słowa, Jamie. Jak sam mówisz, wszystko sprowadza się chyba do kąta widzenia, wszystko tkwi w oku patrzącego. - Wstał, podszedł do kominka i usiadł koło Sariny. - To nie jest w gruncie rzeczy zmiana tematu. Będziemy rozmawiać o tym samym. Jak ci się podobała randka z Pułkownikiem dziś rano?

- Randka? Nie umawiałam się na żadną randkę. Michael i ja zameldowaliśmy się u niego i tyle. Sam nam kazałeś. Zapomniałeś już?

- Niczego nie zapomniałem. Ale ty chyba tak. Ściany mają uszy. Niezbyt to oryginalne, za to prawdziwe.

Rzuciła bratu szybkie spojrzenie i znów zwróciła się do Petersena:

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Ściany mają też oczy...

- Pan ją ciągle chce zastraszyć! Niech pan wreszcie przestanie! - krzyknął Michael.

- Zastraszyć? Stawiając zwykłe pytanie, usiłuję ją zastraszyć? Jeśli to się nazywa zastraszaniem, to chyba zacznę zaraz straszyć ciebie, i tobie dobioreę się do skóry. Bo ty też tam byłeś, prawda? Masz mi coś do powiedzenia? Jasne, że masz. Dobrze o tym wiesz. Znam z góry twoją odpowiedź. Twoją prawdziwą odpowiedź.

- Nie mam panu nic do powiedzenia! Nic! Zupełnie nic!

- Marny z ciebie aktorzyzna. No i jesteś przynajmniej o pięćdziesiąt procent zbyt gwałtowny.

- Mam tego dość, Petersen! - Michael oddychał szybko i płytko. - Dość tego ciągłego napastowania Sariny i mnie. - Zerwał się z miejsca. - Jeżeli sądzi pan, że będę patrzył...

- Będziesz siedział i będziesz patrzył, Michael. - George znalazł się za jego plecami i położył mu ręce na ramionach. - Będziesz siedział. - Michael usiadł. - Jeżeli nie umiesz być cicho, będę zmuszony związać cię i zakneblować. Teraz major Petersen zadaje pytania.

- Dobry Boże! - Harrison był oburzony. A może tylko tak wyglądał?

- To już jest przesada, muszę stwierdzić. Peter, nie sądzę, żebyś miał prawo...

- Jeśli i ty się nie zamkniesz - rzekł George znużonym głosem - z tobą zrobię to samo.
- Ze mną?! - Tym razem oburzenie było bez wątpienia prawdziwe. - Ze mną?! Z oficerem?! Z kapitanem wojsk Jego Królewskiej Mości?! Boże! Giacomo, jesteś Anglikiem, odwołuję się do twojego...
- Odmawiam. Ja osobiście nie uraziłbym honoru oficera, każąc mu się zamknąć, ale myślę, że major usiłuje coś ustalić. Może ci się nie podobać jego wojskowa filozofia, ale mógłbyś przynajmniej wysłuchać spokojnie argumentów. To samo radzę Sarinie. Sądzę, że oboje zachowujecie się głupio.

Harrison mruknął ze dwa razy: "Mój Boże" i umilkł.

- Dziękuję, Giacomo - powiedział Petersen. - Sarino, jeśli uważasz, że chcę cię dotknąć czy skrzywdzić, to rzeczywiście, jak powiedział Giacomo, jesteś niemądra. Ani bym chciał to zrobić, ani umiał. Chcę ci jedynie pomóc. Czy rozmawialiście z Pułkownikiem prywatnie?
- Rozmawialiśmy, jeśli o to ci chodzi.
- Naturalnie, że rozmawialiście. Jeżeli wydaję ci się nieco poirytowany, to chyba w pełni wytłumaczalne, prawda? O czym rozmawialiście? Może o mnie?
- Nie. Tak. To znaczy, między innymi...
- Między innymi - przedrzeźniał Petersen. - Między jakimi innymi?
- Między innymi sprawami. Tak w ogóle.
- Kłamiesz. Rozmawialiście tylko o mnie. No, może też trochę o pułkowniku Lunzie. Pamiętaj, że ściany mają uszy i oczy. I, oczywiście, zapomniałaś już, co mówiłaś, sprzedając mnie w tę pułapkę, w której teraz siedzę, co? Ile srebrników dał ci nasz dobry Pułkownik?
- Nie zrobiłam tego! - Jej oddech stał się krótszy, a wysoko na policzkach zjawiły się rumieńce. - Nie wydałam cię! Nie! Nie!
- A wszystko z powodu jednej, małej karteczki papieru. Mam nadzieję, że dobrze ci zapłacił, Sarino. Zarobiłaś te trzydzieści srebrników, zarobiłaś... Nie wiedziałaś, że później podniosłem tę karteczkę, co? - Wyciągnął z kieszeni kawałek papieru i rozłożył go. - Proszę bardzo, Sarino.

Wpatrywała się tępo w kartkę, potem takim samym wzrokiem spojrzała na Petersena. Wreszcie oparła łokcie na kolanach i skryła twarz w dłoniach.

- Nie wiem, co się tu dzieje - mówiła stłumionym głosem. - Już nie wiem. Wiem, że jesteś złym, podłym człowiekiem, ale cię nie wydałam.
- Wiem, że nie. - Wyciągnął rękę i łagodnie dotknął jej ramienia.
- Ja wiem, co tu się dzieje, Sarino, wiedziałem cały czas. Przykro mi, jeśli sprawiłem ci ból, ale

musiałem to od ciebie usłyszeć. Dlaczego od razu tego nie powiedziałaś? A może zapomniałaś już, co mówiłem ci nie dalej jak zeszłej nocy?

- Co zapomniałaś? - Odśloniła twarz i spojrzała na niego. Nie wiadomo, czy w jej brązowych oczach wciąż jeszcze tkwił tępy ból, gdyż błyszczwały w nich łzy.

- Jesteś za dobra, zbyt kryształowo uczciwa, by knuć coś za czyimiś plecami. Były trzy kartki: ta, którą oddałem Mihajloviciowi, ta, którą dał wam w Rzymie pułkownik Lunz, oraz ta tutaj, którą przed chwilą oglądałaś. Tę ostatnią sfabrykowałem jeszcze przed wyjazdem z Rzymu - niczego nie podnosiłem z ziemi po waszej rozmowie, Sarino...

- Sprytny jesteś, co? Ale sprytny! - Otarła już łzy. Jej oczy stały się znów wyraziste i wściekłe.

- Jakkolwiek by na to patrzeć, sprytniejszy od ciebie - odparł pogodnie Petersen. - Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Lunz podejrzewał, że mogę okazać się szpiegiem, podwójnym agentem, i że mogę sfalszować, spreparować, podmienić jego rozkazy. Ale nie zrobiłem tego, prawda? Rozkazy, które dałem Pułkownikowi, były dokładnie takie, jak trzeba, i zgadzały się z tymi, które mieliście wy. Oczywiście, cały paradoks w tym - ale ty jesteś przecież kobietą - że to cię rozzłościło. Gdybym był szpiegiem, jakimś nawróconym renegatem, co to przeszedł na stronę wroga, byłabyś wniebowzięta, zgadłem? Zaczęłabyś mnie może szanować, a nawet - kto wie - może byś mnie troszeczkę polubiła. Cóż, tymczasem okazałem się być zatwardziałym czetnikiem. Naturalnie wiedziałaś, że gdybym jednak zmienił rozkazy, Mihajlović kazałby mnie zlikwidować!

Zbladła nieco i przytknęła rękę do ust.

- Naturalnie nie wiedziałaś. Już nie tylko nie umiesz prowadzić podwójnej gry i myśleć jej kategoriami, ale nie potrafisz nawet przewidzieć, co stanie się z graczem, który grał za wysoko. Z drugiej strony, jak każda inteligentna dziewczyna... Ach, dajmy temu spokój. Mówiłem ci: w tym obrzydliwym świecie agentów myślenie zostaw tym, którzy myśleć potrafią. Dlaczego to zrobiłaś, Sarino?

- Dlaczego co zrobiłam? - Nagle wydała się całkowicie bezbronna. - O co mnie tym razem oskarżysz? - spytała bezbarwnie.

- O nic, moja droga, zaręczam, że o nic. Zastanawiałem się tylko, dlaczego... Chociaż właściwie nie. Jestem pewien, że już znam odpowiedź. Wiem, dlaczego zgodziłaś się na tajny pakt z Lunzem, na coś tak przeciwnego twojej naturze. Otóż był to dla ciebie jedyny sposób, żeby dostać się do Jugosławii. Gdybyś odmówiła, Lunz nie zezwoliłby ci na wyjazd. Tak więc sam sobie odpowiedziałem. - Wstał. - Wina, George! Wina! Po tej gadaninie zaschło mi w gardle.

Petersen podniósł kieliszek i zwrócił się do Harrisona: - Twoje zdrowie, Jamie. Zdrowie angielskiego oficera, rzecz jasna.

- Tak, tak, oczywiście. - Harrison wstał z trudem, chwytając kieliszek. - Oczywiście. Twoje zdrowie. Hm, no cóż, okoliczności łagodzące, stary. Skąd miałem wiedzieć, że...

- I dżentelmena.

- Ma się rozumieć, ma się rozumieć. - Harrison wciąż miał w głowie zamęt. - I dżentelmena, i dżentelmena...

- Czy zachowałeś się jak dżentelmen, Jamie, kiedy nazwałeś tę dziewczynę naiwną kłamczuchą, wspomóżycielką i pocieszycielką nas nieszczęsnych? Ta cudowna, czarująca dama nie tylko nie zasługuje na takie epitety, lecz jest wręcz kimś, kogo szukałeś: nie rojalistką, tylko prawdziwą, stuprocentową lojalistką, patriotką w najlepszym jugosłowiańskim wydaniu. Patriotką tak oddaną sercem partyzantom, jak oddanym może być tylko ktoś, kto ich nigdy na oczy nie widział. Dlatego właśnie ona i jej brat znieśli trudy podróży, aby - jak ty byś to górnolotnie ujął, Jamie - zaofiarować ojczyźnie swe usługi. Ojczyźnie, to znaczy partyzantom.

Harrison odstawił kieliszek, zbliżył się do siedzącej Sariny i nisko pochylony, uniósł jej dłoń, a potem ucałował.

- Pani oddany sługa.

- Czy to są przeprosiny? - zapytał George.

- Jak na angielskiego oficera przystało. Angielski oficer powiedziałby nawet, że nader szarmanckie przeprosiny - objaśnił Petersen.

- To nie on jest winien przeprosiny. - Michael wprawdzie jeszcze nie przestępował z nogi na nogę, ale wyglądał tak, jakby za sekundę miał zamiar to zrobić. - Majorze Petersen, chciałbym...

- Żadnych przeprosin, Michael - przerwał Petersen. - Nie przeprasza. Gdybym to ja miał taką siostrę, nie chciałbym nawet rozmawiać z jej dręczycielem, to jest ze mną. Zdzieraliłbym go w łeb tak, że nakryłby się nogami. Więc jeśli ja jej nie przeproszam, ty nie przepraszaj mnie.

- Bardzo dziękuję, sir. - Zawahał się. - Czy mogę spytać, od jak dawna wiedział pan, że ja i Sarina jesteśmy... No... wie pan kim.

- Od razu. Zacząłem podejrzewać, że coś tu jest nie tak, kiedy zobaczyłem was w Rzymie, w hotelu. Byliście oboje sztywni, nienaturalni, zakłopotani, pełni rezerwy, nawet agresywni. Bez uśmiechu na ustach, bez pieśni w sercu, żadnego zapału, żadnego młodzieńczego entuzjazmu właściwego ludziom, którzy dziarsko kroczą w pełną chwały przyszłość. Superostrożni, superpodejrzliwi - absolutnie niewłaściwa postawa. Nawet wymachując czerwoną flagą, nie zwrócilibyście bardziej mojej uwagi na to, że coś wam ciąży na duszy. Wasza przeszłość jawiła się nienaganna, więc było oczywiste - i wkrótce się sprawdziło - że wasz niepokój może dotyczyć wyłącznie przyszłych kłopotów. Zamartwiać się mogliście na przykład tym, jak, znalazłszy się w naszej kwaterze głównej, traficie do partyzantów. Twojej siostrze, Michael, nie trzeba było wiele czasu, żeby się zdradzić. Stało się to w górskiej gospodzie, gdzie usiłowała we mnie wmówić, że sympatyzuje z rojalistami. Twierdziła, że swego czasu przyjaźniła się z królem Piotrem, wtedy jeszcze księciem.

- Nic podobnego! - Jej oburzenie nie brzmiało przekonująco. - Spotkałam go kilka razy i tyle.

- Sarina... - upomniał ją z łagodnym wyrzutem.

Nie odpowiedziała.

- Ile razy mam ci powtarzać...

- No już dobrze, dobrze - burknęła.

- W życiu go nie spotkała. Razem ze mną ubolewała nad jego chromą nogą, tymczasem nasz młodzieniec jest zdrow jak ryba! Nawet nie wie, jak chroma noga wygląda! Ano tak. Pewnie to interesujące, ale obawiam się, że rozważania te są czysto teoretyczne.

- Nie byłbym taki pewien - odezwał się Giacomo. - Dla mnie to nie tylko teoria. - Uśmiechnął się po swojemu, chociaż w tych szczególnych okolicznościach trudno by dociec dlaczego. - A jednak mimo wszystko poteoretyzujemy troszkę. W zupełności zgadzam się z tymi dzieciakami. Przepraszam, z Sariną i Michaelem. Nie chcę walczyć. To znaczy nie chcę walczyć w tych cholernych górach. Morze Egejskie i Królewska Marynarka wystarczą mi w zupełności, dziękuję bardzo. Ale gdybym musiał, to tylko u boku partyzantów.

- Zupełnie jak Jamie - skomentował Petersen. - Jeśli już kogoś bić, to tylko Niemców, co?

- Zdawało mi się, że tam, w hotelu Eden, wyraziłem się dość jasno...

- Owszem. Teraz ja sobie poteoretyzuję. No i co dalej? Jak dołączysz do tych leśnych bohaterów?

- Poczekam, aż stąd zwiejemy.

- Możesz czekać w nieskończoność.

- Peter... - W głosie Harrisona zabrzmiało rozpaczliwe błaganie - wiem, że nic nam już nie jesteś winien, że nie jesteś już za nas odpowiedzialny, ale przecież musi być jakiś sposób! Chociaż różnymi się poglądami, w tarapaty wpadliśmy wszyscy razem. No, Peter, później starczy czasu na rozstrzygnięcie sporów. A teraz cóż, człowiek tak niebotycznie zaradny i...

- Jamie - przerwał mu łagodnie Petersen. - Czyżbyś nie widział tego muru dzielącego naszą izbę? George, Alex i ja stoimy po jednej stronie, wasza piątka po drugiej. W każdym razie ty, von Karajanowie i Giacomo. Nie wiem nic o Lorraine. Mur jest na milę wysoki, Jamie, nie uda się go przeskoczyć.

- Rozumiem, co Peter chce nam powiedzieć, kapitanie, powiedział Giacomo. - Fakt, tego muru nie da się przeskoczyć. Nie mówiąc o tym, że moja duma by mi na to nie pozwoliła. Ale, majorze, nie wyjaśnił pan wszystkiego do końca i muszę przyznać, że to nie w pańskim stylu. Bo co z Lorraine? Czy ona mieści się w którejś z grup? Żebyśmy wiedzieli.

- Lorraine? Nie wiem. Nie obraż się, Lorraine, ale nie chcę wiedzieć. To mnie nie obchodzi. Już nie.
- Usiadł z kieliszkiem w ręku i zamilkł. Po raz pierwszy w ich obecności major popadł w milczącą zadumę.

Zapadła cisza od czasu do czasu przerywana jedynie charakterystycznym bulgotaniem, z którym George napełniał winem puste kieliszki. Cisza przeciągała się nienaturalnie, przeciągała, aż wreszcie, nagle i ostro, odezwała się Lorraine:

- Co się stało? Chcę wiedzieć, co się stało?

- Do mnie mówisz? - ocknął się Petersen.

- Tak. Gapisz się na mnie. Cały czas się na mnie gapisz.

- To, że ktoś znalazł się po niewłaściwej stronie barykady nie znaczy, od razu, że stracił dobry gust - powiedział Giacomo.

- Patrzyłem na ciebie nieświadomie - odrzekł Petersen. Uśmiechnął się. - Poza tym, jak zauważył Giacomo, nie jest to niemiłe. Przepraszam. Byłem gdzieś bardzo, bardzo daleko stąd.

- A propos gapienia się - rzekł pogodnie Giacomo. - Sarinie też nieźle to wychodzi. Nie oderwała od ciebie wzroku od chwili, gdy zastygłeś w pozie a la "Myśliciel" Rodina. Czuję tu jakieś silne prądy. Wiesz, co ja myślę? Myślę, że ona myśli.

- Cicho bądź, Giacomo. - Była chyba naprawdę zła.

- Sądzę, że wszyscy o czymś myślimy - odparł Petersen. - Bóg jeden wie, że mamy o czym. Ty, Jamie, popadłeś w jakieś straszliwe przygnębienie. Co ci? Światła wielkiego miasta? Nie. Białe skały Dover? Nie. Ach! Światełko domu...

Harrison uśmiechnął się tylko w milczeniu.

- Jaka ona jest, Jamie?

- Jaka jest? - Znów się uśmiechnął, wzruszył ramionami i spojrzał na Lorraine.

- Jenny jest cudowna - odparła cicho Lorraine. - Myślę, że jest najcudowniejszą osobą na świecie. Jest moją najlepszą przyjaciółką i James w ogóle na nią nie zasługuje. Warta jest dziesięciu takich jak on.

Harrison uśmiechnął się jak człowiek bardzo z siebie zadowolony i wyciągnął rękę po kieliszek z winem; jeśli poczuł się dotknięty, umiał to ukryć.

Petersen odwrócił wzrok, a kiedy przypadkowo musnął spojrzeniem Giacomo ten, prawie niezauważalnie, skinął głową. Petersen uśmiechnął się lekko i popatrzył w inną stronę.

Minęło jeszcze dwadzieścia minut częściowo na chaotycznej rozmowie, lecz głównie w ciszy - aż nagle drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Edvard.

- Major Petersen!

Petersen wstał. Giacomo chciał coś powiedzieć, lecz major powstrzymał go.

- Nic nie mów. Wiem, będą miażdżyć mi palce.

Wrócił za niespełna pięć minut. Giacomo zdawał się być tym rozczarowany.

- I co? Palce całe?

- Jakoś całe. Mam ochotę ci powiedzieć, że wnoszą właśnie imadło, i że teraz twoja kolej, ale nie, nie wnoszą. Za to jest twoja kolej.

Giacomo wyszedł.

- Jak było? Czego chcieli? - wypytywał Harrison.

- Zwyczajnie, po ludzku. Bardzo grzecznie. Tego właśnie należało się spodziewać po Crnim. Mnóstwo pytań, w tym sporo osobistych, ale podałem tylko nazwisko, stopień i numer pułku, czyli wszystko, co zgodnie z prawem może ujawnić jeniec wojenny. Nie naciskali. Giacomo wrócił jeszcze szybciej.

- Zawiodłem się - narzekał - bardzo się zawiodłem. Nie nadawaliby się do hiszpańskiej Inkwizycji. Życzą sobie teraz pana oglądać, kapitanie Harrison.

Harrison zabawił poza izbą niewiele dłużej niż jego poprzednicy. Wrócił głęboko zamyślony.

- Teraz ty, Lorraine. - Ja? - Stała niezdecydowana. - Cóż, jeśli sama nie pójdę, oni przyjdą po mnie...

- Byłoby to szalenie niestosowne z twojej strony, Lorraine - wtrącił Petersen. - Myśmy przeżyli. Co tam jaskinia lwa dla takiej Angielki jak ty!

Kiwnęła głową i wyszła. Bardzo niechętnie.

- No i jak, Jamie? - zapytał Petersen.

- Układna gromadka, jakbyś powiedział. Zaskakująco dużo o mnie wiedzą. I żadnych podtekstów natury wojskowej. Ja przynajmniej ich nie wychwyciłem.

Lorraine zniknęła na dobry kwadrans. Kiedy wróciła, była blada i chociaż nie dało się zauważyć łez na jej policzkach, z pewnością musiała płakać. Sarina obrzuciła wzrokiem Petersena, Harrisona i Giacomo, pokręciła głową i objęła Lorraine ramieniem.

- Ależ oni są odważni, prawda, Lorraine? Jacy rycerscy, jacy troskliwi. - Posłała im mordercze spojrzenie. - A może są tylko tacy nieśmiali? Kto następny?

- Nikt. Nie chcieli nikogo.

- Co oni ci zrobili, Lorraine?

- Nic. Pytasz, czy... Nie, nie, nie dotknęli mnie palcem. Tylko niektóre z ich pytań... - Głos jej się załamał. - Przepraszam, Sarino, wolałabym o tym nie mówić.

- Maraschino - zarządził George autorytatywnie. Ujął Lorraine pod ramię, posadził ją i wyciągnął rękę z małym kieliszkiem. Przyjęła poczęstunek, uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale bez słowa.

Wszedł Crni w towarzystwie Edvarda. Po raz pierwszy, odkąd go spotkali, zdawał się być rozluźniony i uśmiechnięty.

- Mam dla państwa nowinę. Mam nadzieję, że uznacie ją za dobrą.

- Nawet nie jesteście uzbrojeni - zauważył George. - Skąd wiecie, że nie połamiemy wam wszystkich kości? Albo jeszcze lepiej - użyjemy was jako zakładników i uciekniemy, co? Jesteśmy zdecydowani na wszystko.

- Zrobiłby to pan, profesorze?

- Nie. Kropelkę wina?

- Dziękuję, profesorze. Dobra wiadomość, przynajmniej ja uważam, że dobra, dla von Karajanów, kapitana Harrisona i Giacomo. Przykro mi, że musieliśmy posłużyć się drobnym wybiegiem, ale wybieg był niezbędny w tych okolicznościach. Nie należymy do dywizji Murge. Dzięki Bogu, nie jesteśmy nawet Włochami. Jesteśmy zwykłymi, szeregowymi członkami grupy zwiadowczej partyzantów. - Partyzanci...

- w głosie Sariny nie słychać było ożywienia, jedynie oszołomienie pomieszane z niedowierzaniem.

- To prawda. - Crni uśmiechnął się lekko.

- Partyzanci... - Harrison pokręcił głową. - Tam do licha! Partyzanci. Coś takiego. No tak, fakt... - Kręcił głową i wreszcie krzyknął o oktawę wyżej: - Partyzanci!

- Czy to prawda?! - Sarina chwyciła Crniego za ramiona i potrząsnęła nim. - Czy to prawda?!

- Szczera prawda.

Spojrzała mu w oczy, jakby tam chciała znaleźć prawdę, nagle objęła go ramieniem i uścisnęła. Na chwilę zamarła w bezruchu, wreszcie puściła go i zrobiła krok do tyłu.

- Przepraszam. Nie powinnam była tego robić.

- Nie ma takiego przepisu, który zabrania młodemu rekrutowi płci żeńskiej wyściskać oficera. Hmm, oczywiście pod warunkiem, że nie stanie się to nagminne.

- To też, naturalnie... - Uśmiechnęła się niepewnie.

- "Też"? A jest coś jeszcze?
- Nie, właściwie nie. Bardzo się cieszymy.
- Cieszymy się?! - powtórzył za nią Harrison. - Cieszymy się!
- Gdy pierwszy szok minął, kapitan wpadł w stan graniczący z euforią.
- Toż to nic innego jak litościwa Opatrzność was nam zesłała! - Żadna litościwa Opatrzność, kapitanie, raczej depeza radiowa. Kiedy mój dowódca mówi mi "ruszaj", wtedy ruszam. To jest to "coś jeszcze", o czym nie chciała pani mówić, panno von Karajan. Pani obawy są bezpodstawne. Regulamin zabrania mi strzelać do własnego szefa.
- Pańskiego szefa? - Spojrzała na niego, później na Petersena i znów na Crniego. - Nie rozumiem.
- Masz absolutną rację, Peter. I ty też, Giacomo. W tej "gromadce" ze świecą szukać materiału na agenta. Gdyby było inaczej, nie musielibyśmy im niczego wkładać łopata do głowy. Obydwaj jesteście partyzantami. Obydwaj pracujemy w wywiadzie. Ja jestem młodszym oficerem. On jest zastępcą szefa. Teraz wszystko powinno być już jasne.
- Absolutnie. - George wręczył Crniemu kieliszek. - Twoje wino, Ivan. - Odwrócił się do Sariny. - W gruncie rzeczy on nie lubi, jak się go nazywa Crni. I nie zaciskaj tak pięści. No dobrze już, dobrze. Ujmując rzecz zwięźle: takie jest życie. Decyzja, co? Teraz decyzja. Pocałować go, czy uderzyć? - Kpiarski ton zniknął z głosu George'a. - Jeśli wściekasz się, bo cię wystrychnięto na dudka, to jesteś głupia. Nie było innego sposobu. Ty i twoja zraniona duma. Masz już swoich partyzantów, a on nie stanie przed plutonem egzekucyjnym. No i co? Nie umiesz się cieszyć, dziewczyno? A może w sercach młodych, zepsutych arystokratów nie ma miejsca na takie uczucia jak ulga i wdzięczność?
- George! - Wstrząsnęły nią nie tyle jego słowa, co niesłyszany dotąd ton głosu. - George! To aż taka ze mnie egoistka?
- Nic podobnego. - Natychmiast wrócił mu dobry humor. Ścisnął ją za ramiona. - Tylko tak sobie myślałem, że zepsułoby to nastrój chwili, gdybyś podbiła teraz oko Peterowi. - Spojrzał na Harrisona. Harrison, oparłszy się czołem i ramionami o blat stołu, cicho uderzał weń pięścią i coś tam mruczał pod nosem. - Coś ci jest, kapitanie Harrison?
- Mój Boże! Mój Boże! Mój Boże! - powtarzał i dalej walił pięścią w stół.
- Śliwowicy? - zaproponował George.

Harrison uniósł głowę.

- A najgorsze w tym wszystkim jest to, że mam genialną pamięć. Dlatego świetnie zdawałem egzaminy - dodał bez związku. - Pamiętam każde słowo tego mojego przemówienia. O patriotyzmie, o obowiązku, o lojalności, o krótkowzroczności i idiotyzmie. Nie mogę tego dalej wyliczać, nie mogę, nie mogę!

- Nie rób sobie takich wyrzutów, Jamie - pocieszał go Petersen. - Pomyśl, jak to wpłynęło na nasze morale.
- Gdyby na tym świecie istniała sprawiedliwość i współczucie, w tej chwili ziemia powinna się zapaść pode mną - jęczał Harrison. - Angielski oficer! Nazywałem tak siebie dając tym samym do zrozumienia, że innych tu nie ma. Doskonały obserwator, sprawnie analizujący i świetnie oceniający sytuację! Mój Boże! Genialna pamięć, słowo honoru. Genialna pamięć. Co za przekleństwo.
- Żałuję, że nie miałem okazji tego słyszeć - ubolewał Crni.
- Szkoda - zgodził się Petersen. Ale nic straconego. Słyszałeś przecież, Jamie ma genialną pamięć. Może ci to w każdej chwili odtworzyć słowo w słowo.
- Nie kop leżącego - jęknął Harrison. - Słyszałem, co mówiłeś Sarinie, George, ale i tak mam wam za złe. Wystawili mnie do wiatru, wystawili mnie rufą do wiatru. Mam wam podwójnie za złe, bo Peter mi nie ufał. Ale, Giacomo, zaufałeś, co? On wiedział.
- Nic mu nie mówiłem - zaprzeczył Petersen. - Sam zgadł. Jest żołnierzem.
- A ja nie? No tak, ja z pewnością nie. Jak odgadłeś, Giacomo?
- Słyszałem to, co wszyscy. Słyszałem, jak mówił, a właściwie dawał do zrozumienia kapitanowi Crni, że zamiar związania nas przed zejściem z góry jest niebezpieczny. Kapitan Crni nie jest z tych, którym można rozkazywać, czy coś sugerować. No i domyśliłem się.
- Jasne, Nie wpadłem na to. Więc nikomu z nas nie ufałeś, Peter?
- Nie. Musiałem najpierw wiedzieć, z kim mam do czynienia. Już w Rzymie zdarzyło się wiele dziwnych rzeczy, a w drodze powrotnej nastąpił ciąg dalszy. Musiałem się upewnić. Na moim miejscu zrobiłbyś to samo.
- Ja?! Przede wszystkim niczego dziwnego bym nie zauważył. Kiedy zdecydowałeś się, że możesz już mówić? I dlaczego w ogóle zdecydowałeś się mówić? Mój Boże, jak się nad tym zastanowić, to kiedy ty właściwie mogłeś swobodnie mówić? Słowo honoru, nie wyobrażam sobie czegoś podobnego, po prostu nie wyobrażam. A ty, Sarino? Cały czas musisz kłamać, otoczona wrogami. Jeden fałszywy krok, jedno nieprzewidziane potknięcie i bach! A on prawie połowę czasu spędzał z nami!
- Za to drugą połowę wśród swoich. Wywczasy, można by rzec.
- Wywczasy! Boże drogi! Wiedziałem - nie znamy się zbyt długo - ale wiedziałem, że jesteś jakiś taki inny. To... To jednak przerasta moją wyobraźnię. I on, ktoś taki jak on, jest tylko zastępcą szefa! Chciałbym spotkać faceta, do którego mówisz "szefie".
- Tak się do niego nie zwracam. Nazywam go bardzo różnie, ale nie tak. Chciałbyś go spotkać, mówisz? Żaden kłopot. Już go spotkałeś. Nawet udało ci się go scharakteryzować. Duży, gruby

pajac, naiwny i nierozgarnięty, trawiący czas na bujaniu w obłokach... A może na przechadzkach w gajku Akademososa? Nie pamiętam.

Harrison rozlał na stole zawartość kieliszka. Był zupełnie oszołomiony.

- Nie wierzę - wysapał.

- Nikt w to nie wierzy. Ja jestem tylko jego prawą ręką w sekcji działań polowych. Jak wiesz, George rzadko mi towarzyszy. Tym razem rzecz miała się inaczej, bo też i zadanie było niezwyklej wagi. A spraw niezwyklej wagi nie powierza się takim fuszerom jak ja.

Michael zbliżył się do George'a z zalęknionym niedowierzaniem na twarzy.

- Ale w Mostarze mówił mi pan, że jest pan... starszym sierżantem.

- Małe kłamstewko. - George zrobił gest ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy. - Nieuchronne w naszym fachu. Mam na myśli małe kłamstewka. Zazaczyłem jednak, że starszym sierżantem jestem tylko czasowo. To się zgadza. Tak naprawdę mam stopień generała brygady.

- O Boże! - Ta wiadomość kompletnie zmiażdżyła Michaela.

- Chciałem powiedzieć: "sir".

- Nie, tego już za wiele! - Harrison nie zauważył nawet, że George znów napelnił elegancko kieliszek. - Naprawdę za wiele. Skołowany umysł nie jest w stanie tego objąć. Może w gruncie rzeczy nie mam znów takiego umysłu? Jeśli mi zaraz powiecie, że Adolf Hitler to ja, gotów jestem poważnie rozważyć taką ewentualność. - Spojrzał na George'a, potrząsnął głową i do połowy opróżnił kieliszek. - Macie przed sobą człowieka usiłującego wrócić do rzeczywistości. No dobrze. O czym to ja... Aha, już wiem. Pytałem, kiedy uznałeś, że możesz zacząć mówić.

- Kiedy mi powiedziałaś - ty albo Lorraine - o Jenny.

- Aha... No tak. O Jenny. Rozumiem. - Było oczywiste, że nic nie rozumiał. Nagle otrząsnął się. Dosłownie się otrząsnął. - Cóż, do licha, ma z tym wspólnego Jenny?

- Bezpośrednio? Nic.

- Jenny... Lorraine, wciąż mi chodzi po głowie pytanie, które zadał kapitan Crni.

- Jakie pytanie, James? - spytała cicho Lorraine.

- Zapytał, czy znam Giancarla Tremino. No wiesz, Carlosa. Oczywiście, znam go bardzo dobrze - odpowiedziałem. - Spuścił wzrok i spojrzał na swój kieliszek. - Może nie powinienem był nic mówić. W końcu nie torturowali mnie, ani nic. Może nie mam znów takiego umysłu w gruncie rzeczy...

- To nie twoja wina, James - rzekła Lorraine. - Skąd miałeś wiedzieć? Poza tym, nic złego się nie

stało.

- Skąd wiesz, że nic się nie stało, Lorraine? - w głosie Sariny zabrzmiała gorycz. - Wiem, że to nie była wina kapitana Harrisona. I wiem, że tak naprawdę to nie kapitan Crni zadawał mu pytania. Czyżbyś nie wiedziała, że major Petersen zawsze dowie się tego, na czym mu zależy? Czy mamy się nadal uważać za więźniów, kapitanie Crni, i tkwić w tym pokoju?
- Wielki Boże! Skądże znowu! Jeśli o mnie chodzi, macie cały dom do dyspozycji. Zresztą proszę mnie już nie pytać. Major Petersen tu rządzi.
- A może ty, George? - Uśmiechnęła się blado. - Przepraszam. Nie zdążyłam się jeszcze przyzwyczaić do "panie generale".
- Szczerze mówiąc ja też nie. Niechaj zostanie "George". Odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech i pogroził palcem. - Nie próbuj mi tu siać fermentu w szeregach! Poza moją kwaterą główną, którą jest aktualnie opuszczony szałas pasterski niedaleko Bihacia, jedynym dowódcą jest Peter. Ja tylko podaję ogólne wytyczne i później już się nie wtrącam. Jeśli ktoś wie, że mu do pięt nie dorasta - a ja mam na tyle rozumu, by wiedzieć - to nie powinien wtrącać się w to, co robi najlepszy w branży specjalista od zadań polowych.
- Czy mogłabym zamienić z panem słówko, majorze? W hallu? - zapytała Sarina.
- Źle mi to wróży - mruknął i wziął do ręki kieliszek - bardzo źle... - Wyszedł za nią do pokoju i zamknął za sobą drzwi. - Co znowu?
- Nie bardzo wiem, jak to powiedzieć. Myślę, że... - zawahała się.
- Jeśli nie wiesz, co chcesz powiedzieć i dopiero się nad tym zastanawiasz, to po co marnujesz mój czas i to w tak melodramatyczny sposób? - To nie jest ani głupie, ani dramatyczne! I nie dam się wyprowadzić z równowagi. To, co przed chwilą od ciebie usłyszałam, dokładnie cię podsumowuje. Wywyższający się nad innych, cięty, pogardliwy, nie tolerujący niczyich błędów ani słabości, a z drugiej strony umiesz przecież być troskliwy i dobry jak nikt. To nie tylko to, że jesteś nieznośny. Jesteś jedną wielką niewiadomą. Taki Jekyll i Hyde. Lubię i podziwiam tę część, która jest doktorem Jekylllem. Jesteś odważny, George mówi, że błyskotliwy, podejmujesz się nieprawdopodobnie ryzykownych misji, które wykończyłyby kogoś takiego jak ja, no a najważniejsze, że doskonale umiesz opiekować się ludźmi. Tak czy siak, już wczoraj wieczorem wiedziałam, że nie jesteś jednym z nich.

Uśmiechnął się.

- Nie chcę, żebyś mi znów naopowiadała jaki to ja jestem okropny i dlatego nie powiem, że taka mądra stałaś się po fakcie.
- Mylisz się - odparła spokojnie. - Przyszło mi to go głowy, kiedy major Metrović mówił wczoraj wieczorem o pięcie Achillesowej Tity, o braku mobilności jego oddziałów, o trzech tysiącach rannych żołnierzy. W każdej cywilizowanej wojnie - jeśli coś takiego w ogóle istnieje - tych ludzi

zostawiono by wojskom nieprzyjacielskim, a te udzieliłyby im pomocy lekarskiej. Ale to nie jest cywilizowana wojna. Zmasakrowano by ich. Ty nie mógłbyś mieć nic wspólnego z takimi ludźmi.

- Dobra, mam swoje plusy, ale nie po to mnie stamtąd wyciągnęłaś, żeby je wyliczać.

- Nie. To ten cały Hyde, który w tobie siedzi. Och, nie chcę wygłaszać kazań, ale to mi się w tobie nie podoba. Boli mnie i zdumiewa, że ktoś, kto umie być taki dobry, potrafi być pod innymi względami zimny, nieprzystępny i tak obojętny, że aż nieludzki.

- O masz! Albo jakby to ujął Jamie: proszę, proszę.

- Kiedy to prawda. Żeby osiągnąć cel, gotów jesteś być - ba! po prostu jesteś! - tak obojętny wobec ludzkich uczuć, że aż okrutny.

- Chodzi ci o Lorraine?

- Tak, o Lorraine.

- No, no, no... Wziąłem za pewnik, że dwie śliczne dziewczyny automatycznie nabierają do siebie niechęci.

Chwyliła go za ramiona.

- Nie zmieniaj tematu!

- Muszę opowiedzieć o tym Alexowi.

- Co opowiedzieć? - spytała ostrożnie.

- On uważa, że nie znosicie się z Lorraine.

- Powiedz mu, że jest głupi. Ona jest wspaniała. A ty jej rozdierasz serce.

Petersen pokiwał głową.

- Fakt. Ktoś rozdiera jej serce, ale nie ja.

Przysunęła się bliżej i z napięciem zajrzała mu w oczy, koncentrując wzrok na jednym, później na drugim, jakby miała nadzieję, że to pomoże jej znaleźć prawdę.

- A kto? - zapytała.

- Gdybym ci powiedział, poleciałabyś od razu do Lorraine i wypaplałabyś wszystko.

Nic nie odpowiedziała, tylko wciąż wpatrywała się intensywnie w jego twarz.

- Ona wie kto, ale nie chcę, by myślała, że wszyscy o tym wiedzą - dodał.

Odwróciła wzrok.

- Dwie uwagi. Może gdzieś tam, na dnie serca, masz jakieś tkliwsze uczucie. - Znowż ząjrzała mu w oczy. Uśmiechnęła się. Leciutko. - No i nie ufasz mi, prawda?
- Chciałbym.
- Spróbuj.
- Lorraine jest dobrą uczciwą angielską patriotką i pracuje dla włoskiego wywiadu. Konkretnie dla majora Cipriano. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jest odpowiedzialna - choć nie bezpośrednio - za śmierć bliżej nie określonej liczby moich rodaków.
- Nie wierzę w to! Nie wierzę! - W jej szeroko otwartych oczach zjawiło się przerażenie i głos jej się załamał. - Nie wierzę! Nie wierzę!
- Wiem, że nie wierzysz - odparł łagodnie Petersen. - Bo nie chcesz wierzyć. Ja sam też nie chciałem. Ale teraz wierzę, bo potrafię to udowodnić. Czy uważasz mnie za takiego dumia, który twierdzi, że może coś udowodnić, kiedy nie może? A może to ty mi nie wierzysz?
- Nie wiem, w co wierzyć - wyrzuciła z siebie jednym tchem.
- A nie! Właśnie, że nie! Wiem! Wiem! Nie wierzę, że Lorraine jest taka, jak mówisz!
- Bo zbyt cudowna, uczciwa, zbyt dobra, zbyt lojalna?
- Tak! Właśnie dlatego! Właśnie w to wierzę!

Mocniej zacisnęła dłonie na jego ramionach. Patrzyła na niego niemal błagalnie.

- Proszę cię. Proszę cię, nie żartuj sobie ze mnie.
- Szantażują ją.
- Szantażują?! Szantażują! Kto ją szantażuje? - Odwróciła wzrok, chwilę milczała i znowż spojrzęła na niego. - To ma jakiś związek z Carlosem, tak?
- Tak. Pośrednio. - Przyjrzał się jej z zaciekawieniem. - Jak na to wpadłaś?
- Bo jest w nim zakochana - odparła niecierpliwie.
- A ty skąd wiesz?! - Tym razem Petersen nie ukrywał zdumienia.
- Jestem kobietą.
- Ach tak. To wyjaśnia wszystko.
- No i jeszcze dlatego, że zleciłeś kapitanowi Crni, żeby zapytał ją o Carlosa. Ale wiedziałam już

wcześniej. Wszyscy to chyba zauważyli.

- Masz tu właśnie takiego, który nie zauważył. - Zastanawiał się chwilę. - Cóż, spóźniony refleks. Kiedy teraz patrzę wstecz, to rzeczywiście... Mówiłem jednak, że tylko pośrednio. Nikt nie byłby na tyle głupi, żeby użyć Carlosa jako narzędzia szantażu. Szybko by się okazało, że trzymają w rękach obosieczny miecz. Ale tak, z całą pewnością Carlos jest w to zamieszany.

Sarina była już w takim stanie, że udało się jej nim potrząsnąć; niełatwe to, zważywszy posturę majora.

- Mów, kto jeszcze? Kto jeszcze jest w to zamieszany?

- Wiem, albo tylko mi się tak wydaje. Nie mam żadnego dowodu.

- Co ci się wydaje? Mów!

- Uważasz, że ponieważ Lorraine jest uczciwa, dobra i lojalna, to wiodła nieskazitelne życie i nie może mieć żadnych grzechów do ukrycia?

- Mów dalej.

- Ja też nie sądzę, żeby miała jakieś grzechy na sumieniu. Chyba, że grzechem jest mieć nieślubne dziecko. Uważasz to za grzech? Ja nie.

Oderwała prawą rękę od jego ramienia i zasłoniła nią usta. Była wstrząśnięta nie jego słowami, ale tym, co z nich mogło wyniknąć.

- Carlos jest lekarzem - mówił Petersen zmęczonym głosem i po raz pierwszy od chwili ich spotkania tak właśnie wyglądał. - Dyplom robił w Rzymie. Lorraine mieszkała z nim w czasach, gdy była sekretarką Jamiego Harrisona. Mają dwuipółrocznego synka. Moim zdaniem dziecko zostało porwane. Nabiorę stuprocentowej pewności, kiedy przyłożę nóż do gardła Cipriano.

Wpatrywała się w niego w milczeniu. Dwie łzy wolno spływały jej po policzkach.

Rozdział VIII

O godzinie dziewiątej następnego ranka Jablanica wyglądała jak bajkowy widoczek przeniesiony z bożenarodzeniowej kartki świątecznej. Była aż nieprawdziwa w swojej zapierającej dech urodzie. Śnieg przestał padać, chmury zniknęły, na czystym, bladoniebieskim niebie świeciło słońce, a na bezwietrznych wzgórzach, gdzie drzewa ugiwały się pod ciężarem białych czap, powietrze było rześkie, kryształowo czyste i bardzo zimne. Brakowało tylko dzwoneczków sań, by

iluzja się dopełniła. Ale to nie bożenarodzeniowe życzenia pokoju wszystkim ludziom dobrej woli były tematem rozmyślań zebranych przy śniadaniowym stole.

Pochylony nad stygnącą kawą Petersen oparł głowę na dłoni i najwyraźniej oddawał się kontemplacji. Pierwszy odezwał się Harrison, na którym o dziwo - nie widać było skutków znacznych ilości wina koniecznego, jego zdaniem, by utopić smutek i zmusić się do powrotu do rzeczywistości.

- Dam parę groszy za twoje myśli, stary - powiedział.

- Parę groszy? Dla tych, których dotyczą, byłyby o wiele, wiele cenniejsze. Tu śpieszę dodać, że nie są związane z siedzącymi przy stole.

- Mało tego, że jesteś cały zadumany, wyczuwam jeszcze trudny do określenia spadek zwykłej dla ciebie wczesnoporannej werwy, tryskającej energii. Miałeś kłopoty z zaśnięciem? Może to nowe miejsce?

- Ponieważ prawie całe życie co noc sypiam w nowym miejscu, trudno w tym upatrywać przyczyny. Gdyby tak było, już od dawna bym nie żył. Nie, to nie to. Całą noc siedziałem przy radiostacji, na zmianę z Georgem i Ivanem. Nie mogliście tego słyszeć, ale w nocy mieliśmy długą i gwałtowną burzę - stąd dzisiaj bezchmurne niebo. Ta burza praktycznie uniemożliwiła zarówno odbiór jak i nadawanie.

- No tak, to wszystko wyjaśnia. Czy na miejscu byłoby pytanie, z kim rozmawialiście w czasie długiego, nocnego czuwania?

- Oczywiście. Żadnych tajemnic, żadnych tajemnic. - Niedowierzanie na twarzy Harrisona gościło tylko przelotnie i kapitan powstrzymał się od komentarza. - Musieliśmy, naturalnie, skontaktować się z naszą kwaterą główną w Bihaciu i uprzedzić ich o nadciągającym ataku. Już samo to zajęło nam prawie dwie godziny.

- Trzeba było skorzystać z mojego nadajnika - rzekł Michael. - Ma niesamowity zasięg.

- Próbowaliśmy. Z takim samym skutkiem.

- Aha... No to może powinien pan być wypróbować mnie? W końcu znam ten sprzęt.

- Naturalnie. Jednak nasi ludzie w Bihaciu nie znają Nawajo, a to jedyny kod, jakim umiesz się posługiwać.

Michael patrzył na niego z otwartymi ustami.

- Skąd pan o tym wie, u licha? Przecież nie zabrałem z sobą żadnych książeczek kodowych! - Poklepał się w głowę. - Wszystko jest tutaj.

- Nadawałeś wiadomość w chwilę po tym, jak wyszliśmy z Lunzem z pokoju, tak? Możesz być doskonałym radiooperatorem, ale nie powinno się ciebie wypuszczać samopas.

- Nie zapominaj, że i ja tam byłam - odezwała się Sarina.
- Ciebie też nie można wypuszczać bez niańki. Założę się, że nie sprawdziliście nawet, czy nie założono tam podsłuchu.
- Chryste Panie! - Michael spojrział na siostrę. - Podsłuch! Czy wiedzieliście.... Skąd mogliście wiedzieć, że zatrzymamy się...
- Podsłuch mógł tam być, ale go nie było. George stał na balkonie.
- George!
- Nadawałeś otwartym tekstem - mówił dalej Petersen. - George twierdził, że w żadnym z europejskich języków, jakie kiedykolwiek słyszał. Miałeś amerykańskiego instruktora, tak? Amerykanie pracują w radosnym przeświadczeniu, że Navajo jest nie do złamania.
- Teraz mi o tym mówisz... - mruknął George, nie wyglądało na to, by się zdenerwował.
- Przepraszam. Tyle różnych spraw... Zapomniałem.
- Biegłości Petera jako agenta wywiadu dorównuje jedynie jego finezja w dziedzinie kodów, kodowania i rozkodowywania - powiedział George. - Obie umiejętności idą ręką w rękę. On wciąż wymyśla nowe kody i łamie kody. Pamiętacie, jak mówił, że Niemcy dwukrotnie rozgryźli szyfr czetników? To nie oni. Peter im to podsunął. Tyle że oni o tym nie wiedzą. Nie ma to jak siać niezgodę między sojusznikami.
- Skąd wiecie, że Niemcy nie przechwycili waszego tekstu tej nocy i że go nie rozszyfrują?
- Niemożliwe. Tylko dwaj ludzie znają moje kody: ja i mój odbiorca. Nigdy dwa razy nie nadaję tym samym systemem. Wtedy nie sposób go złamać.
- No świetnie - rzekł Harrison. - Nie chcę się czepiać, stary, ale czy ta informacja w ogóle przyda się partyzantom? Czy Niemcy nie dowiedzą się, że zostałeś uprowadzony albo że gdzieś zniknąłeś. Dowiedzą się i założą, że możesz sypnąć. Jeśli tak, z całą pewnością zmienią plany ataku,
- Sądzisz, że nie rozważałem tej kwestii, Jamie? Ty nie masz nawet najbardziej zielonego pojęcia o Bałkanach. Zresztą skąd? Po niecałych dwóch miesiącach?. Cóż ty wiesz o matactwach, o intrygach i kontrintrygach, o zawiści, zazdrości, samolubstwie, o pilnowaniu własnych stołków, braku zaufania, obsesyjnej pogoni za osobistymi korzyściami, o tym rozległym oceanie, który dzieli mentalność zachodnią od bizantyjskiej? Moim zdaniem nie ma szans, żeby Niemcy się dowiedzieli. Rozważ tylko: kto wie, że ja mam te plany? W przekonaniu Mihajlovicia są tylko dwa. On je ma. Ja ich na oczy nie widziałem. Dlaczego tak myślisz? Metrović na pewno podsunął mu już nazwisko Cipriano, ale idę o zakład, że Mihajlović nigdy o Cipriano nie słyszał. A nawet, jeśli go zna, to niby co mu powie? Założywszy jednak, że Pułkownik coś mu tam nagada, Cipriano jest za cwany, żeby uwierzyć w interwencję dywizji Murge; grupa operacyjna w rodzaju oddziału Ivana nigdy nie zostawia za sobą wizytówek. Dalej. Pomijając fakt, że najprawdopodobniej duma nie pozwoli Mihajlovićowi poinformować nikogo o tym, że jego system bezpieczeństwa został naruszony,

Pułkownik - niczym sam Machiavelli - może okazać się na tyle przebiegły, by wykorzystać zaskoczenie Niemców. Oczywiście nie chciałby, żeby ponieśli klęskę, ale przetrzebić ich troszkę? Proszę bardzo! Naturalnie, Michajłowić bardzo chce zniszczyć partyzantów, ale kiedy, o ile w ogóle, sprawa zostanie już załatwiona, zapragnie wykopać Niemców z kraju. W gruncie rzeczy, jedni i drudzy są jego naturalnymi wrogami. Nawet gdyby Niemcy mieli się dowiedzieć, to co? Za późno już na zmianę planów, zresztą nie istnieją inne warianty. Zatem? Nie ma wyjścia.

- Muszę się z tym zgodzić - przyznał Harrison. - Będą działać zgodnie z pierwotnym planem. Uprzedzony to lepiej przygotowany, jak mówią. Zatem wasze zmagania tej nocy musiały być trudem radosnym. Mam rację?

- To nieważne. Prawie na pewno i tak by się dowiedzieli - kontynuował Petersen. - Mamy sporo rzetelnych informatorów jak Jugosławia długa i szeroka. Na terenach, gdzie siedzą Niemcy, Włosi, czetnicy i ustaszowcy - a to zdecydowanie większa część kraju - mieszka wielu solidnych, rzetelnych obywateli; bądź też za takich mają ich Niemcy, Włosi, czetnicy i ustaszowcy. Obywatele ci ochoczo kolaborują z wrogiem i równocześnie regularnie wysyłają nam bieżące raporty o ostatnich ruchach wojsk nieprzyjaciela. Innymi słowy, to szpiedzy partyzantów. Oczywiście ich doniesienia nie są pełne, ale wystarczające, żeby Tito i jego sztab zorientował się w intencjach wroga.

- Przypuszczam, że to reguła w każdej wojnie - oświadczył Harrison. - Nie sądziłem jednak, że partyzanci mają swoje wtyczki w obozach wroga.

- Mamy je tam od samego początku. Inaczej byśmy nie przetrwali. Co zajęło nam najwięcej czasu tej nocy, to przygnębiające odkrycie - cóż, po raz pierwszy rozważaliśmy tę możliwość jakieś dziesięć tygodni temu - że wróg ma swoich szpiegów w naszym obozie. Co gorsza, mają swoich ludzi w naszej kwaterze głównej. Patrząc wstecz, trzeba przyznać, że byliśmy naiwni. Należało zabezpieczyć się dużo wcześniej. Chcąc oddać nam sprawiedliwość muszę dodać, że nie wynikało to z naszego samozadowolenia. Już raczej z błędnego mniemania, że w sercu każdego partyzanta płonie miłość do ojczyzny; w niektórych sercach, niestety, miłość ta płonie nieco słabszym ogniem. To właśnie, a nie zabawa w posłańców generała von Löhra, zaprzętało nas we Włoszech przez ostatnie dwa tygodnie. Sprawa była tak dużej wagi, że sam George zdecydował się wytoczyć ze swego zacisza w Bihaciu i z kryjówek na górze Prenj. Szpiedzy w naszym obozie stali się głównym zagrożeniem systemu bezpieczeństwa, usiłowaliśmy wpaść na trop włoskiego łącznika. Włoski łącznik istniał i nadal istnieje, to nie ulega kwestii. To nie Niemcy, czetnicy czy ustaszowcy nam zagrażają, lecz właśnie Włosi, bo włoska dywizja Murge, ich doborowe oddziały górskie, sprawia nam wielkie kłopoty. Partyzanci tworzą równie dobre, jeśli nie lepsze oddziały, ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy z rąk Włochów zginęły setki naszych żołnierzy. Nigdy w walnej bitwie. Zawsze w przypadkowych starciach, z doskoku. Patrole, lokalne ruchy oddziałów, przewozy rannych w rzekomo bezpieczniejsze rejony, grupy zwiadowcze na tyłach wroga - doszło do tego, że każdy nasz manewr padał ofiarą błyskawicznych ataków wyspecjalizowanych pododdziałów Murge, które zdawały się zawsze dokładnie wiedzieć, gdzie uderzyć, jak uderzyć i kiedy uderzyć. Wyglądało na to, że znali nawet liczebność i skład grup, na które szykowali atak. Mało tego. Znali wręcz liczbę grup! Nasze ruchy stawały się tym samym coraz bardziej i bardziej ograniczone, niemal sparaliżowane. A przetrwanie partyzantki uzależnione jest prawie wyłącznie od jej

mobilności, elastyczności i dalekich wypadów zwiadowczych. Nie ma dwóch zdań, że Włosi dostawali dokładne informacje o naszych planach. Informacje te musiały pochodzić od kogoś z otoczenia naszego dowództwa i skazały na śmierć setki naszych ludzi. Nie były, rzecz jasna, spisywane, wkładane w kopertę i wrzucane do najbliższej skrzynki na listy, nie. Wysyłano je drogą radiową. - Petersen przerwał, by zebrać myśli, a jego zdawało się niewidzące oczy wodziły po zebranych przy stole. Lorraine, co nie uszło jego uwagi, siedziała nienaturalnie blada; Sarina mocno zaciskała pięści. Udawał, że niczego nie dostrzega.

- Może teraz ja - zaproponował George. - Zrozumcie, wrodzona skromność Petera nie pozwala mu opowiadać dalej. Peter nie wierzył, że zdrajcy ukrywają się wśród starszych stażem partyzantów. Ja też nie wierzyłem. Zaproponował, żebyśmy porównali orientacyjne daty pierwszych przecieków - czyli daty pierwszych włoskich ataków - z datami ostatniego naboru ludzi w nasze szeregi. Porównaliśmy i okazało się, że przyjęliśmy wówczas niezwykle dużą liczbę eks-czetników; czetnicy regularnie dezertują do nas i nie jesteśmy w stanie sprawdzić ich wszystkich. Peter i jego ludzie przesłuchiwali kilku z nowo przybyłych i znaleźli dwóch takich, którzy mieli dostęp do nadajników dużej mocy ukrytych na lesistym zboczu. Nie chcieli mówić, a my nie uznajemy tortur. Obydwaj zostali straceni. Od tamtej chwili liczba ataków Murge gwałtownie spadła, ale co jakiś czas miały jednak miejsce. Sprawa była oczywista: wśród nas wciąż mieliśmy zdrajców. - Hojną ręką nalał sobie piwa. Była to raptem pora śniadaniowa, lecz George utrzymywał, że jest uczulony zarówno na herbatę, jak i na kawę. - Więc we trzech wybraliśmy się do Włoch. Dlaczego? Bo jesteśmy - czy też byliśmy - oficerami czetnickiego wywiadu i w sposób naturalny związani jesteśmy z naszym włoskim odpowiednikiem. Po co? Bo głęboko wierzyliśmy, że w przekazywaniu tych informacji pośredniczył włoski wywiad. Skąd ta wiara? Bo jednostka polowa nie ma ani sprzętu, ani możliwości, ani zdolności organizacyjnych, ani gotówki, żeby przeprowadzić taką operację. Za to wywiad włoski wszystko to ma w wielkiej obfitości.

- Wśród mnogości pytań niech znajdzie się i moje: dlaczego mówisz o gotówce, George? - zainteresował się Harrison.

- Jest dokładnie tak, jak mówił Peter - odparł George ze smutkiem. - Nie znasz mentalności człowieka stąd, z Bałkanów. Skoro już o tym mowa wątpię, czy znasz choćby tę uniwersalną, ludzką mentalność. Cóż, agenci czetników - jak wszyscy inni agenci na całym świecie - nie działają wyłącznie z pobudek altruistycznych, patriotycznych, czy politycznych. Małeńkie trybiki w ich mózgach obracają się sprawnie tylko wtedy, gdy je dobrze smarować. A uniwersalnym smarowidłem są pieniądze. Są wysoko opłacani i rozważywszy to na chłodno, trzeba przyznać, że zasługują na to. Spójrz tylko, co przytrafiło się tym dwóm zdemaskowanym przez Petera. Petersen wstał, zbliżył się do okna i patrzył w dolinę opadającą łagodnym zboczem tuż za domkiem. Zdawało się, że stracił zainteresowanie rozmową.

- Tak czy owak, mieliście pracowitą noc, panowie - skonstatował Harrison.

- To jeszcze nie wszystko. Namierzyliśmy Cipriano.

- Cipriano!

- W rzeczy samej. Boże, Lorraine! Strasznie zbladłaś! Złe się czujesz?

- Jest mi... jest mi słabo - odrzekła cicho.
- Maraschino - zawyrokował George bez wahania. - Sava! - zawołał na jednego z żołnierzy, który natychmiast wstał i ruszył do barku.
- No właśnie. Namierzyliśmy naszego majora we własnej osobie.
- Ale jak, u licha... - zdumiał się Harrison.
- Mamy swoje sposoby - zapewnił go George nie bez zadowolenia. - Jak wspomniał Peter, wszędzie są solidni, rzetelni Jugosłowianie. I możecie już zapomnieć o tym wszystkim, co wam naopowiadał o Cipriano - że niby pracuje ręką w rękę z partyzantami. Okrutnie oczernił tego biedaka, ale wtedy uważał za rozropne odwrócić od siebie ewentualne podejrzenia majorów Metrovicia i Rankovicia i skierować je w stronę kogoś nieobecnego. A nieobecny Cipriano był nam szalenie na rękę. Dobrze gra ten nasz Peter, co?
- I dobrze kłamie - skomentowała Sarina.
- Ajajaj... Znow zraniona duma. Jesteśmy obrażeni, bo i nas przy tej okazji wykiwał, tak? No cóż, Cipriano jest teraz w Imotski i bez wątpienia konferuje z generałami dywizji Murge, knując nowe diabelskie plany przeciwko biednym partyzantom. Oczywiście, nie muszę wam nic tłumaczyć, prawda? Ano. Nie zapomnieliście pewnie, jak na górze Prenj Peter mówił, że chce dopaść ich łącznika, Cipriano, bo Cipriano współpracuje z partyzantami. Chciał raczej powiedzieć, że musi go mieć, bo to śmiertelny wróg partyzantów, ale tego powiedzieć nie mógł, zgadza się? Nie przy Rankoviciu i Metroviciu. No, no, moje dziatki, jestem wami rozczarowany - straciliście całą noc, żeby wydedukować coś tak banalnie prostego. - George ziewnął zasłaniając usta ogromną dłonią.
- Wybaczcie mi. Skorom już śniadał i skoro znow wrócił mi spokój ducha, mam zamiar was opuścić i odpocząć co nieco przez jakieś dwie, trzy godzinki. Ruszamy nie wcześniej niż po południu. Czekamy na pilny komunikat z Bihacia, ale zebranie i sprawdzenie informacji, o które nam chodzi, trochę potrwa. Tymczasem jak sobie zorganizujecie ranek? - Dodał głośniejszym głosem. - Peter, wszyscy mogą chodzić, gdzie chcą, wychodzić i wracać jak im się żywnie podoba, tak?
- Naturalnie - odrzekł Petersen.

Kapitan Crni uśmiechnął się i zaproponował:

- Zechciejcie państwo ubrać się, a oprowadzę was po naszym miasteczku. Nie ma tu specjalnie niczego do oglądania, więc spacer nie będzie długi i męczący. Ranek jest piękny, a ja wiem, gdzie dają najlepszą kawę w Bośni. O niebo lepszą od tej strasznej lury, którą dopiero co piliśmy.
- I w ten sposób nadal nie będziecie spuszczać z nas oka, co? - zauważyła Sarina.

Kapitan Crni skłonił się dwornie.

- Z największą przyjemnością nie spuszczałbym oka ani z pani, ani z panny Chamberlain. Jeśli jednak wolicie panie pójść same, udać się do najbliższej komendantury włoskiej i zawiadomić ich, że

jesteśmy partyzantami, oraz że mamy plany związane z osobą niejakiego majora Cipriano, to bardzo proszę. Możecie to śmiało uczynić. Ufam wam aż do tego stopnia, panno von Karajan.

- Przepraszam. - Impulsywnie wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramię. - Wygaduję okropne rzeczy. Wystarczy dwa, trzy dni w tym kraju i okazuje się, że nie ufam nikomu, nawet samej sobie. - Uśmiechnęła się. - Poza tym jest pan jedyną osobą, która wie, gdzie jest ta kawiarnia.

Wyszli wkrótce potem, - oprócz Giacomo, który postanowił zostać,

- Ona rzeczywiście nikomu nie ufa - stwierdził Petersen znużonym głosem. - Bóg mi świadkiem, nie winię jej za to. Jestem obłudnym kłamcą, George. Nawet wtedy, kiedy nic nie mówię, jestem obłudnym kłamcą.

- Rozumiem cię, Peter. Czasem jakiś cieniutki głosik dociera do mego sumienia - jeden Pan Bóg wie, jakim cudem w ogóle tam trafia - i mówi mi dokładnie to samo. Cóż, czasem głos trąbki wzywającej na służbę wydaje dość chrapliwe tony... Sava!

- Tak, panie generale.

- Stań przy oknie we frontowym pokoju i obserwuj drogę. Gdyby niespodziewanie wrócili, daj mi znać. Będę na górze. Zwolnię cię, jak mi już nie będziesz potrzebny. To kwestia kilku minut.

Po obiedzie odświeżony Petersen - major uciął sobie czterogodzinną drzemkę - podszedł do ławy przy oknie, gdzie siedziały dziewczyny i powiedział:

- Tylko się nie denerwuj, Lorraine, nie ma żadnej potrzeby. George i ja chcemy zamienić z tobą kilka słów.

Lorraine zagryzła dolną wargę.

- Wiedziałem - szepnęła. - Czy... Sarina może pójść ze mną?

- Jak najbardziej. - Zerknął na Sarinę. - Pod warunkiem, że nie będziesz co chwilę wykrzykiwać różnych "ochów", "achów", ani "potworów", ani nie będziesz zaciskać pięści. Zgoda?

- Zgoda.

Zabrał je do pokoju na górze, gdzie za stołem, przed ogromnym kuflem, siedział George. U stóp miał skrzynkę piwa. Pewnie tak na wszelki wypadek.

- George?

- Nie dadzą się napić spragnionemu. - Pokręcił głową.

- Zdawało mi się, że dość gruntownie ugasiłeś pragnienie już przy obiedzie.

- Owszem, ale to jest poobiedni łyceczek, mój chłopcze - odrzekł George z godnością. - Zaczynaj waść.

- Krótko i bezboleśnie powiedział Petersen. - Ja nie jestem dentystą, a ty nie musisz kłamać. Jak się chyba domyśliłaś, wiemy o wszystkim. Obiecuję, co George potwierdzi, że nie spotka cię za to żadna kara, ani zemsta. Jesteś ofiarą, a nie winną zbrodni i działałaś pod presją szantażu. Poza tym nawet nie wiedziałaś, co robisz. Wszystkie wiadomości przekazywane były kodem, a ty nie rozumiesz słowa po serbsko-chorwacku. Opinia George'a ma ogromną wagę na posiedzeniach rady wojennej. W przypadkach zaś takich, jak ten, właściwie tylko jego zdanie się liczy. No, mnie też trochę słuchają. Nic nie stanie się też Carlosowi. Ani Mario.

Kiwnęła głową. Była niemal zupełnie spokojna.

- Wiecie już o naszym synku...
- Tak. Kiedy go porwali?
- Pół roku temu. - I nie domyślasz się, gdzie go mogą trzymać?
- Nie. - Spokój wyparował, wróciło zdenerwowanie. - Wiem, że gdzieś w Jugosławii. Major Cipriano chciał go wywieźć z Włoch. Nie mam pojęcia dlaczego.
- A ja mam. Są pewne sprawy, na które nawet Cipriano we Włoszech się nie waży. Skąd wiesz, że dziecko jest tutaj?
- Dwa razy pozwolili Carlosowi go zobaczyć. Wtedy, kiedy odmówiłam współpracy, bo uważałam, że mój synek nie żyje. Ale nie wiem, gdzie jest.
- Tak... Rozumiem. To nie ma znaczenia - rzekł Petersen.
- Nie ma znaczenia! - Lorraine zmieniła się w kłębek nerwów. Oczy miała pełne łez.

George wyjął z ust swe paskudnie śmierdzące cygaro i powiedział:

- Peter chciał ci dać do zrozumienia, że i tak dowie się od Cipriano.
- I tak się dowie... - urwała, kiwnęła głową i wzdrygnęła się odruchowo.
- Mamy twoje książki kodowe, Lorraine - mówił dalej Petersen. - Przeszukaliśmy twój pokój przed południem, kiedy cię nie było.
- Przeszukaliście jej pokój?! - oburzyła się Sarina. - Jakim prawem...

Petersen wstał i otworzył drzwi.

- Do widzenia - rzucił krótko.
- Przepraszam, zapomniałam... Nie...
- Obiecałaś.

- Czy nigdy nikomu nie dajesz szans na poprawę?

Nie odpowiedział. Zamknął drzwi i usiadł.

- Podwójne dno w torbie to w dzisiejszych czasach straszny przeżytek. Sądzę jednak, że ani tobie, ani Cipriano nie śniło się nawet, że ktoś będzie cię podejrzewać. W tej książce nie ma nazwisk, ale nazwiska nie są nam potrzebne. Są numery kodów, sygnały wywoławcze i godziny nadawania. Już wkrótce wpadną w nasze sidła.

- A wtedy? - spytała Lorraine.

George znów wyjął z ust cygaro.

- Nie zadawaj głupich pytań.

- Powiedz mi, Lorraine, czy nie wiedziałaś, po co cię wysyłają w góry Prenj? Tak, wiedziałaś oczywiście, co masz robić, ale nie dlaczego. Cóż, Cipriano dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że znacie się z Jamie Harrisonem i że on ci bezgranicznie ufa. W końcu tyle lat byłaś jego oddaną sekretarką. Harrison nigdy nie posądzałby ciebie o grę na dwa fronty: o przesyłanie wiadomości od naszych wiernych przyjaciół czetników w Bihaciu do majora Cipriano w Rzymie, czy gdzieś tam, które to wiadomości on z kolei przesyłałby oddziałom Murge. Prawdziwym powodem, dla którego znalazłaś się z nami, jest jednak to, że zniszczyliśmy im obydwaj przekaźniki dalekiego zasięgu. Mając sprzęt niewielkiej mocy, mogliby co najwyżej bardzo sporadycznie nawiązywać kontakty z Rzymem. Za to góra Prenj oddalona jest od Bihacia ledwie o dwadzieścia kilometrów i każdy nadajnik obejmuje ją swoim zasięgiem, zgadza się? - Petersen przerwał i coś chwilę rozważał. - Tak, to chyba wszystko. Nie, jeszcze jedno. - Uśmiechnął się. - Jeszcze jedno... Chodzi o sprawę czysto osobistą. Gdzie pierwszy raz spotkałaś Carlosa?

- Na Isle of Wight, tam, gdzie się urodziłam. Pływał na jachcie w Cowes.

- Naturalnie. Oczywiście. Mówił mi, że przed wojną często tam żeglował. Mam nadzieję, że po wojnie oboje się tam wybieriecie.

- Czy... Czy Carlosowi nic się nie stanie, majorze Petersen? - spytała.

- Jeśli do generała brygady zwracasz się per "George", do majora mów "Peter". Dlaczego miałyby mu się coś stać? Carlos jest czysty. Z punktu widzenia wojskowego i cywilnego prawa włoskiego nie popełnił żadnego przestępstwa. Przy odrobinie szczęścia mamy szansę spotkać się z nim jutro wieczorem.

- Co?! Spotkamy się z Carlosem?! - Jej twarz zmieniła się nie do poznania.

Petersen popatrzył na Sarinę.

- Miałaś rację. Bez dwóch zdań. - Nie wyjaśnił, w czym miała rację.

- Tak, spotkamy się z Carlosem. Dotychczas nie wdawał się z nikim we współpracę, ale jutro się

wda.

Zdawało się, że Lorraine go nie słyszy, a jeśli nawet słyszała, to myśli jej zaprzątnięte były czym innym.

- Wciąż jest w Ploce? - spytała.

- Tak.

- Nie wrócił do Włoch?

- Niestety nie. Jakiś mało życzliwy obywatel dosypał mu cukru do paliwa.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, wreszcie z wolna zaczęła się uśmiechać.

- Chyba nie jeden z tych solidnych i rzetelnych obywateli, o których mówiłeś, prawda?

Odwzajemnił uśmiech.

- Nie jestem odpowiedzialny za czyny solidnych, rzetelnych obywateli, Lorraine...

U podnóża schodów Sarina chwyciła Petersena za ramię i przytrzymała go na moment.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Byłeś taki dobry.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- A czegoś ty się po mnie właściwie spodziewała?

- Chyba niczego. Ale to było wspaniałe. Zwłaszcza to o Carlosie.

- To co, dziś już nie jestem ludojadem ani potworem?

Potrząsnęła głową, z uśmiechem na ustach.

- A jutro? Kiedy będę musiał dowiedzieć się, gdzie trzymają synka Lorraine? Wiesz, o czym mówię?

Spoważniała.

Petersen pokręcił ze smutkiem głową.

- "Souvent femme varie, bien fol est qui s'y fie".

- A to co ma znów znaczyć?

- Znam to od George'a. Król Franciszek Pierwszy wydrapał to brylantem na szybie w Chambord:

"Kobieta zmienną jest i tylko głupiec jej wierzy".

- Phi! - prychnęła, ale już z uśmiechem na ustach.

W południe Petersen i Crni wkroczyli do hallu niosąc naręcze pistoletów maszynowych i rewolwerów.

- Sprzęt zastępczy - rzekł Petersen. - Ivan zabrał nasz, zatem uczciwość nakazuje, by dał coś w zamian. Zaraz wyjeżdżamy. Ivan, Edvard i Sava jadą z nami. - Rzucił okiem na zegarek. - Powiedzmy za dwadzieścia minut, dobrze? Chcę się przebić przez ten paskudny wąwóz nad Neretwą za dnia, ale na miejsce musimy dotrzeć jak zwykle po zmroku. Wiadomo dlaczego.

- Nie napawa mnie to zbyt dużą radością - powiedziała Sarina.

- Nie bój nic. Nie ja będę prowadził. Sava. W cywilu jest kierowcą ciężarówek.

- A właściwie dokąd my jedziemy? - chciał wiedzieć Harrison.

- No tak, całkiem zapomniałem. Dla ciebie, Jamie, będzie to ktoś, kogo nie znasz. Dla nas to stary przyjaciel, właściciel hotelu Eden w Mostarze. Niejaki Josip Pijade.

- Solidny, rzetelny obywatel - dodała Lorraine.

- O tak, bardzo solidny i bardzo rzetelny obywatel. Masz taki nieobecny wyraz twarzy, George. O czym myślisz?

- O pieczystym z dziczyzny.

Rozdział IX

I zaiste podano dziczyznę. Josip i Marija przeszli samych siebie i osiągnęli rzecz zdawałoby się niemożliwą - pieczone smakowało nawet odrobinę lepiej niż ostatnim razem. George, chcąc także przejść samego siebie, spróbował dokonać czegoś nieprawdopodobnego - chciał zjeść trzy porcje za jednym posiedzeniem. Nie udało się. W połowie trzeciej, olbrzymiej dokładki musiał uznać się za pokonanego. Tej nocy - w odróżnieniu od ostatniego noclegu w Edenie - nieproszeni goście nie zakłócili im snu. Do śniadania usiedli późno i bez pośpiechu.

- Szkoda, że nie mieliśmy pana na górze Prenj przez ostatnie dwa miesiące, panie Pijade - zwrócił się Harrison do Josipa, gdy zjedli. - Ale warto było czekać na tę chwilę. Wie pan co, chciałbym, żeby mnie tu do pana przydzielono. Na stałe - dodał. - Czy wolno spytać o nasze... to znaczy o twoje plany na dzisiaj? - zapytał Petersena.

- Naturalnie. Moje plany związane są głównie, choć nie do końca, tylko z jedną osobą: z Cipriano. Chcę go zatrzymać i przesłuchać. Sprawę Bihacia możemy praktycznie uznać za zamkniętą. Jak wiecie, wczoraj nie udało się nam z nimi skontaktować, ale po północy mieliśmy z Ivanem więcej szczęścia; słyszalność jest zawsze najlepsza nocą. Znaleźli aż szesnastu nawróconych czetników, których uznali za podejrzanych. W grę mogą wchodzić dwie, trzy osoby, nie więcej. Wyślemy zaszyfowaną wiadomość o określonej godzinie, na określonej częstotliwości, a tam będą obserwować, kto z podejrzanej szesnastki w tym czasie zniknie. Naturalnie nie zatrzymają go, dopóki w podobny sposób nie namierzą reszty. Rutynowe działania. Nie ma o czym mówić. - Wszyscy wiedzieli, że słowa te równają się wyrokowi śmierci. Wszyscy z wyjątkiem - jak się zdawało, samego Petersena.
- Cipriano wciąż siedzi w Imotski? - Zainteresował się Giacomo.
- Owszem. Mamy tam dwóch ludzi, którzy nie spuszczają go z oka dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jesteśmy z nimi w kontakcie radiowym. Ostatni raz rozmawialiśmy godzinę temu. Cipriano już wstał i kręci się, nie widać jednak, by się gdzieś wybierał. Ma z sobą małe towarzystwo. - Spojrzał na Alexa. - Opis jednego z kompanów może cię zainteresować, Alex.
- Alessandro? - upewnił się Alex z nadzieją w głosie.
- Nie kto inny.
- Ha... - Ten jeden jedyny raz twarz Alexa ożywiła się czymś, co w jego przypadku można by nazwać uśmiechem pełnym szczęścia.
- Plus - wnoszę z opisu - jego trzech bandyci. Wygląda na to, że Carlos znalazł gdzieś palnik. Rzecz jasna nie wiemy, w którą stronę nasz ptaszek poleci - z Imotski można wydostać się na kilka sposobów - ale jak tylko to ustalą, natychmiast dostaniemy wiadomość. Naturalnie, można sobie wyobrazić, że wróci do Ploce i zabierze się z Carlosem do domu - o ile oczyszczono już przewody paliwowe kutra. Sądzę jednak, że to mało prawdopodobne. Przypuszczam raczej, że będzie się kierował w stronę lotniska wojskowego za miastem i stamtąd szybkim transportem do Rzymu. Wybieram się z Ivanem na lotnisko, żeby to sprawdzić.
- Co sprawdzić? - zapytał Harrison.
- Czy trzymają dla niego samolot w pogotowiu.
- Lotnisko nie jest strzeżone?
- Jesteśmy dwoma włoskimi oficerami - mówił Petersen. - Awansowałem się właśnie na pułkownika i tym samym będę tam najpewniej najstarszy stopniem. Po prostu wejdziemy i zapytamy.
- To zbędne - wtrącił się Josip. - Mój kuzyn ma warsztat mechaniczny tuż przy lotnisku i pracuje dla nich po godzinach jako inżynier-konserwator. Niestety nie przy samolotach, lecz w warsztatach. Gdyby pracował przy samolotach, włoskie siły powietrzne byłyby nękane wielce tajemniczymi katastrofami. Wystarczy, że zadzwonię.

- Dziękuję, Josip.

Josip wyszedł.

- Jeszcze jeden solidny, rzetelny obywatel - zauważyła Lorraine.

- W Jugosławii aż się od nich roi.

Josip wrócił po dwóch minutach.

- Mają tam włoski samolot. Gotowy do startu w każdej chwili. Co więcej, maszyna jest zarezerwowana dla majora Cipriano.

- Dzięki. - Petersen wskazał głową nieduże urządzenie nadawczo-odbiorcze na stole. - Wezmę to z sobą. Meldujcie, jak będziecie mieć jakieś wiadomości z Imotski. Jesteśmy niemal pewni, którą drogą pojedą, zatem ruszamy z Ivanem wybrać miejsce na zasadzkę. Możemy wziąć twój samochód, Josip?

- Weźcie i samochód, i mnie. Znam doskonale miejsce.

- A czy my możemy wybrać się do miasta? - odezwała się Sarina.

- Sądzę, że tak. Nie będziecie mi potrzebne aż do zmroku. Co najwyżej narazicie się na zaczepki i gwizdy ze strony włoskich żołdaków. - Spojrzał na Giacomo. - Byłbym spokojniejszy, gdybyś im towarzyszył.

- Jestem gotowy na każde poświęcenie...

Sarina roześmiała się.

- Potrzebujemy ochrony?

- Tylko przed rozpasanymi włoskimi żołdakami.

Wiadomość nadeszła - jak można się tego było spodziewać w połowie obiadu. Marija weszła i oznajmiła:

- Właśnie wyjechali. Jadą w kierunku Posuszja.

- Droga na Mostar. Przepraszamy. - Petersen wstał, za nim Alex, Crni i Edvard.

- Żałuję, że nie jadę z wami, lecz wszyscy wiedzą, iż nie jestem człowiekiem czynu - ubolewał George.

- George chciał powiedzieć, że nie rozruszał jeszcze na dobre szczęk. No i że napoczął dopiero

pierwszy literek piwa - wyjaśnił chłodno Petersen.

- Będziecie ostrożni, prawda? - upewniała się Sarina.

Petersen zwrócił się z uśmiechem do Giacomo:

- Jedziesz z nami?

- Absolutnie nie. W końcu ten bar otwarty jest dla każdego i lada chwila może tu wpaść rozpasane włoskie żołdactwo.

- No i już wiesz, czy będziemy uważać, Sarino. Gdyby Giacomo sądził, że jest bodaj cień nadziei na ustrzelenie choćby jednego Włocha, pierwszy wskoczyłby do samochodu. On wie, że nie ma na co liczyć. Ale dziękuję za troskę.

Alex z białą chusteczką w dłoni stał na niewielkim wzniesieniu nierównej powierzchni pastwiska, naprzeciwko wysadzanej drzewami drogi odbijającej od szosy Lisztica-Mostar. Na drodze zaś, między drzewami, o pół metra od wjazdu na szosę, parkowała ciężarówka z włączonym silnikiem. Za kierownicą siedział Petersen.

Alex uniósł chusteczkę wysoko nad głowę. Petersen wrzucił jedynekę i czekał z wciśniętym sprzęgłem, raz po raz przydeptyując pedał gazu. Nagle Alex szybko opuścił chusteczkę. W tej samej sekundzie Petersen zwolnił sprzęgło, ciężarówka skoczyła ostro do przodu, gwałtownie zahamowała parę metrów dalej i ustawiła się w poprzek drogi.

Samochód włoskiej jednostki wojskowej, który szczęśliwie dla pasażerów jechał z umiarkowaną szybkością, nie miał żadnych szans. W chwili, gdy kierowca wbijał nogą hamulec, zdał sobie sprawę, że możliwości manewru są bardzo ograniczone: albo trzymać się drogi i maską wryć się w bok tkwiącej na środku ciężarówki, albo też zjechać na prawo, w pole, gdzie stał Alex; gdyby skręcił w lewo, nadziałby się na drzewa, którymi wysadzono boczny trakt. Roztropnie wybrał skręt w prawo. Zablokowane opony zapiszczały na asfalcie, samochód zmiotł niski, drewniany płot, wjechał w pole balansując chwilę na dwóch kołach, aż wreszcie przewrócił się na bok i znieruchomiał; tylko koła wolno obracały się w powietrzu.

W przeciągu paru sekund kolby karabinów rozbiły okna z prawej strony, ale pośpiech okazał się zupełnie zbyteczny. Pięciu mężczyzn w środku - całych i zdrowych, nie licząc zadrapań na twarzach - było zbyt otumanionych, by dostrzec obecność napastników, nie mówiąc już o próbie oporu. Kiedy zaś mniej więcej przyszli do siebie, widok czterech luf pistoletów maszynowych o kilka centymetrów od ich głowy spowodował, że wszelka myśl o jakiegokolwiek walce wydała im się kompletnie absurdalna.

Po powrocie do hotelu Petersen i Crni zastali George'a i resztę towarzystwa w barze. George urzędował za ladą i tego się po nim należało spodziewać.

- Witajcie, panowie. - Był w najprzedniejszym humorze.
- Cóż to, czyżbyś już skończył obiad, George? - zapytał major.
- A jakże. Całkiem niezgorszy obiad, nie narzekam. Co podać? Piwko?
- Może być piwko.
- Nie zapytasz, jak poszło?! - oburzyła się Sarina.
- Ano właśnie. Co to? Alex i Edvard wpadli w ręce wroga? U szczytu formy?
- Siedzą w ciężarówce, na parkingu.
- To lubię, to lubię. Jaka troskliwość... Zrobić wszystko, żeby więźniowie nie mogli wyrządzić sobie krzywdy. Kiedy masz zamiar ich tu sprowadzić.
- Jak się ściemni - odparł Petersen. - W pełnym słońcu niezręcznie byłoby pędzić ich ulicami związanych i zakneblowanych, nie uważasz?
- Słusznie, słusznie. - George ziewnął i zsunął się ze stołka. - Sjesta...
- Świetnie cię rozumiem - powiedział Petersen. - Ten ciągły ruch, ta bieganina może człowieka kompletnie wykończyć.

George wyszedł w pełnym godności milczeniu.

- To nie jest człowiek, który przejmuję się byle czym, co? - skonstatowała Sarina.
- Przełożył sjestę. To znak, jak bardzo był przejęty.
- A więc macie majora Cipriano... Co o tym myślisz, Lorraine?
- Powinnam pewnie skakać z radości pod sufit. Cieszę się, bardzo się cieszę. Wiedziałam, że go dostaną, wiedziałam. Ani przez chwilę w to nie wątpiłam. A ty, Sarino?
- Nie. I to jest właśnie okropnie irytujące.
- "Souvent femme varie..." - bąknął Petersen ze smutkiem. - Josip, zechciej wysłać furgonetkę po bagaże naszych więźniów i każ je odesłać na górę. Nie, nie na górę. Mogę je równie dobrze przeszukać tutaj. - Odwrócił się szybko do Sariny. - A ty siedź cicho.
- Przecież ja nic nie mówię!
- Właśnie chciałaś powiedzieć, że przeszukiwanie cudzych rzeczy też świetnie mi idzie. Może nie?

Pięciu jeńców sprowadzono tylnymi drzwiami, jak tylko zapadł zmrok. Drzwi hotelu zamknięto na klucz. Cipriano, Alessandra i pozostałą trójkę posadzono na krzesłach i odkneblowano; ręce nadal mieli związane na plecach. Zwykle spokojny i kulturalny major Cipriano przeszedł zadziwiającą metamorfozę. Oczy mu błyszczały, twarz poczerwieniała z wściekłości.

- Co to ma znaczyć?! Co ma znaczyć ten... ten... ten... oburzający zamach?! Petersen, co to ma znaczyć?! Postradałeś rozum?! Wszystko ci się pomieszało?! Masz mnie natychmiast rozwiązać! Jestem oficerem! Włoskim oficerem! Oficerem sojuszniczej armii!

- Jest pan mordercą - odparł Petersen. - Pański stopień i narodowość nie mają tu nic do rzeczy. Jest pan wielokrotnym mordercą, żeby nie powiedzieć ludobójcą.

- Rozwiąż mnie! Natychmiast! Zupełnie oszalałeś! Na Boga, Petersen, gdyby ostatnią rzeczą, jaką miałbym zrobić...

- Czy nie przyszło panu do głowy, że zrobił już pan swoją ostatnią rzecz na tym świecie? Wpatrywał się w Petersena i nic nie rozumiał. Nagle zauważył Josipa.

- Pijade! Pijade! Pan... Pan jest współnikiem tej obrzydliwej napaści! - Cipriano kompletnie zatracił zdolność jakiegokolwiek rozumowania i bezskutecznie usiłował zerwać pętające go sznury. - Na Boga, Pijade, odpowiesz mi za to! Odpowiesz za tę perfidną zdradę!

- Perfidną zdradę! - Petersen roześmiał się sztucznie. - Gadaj sobie o perfidnej zdradzie, gadaj, bo za to właśnie umrzesz. Pijade zapłaci! Ciekawe. Niby jak? - pytał łagodnie Petersen. - Czy przeklniesz go na wieki z głębi piekieł, gdzie znajdziesz się jeszcze przed północą?

- Zwariowaliście wszyscy - wyszeptał Cipriano. Wściekłość już z niego wyparowała i nagle uświadomił sobie, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Przez ciebie zginęli moi koledzy - ciągnął Petersen tym samym, opanowanym tonem. - Setki moich kolegów...

- Oszalałeś! - wyrzucił z siebie krzykliwe. - Oszalałeś, jak Bóg na niebie! W życiu nie tknąłem czetnika!

- Ja nie jestem czetnikiem, Cipriano. Jestem partyzantem.

- Partyzantem! - szepnął chrapliwie. - Partyzantem! Pułkownik Lunz podejrzewał... Trzeba go było słuchać... - przerwał, a jego głos nabrał mocy. - Nigdy w życiu nie skrzywdziłem partyzanta.

- Wejdz - rzucił za siebie Petersen. Weszła Lorraine. - Czy wciąż zaprzeczasz, że to właśnie ty posłałeś na śmierć setki moich rodaków? Lorraine wszystko mi opowiedziała, Cipriano. Wszystko. - Z kieszeni koszuli wyjął małą, czarną książeczkę. Notes z kodami. Należał do Lorraine. Twój charakter pisma. A może już nie rozpoznajesz swojego pisma, co? Założę się, że do głowy ci nigdy nie przyszło, że własną ręką podpiszesz na siebie wyrok śmierci. Widzę w tym ironię losu. Mam nadzieję, że ty też. Ale ironia losu nie przywróci życia setkom zabitych, prawda? I mimo tego, że do końca tygodnia wyłapiemy i rozstrzelamy ostatnich z twoich szpiegów, nie ożywi to zmarłych.

Zgadzasz się ze mną Cipriano? Gdzie jest synek Lorraine? Gdzie jest Mario. Cipriano? Gdzie?

Cipriano wydał z siebie jakiś gardłowy dźwięk - chrapliwy i nieartykułowany - i usiłował zerwać się z krzesła. Giacomo rzucił okiem na Petersena, prawidłowo odczytał kiwnięcie głową i z widoczną satysfakcją uderzył Włocha w splot słoneczny. Niezbyt łagodnie. Cipriano opadł na krzesło i gdzieś z głębi gardła dobył spazmatyczny, rzęzący odgłos.

- George? - Petersen poprosił George'a, by włączył się do akcji.

Generał wyłonił się zza lady baru niosąc dwa kawałki sznura. Spokojnym krokiem przemierzył salę zastawioną stolikami, upuścił jeden kawałek powroza na podłogę, a drugim mocno przywiązał Cipriano do krzesła. Podniósł drugi sznur z zawiązaną na końcu pętlą, zarzucił ją na Alessandra, a kiedy opadła mu do połowy klatki piersiowej, zacisnął tak szybko, że nim Alessandro zorientował się, co się stało, George przytroczył go do oparcia krzesła jak skrępowanego kurczaka.

- Cipriano nic nie powie, bo wie, że to go i tak nie uratuje - rzekł Petersen. - On musi umrzeć. Ale ty powiesz, gdzie trzymacie chłopca, Alessandro, powiesz...

Alessandro splunął.

- Ajajaj... - westchnął Petersen. - Trudno wykorzenić te obrzydliwe nawyki, co? - Sięgnął za kontuar barku i wyciągnął stamtąd metalową kasetkę ze strzykawkami i ampułkami z trucizną, którą odebrał Włochowi na kutrze.

Alex wyjął ostry jak brzytwa nóż i ciął lewy rękaw koszuli Alessandra od ramienia po krępujące go więzy na łokciu.

- Nie! Nie! Nie! wrzasnął Alessandro w śmiertelnym przerażeniu.

- Nie! Nie!

Cypriano pochylił się, chciał zerwać pęta, coś wykrztusić przez zaciśnięte gardło, twarz nabiegła mu krwią, więc Giacomo uderzył go ponownie, by zapewnić sobie spokój.

- Boję się, że go ciut drasnąłem - powiedział Alex przepaszająco; chyba przesadził, bo ramię Alessandra było paskudnie rozharatane.

- Nie szkodzi. - Petersen wyjął strzykawkę i wybrał na chybił trafił jedną z ampułek. Zaoszczędzi nam to kłopotu ze znalezieniem żyły.

- W Ploce - wyszeptał Alessandro zduszonym głosem. Oddychał z częstotliwością znacznie większą niż jeden oddech na sekundę.

- W Ploce! Zaprowadzę was! Fra Spalato numer osiemnaście! Przysięgam! Mogę was tam zaprowadzić!

Petersen odłożył strzykawkę i ampułki. Zamknął kasetkę. Odwrócił się do dziewczyn i

powiedział:

- Alessandro nie jest chyba zanadto odporny psychicznie, prawda? Ale ja go nawet palcem nie dotknąłem, widziałyście.

Wpatrywały się w niego, później spojrzwały na siebie. W tej samej chwili, jakby na jakiś telepatyczny sygnał, wstrząsnął nimi silny dreszcz.

Kiedy zabandażowali już ramię Alessandra, a Cipriano odzyskał siły, zaczęli zbierać się do drogi. Widząc zbliżającego się Alexa z kneblem w ręku, Cipriano spojrzął na Petersena pustymi oczami i spytał:

- Dlaczego nie zabijesz mnie tutaj? Bo trudno pozbyć się ciała? W Adriatyku nie będzie takich kłopotów, co? Kamień u szyi i po krzyku, tak?

- Nikt nie chce się ciebie pozbywać, Cipriano. W każdym razie nie na stałe. Nigdy nie mieliśmy zamiaru cię zabijać. Wiedziałem, że Alessandro zmięknie, ale szkoda mi było tracić na to czas. Nasz drogi Alessandro to stary pragmatyk i ani mu było w głowie poświęcać życie dla kogoś z wyrokiem śmierci. Mamy wszelkie moralne podstawy, żeby cię zabić, ale nie mamy podstaw prawnych. Na całym świecie szpiegów rozstrzeliwuje się na pęczki. Nigdy jednak nie likwiduje się oficerów wywiadu. Regulują to Konwencje Genewskie. Chyba niesprawiedliwie. A więc, Cipriano, jesteś aresztowany. Od tej chwili aż do końca wojny będziesz jeńcem wojennym. Wywiad brytyjski nie może się doczekać pogawędki z tobą, majorze.

Cipriano nie miał nic do powiedzenia, co chyba zrozumiałe. Trudno o sensowny komentarz, gdy odroczenie wyroku przychodzi na moment przed zwolnieniem ostrza gilotyny.

Alex założył Cipriano knebel, a Petersen tymczasem zwrócił się do swej kuzynki:

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła, Marija. Zaopiekujesz się chłopcem jakiś dzień czy dwa, dobrze?

- Mariem?! - krzyknęła Lorraine. - Mówisz o moim synku?!

- A o jakim innym chłopcu mógłbym mówić? No więc, Marija?

- Peter! Jak możesz pytać?

- Dobrze już, dobrze. Musiałem. - Pocałował ją w policzek. - Ty zmoro mojego życia, ty... Ale i tak cię kocham.

- I znów się rozstajemy - powiedział z żalem Josip. - Kiedy się zobaczymy?

- Przy następnej kolacji. George wróci tu na pieczyście, którego nie zmógł wczoraj wieczorem. Razem ze mną.

Edvard zatrzymał ciężarówkę paręset metrów przed wjazdem do portu. Alex i Sava zeskoczyli z platformy; za nimi zszedł rozwiązany i odkneblowany Alessandro. Znajdowali się na głównej ulicy. Kręcili się tam jacyś ludzie. Bez najmniejszego pośpiechu cała trójka skręciła w ciemny, boczny zaułek.

- Spodziewa się pan kłopotów przy wjeździe? - spytał Edvard.

- Niespecjalnie - odrzekł Petersen. - Strażnicy są starzy, nieruchawi, obojętni na wszystko, za to bardzo powolni aroganckiej i łatwo wpadającej w gniew władzy. Władzy to znaczy nam.

- Chyba już znaleźli tę rozbitą ciężarówkę, którą jechał Cipriano. No i ci na lotnisku też się pewnie zastanawiają, gdzie on jest.

- Jeżeli na ten wóz natknął się Jugosłowianin, to się ucieszył i pojechał dalej. Nawet się nie zatrzymał. Czy na Cipriano czekali na lotnisku, nie wiem. Trudno przewidzieć, co zrobi taki facet jak on. Wygląda na człowieka, który robi to, na co ma ochotę i kropka. Nawet jeśli do tej pory ustalili już, że naprawdę zaginął, to gdzie go szukać? W Ploce? Szalenie mało prawdopodobne.

Stało się dokładnie tak, jak przewidywał Petersen. Wartownik nawet nie fatygował się, by wyjść z budki. Za bramą port stał wymarły - dzień pracy już się skończył, a minusowa temperatura nie zachęcała do nocnych spacerów. Mimo to Petersen kazał Edvardowi zatrzymać samochód dwieście metrów od miejsca, gdzie cumował "Colombo", wysiadł z szoferki, przeszedł na tył wozu, zawołał Lorraine i pomógł jej zejść.

- Widzisz tamte światełka? To jest "Colombo". Idź i powiedz Carlosowi, żeby zgasił dwa światła na trapie.

- Tak, tak, tak. - Zaczęła biec, ale głos Petersena osadził ją gwałtownie w miejscu.

- Spokojnie, ty wariatko. W Ploce się nie biega.

Trzy minuty później światła zgasły. Dwie minuty później po ciemnym trapie weszli nie zauważeni przez nikogo jeńcy, a ciężarówka zniknęła. Światła zapaliły się ponownie.

Carlos siedział w kabinie na swoim ulubionym krześle. Zdrową ręką mocno ścisnął obie dłonie Lorraine. Na jego twarzy malowało się nie tyle niezrozumienie i osłupienie, co osłupiałe zrozumienie.

- Zaraz, zaraz. Ja wam to wszystko opowiem jeszcze raz, a wy potwierdzicie, że dobrze wszystko rozumiem, i że nie śnię na jawie. Chcecie zatrzymać mnie i moją załogę pod kluczem, zbiec z Lorraine i Mario, uwięzić Cipriano i jego ludzi na kutrze i porwać "Colombo", tak? - upewnił się Carlos.

- Sam bym tego lepiej nie ujął. Oczywiście z wyjątkiem słowa "zbiec". Tak bym tego nie nazwał. Naturalnie, tylko za twoją zgodą. Decyzja należy do ciebie. No i do Lorraine. Lecz sądzę, że ona już się zdecydowała.
- Tak. W jej głosie nie było śladu wahania.
- Wyrzucą mnie z marynarki - rozważał Carlos ponuro. Nie. Sąd polowy i kula w łeb.
- Nic ci nie grozi. Nie ma najmniejszych obaw. Wałkowaliśmy to z George'm na dziesiątki sposobów zapewniał Petersen.
- Moi ludzie zaczną mówić...
- Mówić'? Niby o czym? Siedzą teraz w mesie pod uzbrojoną strażą. Gdyby tobie ktoś przystawił lufę do głowy, miałbyś jeszcze wątpliwości, że kuter zajęto siłą?
- Cipriano...
- Co Cipriano? Jeśli przeżyje niewolę - co niestety niechybnie się stanie, bowiem Anglicy nie zabijają jeńców - nic nie będzie mógł zrobić. Nie ma mowy, żeby obalił wersję twoją i twojej załogi, a wasza relacja stanie się przecież wersją oficjalną. Nigdy nie ośmieli się wnieść oskarżenia przeciwko tobie osobiście, bo kiedy wojna się skończy, będziesz mógł przedstawić świadków - solidnych i rzetelnych obywateli jugosłowiańskich - którzy potwierdzą, że Cipriano porwał twojego synka. A za to we Włoszech dostaje się dożywocie.
- Co się z tobą dzieje, Carlos? - denerwowała się Lorraine. - To nie w twoim stylu tak się wahać, nie poznaję cię. Nie ma innego sposobu, rozumiesz? - Delikatnie dotknęła jego brody tak, że spojrzał jej w oczy. - Odzyskaliśmy naszego synka, Carlos...
- To prawda. - Uśmiechnął się. - I to już wszystko, na czym ci zależy...
- Nie wszystko. - Odwzajemniła uśmiech. - I mam ciebie. To też się trochę liczy. Zresztą, czy jest jakieś inne wyjście? Peter nie chce zabić Cipriano, a jeśli go teraz uwolnimy, będziemy skończeni. Trzeba go wywieźć na przechowanie w jakieś bezpieczne miejsce, czyli oddać w ręce Anglików. Nie da się go inaczej przetransportować jak tylko tą łodzią. Peter nie popełnia błędów.
- Mała poprawka - wtrąciła słodko Sarina. - Peter nigdy nie popełnia błędów.
- "Souvent femme varie..." - westchnął Petersen.
- Cicho bądź.
- Założmy, że mnie zamkniecie - rozważał dalej Carlos. - Kto i kiedy nas wypuści?
- Jutro. Anonimowy telefon i załatwione.

Lorraine i Mario będą mieszkać z twoimi przyjaciółmi?

- Tylko przez kilka dni. Dopóki nie zaopatrzymy ich w nowe papiery. George jest w nader zażyłych stosunkach z najlepszym fałszerzem na Bałkanach. Myśleliśmy o tym, żeby je wyrobić na nazwisko Lorraine Tremino. W tych niespokojnych czasach nie powinniście mieć najmniejszych kłopotów z oficjalnym zalegalizowaniem od dawna istniejącej komórki rodzinnej. Świadek ślubu, George?

George opuścił kufel.

- Dla mojego przyjaciela to drobnostka. Gdzie się pobieracie? W Rzymie? W Pescarze? Może w Cowes? Gdzie chcecie. Zobaczymy, jakimi formularzami dysponuje...

Otworzyły się drzwi i wszedł Alex. Tuż za nim Sava. Alex trzymał za rękę małego chłopca z kędzierzawą główką. Chłopiec z zaciekawieniem rozejrzał się wokół, zobaczył Carlosa i pobiegł do niego wyciągając rączki. Carlos posadził go sobie na kolanach. Mario objął go za szyję i z zainteresowaniem przyglądał się Lorraine.

- To jeszcze bardzo małe dziecko - pocieszał George. - Dla takiego chłopca sześć miesięcy to bardzo, bardzo długo, Lorraine. Przypomni sobie, przypomni.

Harrison kaszlnął.

- Czy mam wyruszyć z Giacomo? To niebezpieczna droga. Droga na spotkanie z wiecznością.

- Twoja wola, Jamie, ale Giacomo musi mieć kogoś przy sobie. Poza tym, wiesz równie dobrze jak ja, że Alpy Julijskie ci nie służą i że nie masz tu już nic sensownego do roboty. Co więcej, jako angielski oficer w czynnej służbie będziesz mógł potwierdzić swoim słowem wiarygodność relacji Giacomo. Nie mówiąc o tym, że przedstawiś wreszcie przełożonym prawdziwy obraz sytuacji na Bałkanach, to, co cię tak oburza.

- Jadę - zdecydował Harrison. - Z krzywym uśmiechem na ustach, ale jadę.

- Wyprostuje ci się ten uśmiech, kiedy na spotkanie wypłynie wam szybka łódź patrolowa Marynarki Królewskiej. Zawiadomimy Kair. Nie mam co prawda ich sygnału wywoławczego, ale ty go na pewno znasz, Sarino.

- Tak.

- I jako dodatkowe zabezpieczenie dostaniesz od nas list wyjaśniający wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Carlos, masz maszynę do pisania?

- W kabinie obok. - Carlos przekazał chłopca Lorraine; chociaż Mario nie protestował głośno, wciąż jednak podejrzliwie marszczył brwi.

- List podpisze generał i ja - mówił dalej Petersen. - Sarino, umiesz stukać na maszynie?

- Oczywiście.

- Oczywiście. Jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Ja, na przykład, nie umiem.

Powinnaś się wreszcie ucieszyć. Skaza na moim panczerzu. Do dzieła.

- Wolałbym tego nie mówić, Peter, ale obawiam się, że coś jednak przeoczyłeś - odezwał się Carlos.
- Zakładam, że do spotkania dojdzie gdzieś na południe od Włoch, prawda? To kawał drogi.
- To co? Masz niedrożne przewody paliwowe? Nie wystarczy ropy w baku? - Nie o to idzie. Nie mam wątpliwości, że Giacomo dałby sobie radę za sterem, kierując się położeniem słońca i kompasem, ale do spotkania musi dojść w precyzyjnie określonym miejscu: długości geograficznej tyle, szerokości tyle...
- Istotnie. Ale jest coś, czego o nim nie wiesz.

Carlos uśmiechnął się.

- Z całą pewnością. Mianowicie?
- Czy ty, Carlos, masz patent kapitana żeglugi wielkiej?
- Nie. - Carlos uśmiechnął się ponownie. - Już nic nie mów. Wiem. On go ma.

W maleńkiej kabinie obok Petersen powiedział:

- Polubiłaś Kair, prawda?
- Tak. - Wydawało się, że Sarina jest tym pytaniem zaintrygowana. - Tak, polubiłam. - Zaintrygowanie przerodziło się w podejrzliwość.
- Bo co?
- Młode arystokratki jak ty nie są stworzone do takiego życia. Mróz, lód, góry. Brrr! Poza tym masz lęk przestrzeni, ot co.
- Zostaję z tobą - oświadczyła tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, wreszcie uśmiechnął się.

- Proszę, jaki z niej partyzant...
- Zostaję z tobą.
- To tak jak Michael.
- Ja w innym sensie.

Petersen dumiał nad czymś.

- Skoro już musimy mówić o takich sprawach, myślę, że powinienem...

- Tyle gadasz, że musiałabym czekać w nieskończoność.

Uśmiechnął się i dotknął jej kasztanowych włosów.

- Wracając do listu...

- Romantyk! Teraz życie stanie się pełne romantycznych uniesień.

- Przeoczyłeś drobnostkę, Peter - zauważył Harrison.

- Wykluczone. To mu się nigdy nie zdarza - wtrąciła Sarina.

Petersen spojrzał na nią i wznosił oczy do nieba.

- "Souvent..."

- Proszę cię.

- Będzie nas tylko dwóch - mówił Harrison. - Giacomo i ja. Musimy czasem spać. Mamy do pilnowania pięciu niebezpiecznych facetów.

W jaki sposób...

- Alex!

- Tak, panie majorze.

- Siłownia. - Ha! - Niezwykła to rzadkość: na twarzy Alexa pojawił się najprawdziwszy uśmiech. - Palnik!